

Lamnek
Laghortoww

E. M. THORHALL

RW2010

E. M. THORHALL
ZAMEK LAGHORTÓW
z cyklu
ZBROJNI

Oficyna wydawnicza RW2010 Poznań 2013
Redakcja Joanna Śłużyńska
Korekta Natalia Szczepkowska
Redakcja techniczna zespół RW2010
Copyright © E. M. Thorhall 2013
Okładka copyright © Mateo 2013
Copyright © for the Polish edition by RW2010, 2013
e-wydanie I

ISBN 978-83-7949-007-3

Wszelkie prawa zastrzeżone. Kopiowanie całości albo fragmentu – z wyjątkiem cytatów w artykułach i recenzjach – możliwe jest tylko za zgodą wydawcy.

Aby powstała ta książka, nie wycięto ani jednego drzewa.

Oficyna wydawnicza RW2010
Dział handlowy: marketing@rw2010.pl
Zapraszamy do naszego serwisu: www.rw2010.pl

– Ruszać się! – Ciemnowłosy mężczyzna krążył po obozowisku, wyraźnie podenerwowany. Jego towarzysze pakowali się w pośpiechu, przymocowując sakwy do siodeł. – Włeczcie się niczym dziewczki służebne, którym ktoś kazał się zająć robotą miast plotkowaniem!

Dosiadł konia i patrzył wyczekująco na swoich ludzi, uwijających się jak w ukropie. Głupotą byłoby pozostawianie tutaj dłużej i narażanie się na niespodziewany atak którejś z grup Vartheńczyków krążących coraz liczniej po okolicy. Coraz częściej dochodziło do brutalnych i krwawych starć, podczas których oprócz zbrojnych, broniących zagrożonych terenów, ginęli zwykli mieszkańcy Iltarii. Mężczyzna poprawił się w siodle, poklepując wierzchowca po szyi.

Niewielkie zawiniątko, wciśnięte w skórzany woreczek zawieszony na szyi, paliło go żywym ogniem poprzez materiał koszuli. Kryło sygnet rodowy i blaszkę najemnika należące do jego dowódcy, Sir Darhera, który zginął kilka dni temu. Miał je zawieźć młodej wieśniaczce z Metllasu. Niewdzięczna misja. Nie miał pojęcia, jak przekazać ukochanej dowódcy wiadomość o jego śmierci. Wzruszył wolno ramionami, jakby chciał zrzucić z siebie przytłaczający ciężar. Widząc, że kompani zaczynają dosiadać wierzchowców, skierował swojego konia na szlak, w pobliżu którego rozbili obóz na noc.

– Za mną! – zarządził, dźgając boki zwierzęcia piętami i ruszając galopem. Pozostali dołączyli do niego bez zwłoki.

Słońce niedawno weszło różową kulą nad horyzontem i teraz przebijało się nieśmiałyymi promieniami przez gęstwą liści, spośród których dobiegały poranne śpiewy ptaków. Leciutki wietrzyk tańczył z nimi swawolnie, niosąc ze sobą zapach kwiatów z okolicznych łąk. Kilka puszystych obłoków płynęło leniwie po niebie, spozierając z góry na leżące w dole ziemie, które z tej wysokości musiały wyglądać jak wielka, zielona plama – sięgała daleko na zachód, aż do granicy skalistych gór, odcinających się wyraźnie swoją brunatną szarością. Poruszające się po owej zielonej plamie punkciki jeźdźców byłyby niewidoczne z góry, gdyby nie refleksy świetlne odbijające się od lśniących zbroi. Przyglądając się tym błyskom dłużej, dało się zauważyć, że podążają w stronę pobliskiej osady.

Promienie słoneczne wpadały do chaty przez niewielkie okno, kładąc się długą, jasną smugą na kawałku drewnianej podłogi. Leżąca na posłaniu dziewczyna błyszczącymi od gorączki oczami wpatrywała się półprzytomnie w siedzącego przy stole mężczyznę. Szczupłe palce zacisnęła na wyciągniętym z mieszka pierścieniu, bezwiednie przytykając go do ust i składając na nim lekki pocałunek. Słowa wypowiedziane przez najemnika zdawały się wciąż do niej nie docierać. Z trudem przekręciła się na łóżku i spojrzała na spoczywające obok niej zawiniątko, z którego wystawała drobna, blada buzia noworodka. Z czułością pogładziła córeczkę po policzku.

– Kyla... – szepnęła drżącymi ustami. – Nazwijcie ją Kyla. Darher na pewno się ucieszy... Przekaż mu, proszę... – Rozkaszała się głośno, opadając na plecy i oddychając ze świstem. – Powiedz mu, że czekamy...

Mężczyzna drgnął niespokojnie, zerkając ponuro na zawiniątko. Krzątająca się po chacie starsza kobieta machnęła ręką w stronę najemnika, jakby chciała go stamtąd przegonić, i pomrukując pod nosem, wyszła z izby, nakazując mu iść za sobą. Podniósł się ciężko i

popatrzył jeszcze raz na majaczącą dziewczynę, która słabym, urywanym głosem mówiła coś do siebie, lecz tak niewyraźnie, że nie rozróżniał poszczególnych słów.

Wyszedł z izby, cicho zamykając za sobą drzwi.

– Nie poznaje nikogo – burknęła zielarka, sięgając po kawałek zakrwawionego płótna i wrzucając go do wiadra z wodą. – Od porodu powtarza wciąż to samo: Kyla i Darher. – Zanurzyła powykręcane starością dłonie w wiadrze. – Po coś jej to przywiózł? I tak pewnie nie doczeka rana. – Wyjęła kawałek mokrego materiału i rozwiesiła go na sznurze w pobliżu paleniska.

– Takie otrzymałem polecenie – wyjaśnił krótko mężczyzna, wychodząc przed chatę do czekających na niego towarzyszy.

Starsza kobieta wzruszyła obojętnie ramionami. Jednych, nawet ciężko poranionych, dawało się wyleczyć, inni przechodzili na drugą stronę. W swoim życiu niejeden poród odebrała, niejedno dziecko uratowała, jednak tutaj od razu wiedziała, że ani Kerna, ani jej córka nie mają szans. Westchnęła i zajęła się praniem zakrwawionych szmat.

– Jeśli dziecko przeżyje, ty się nim zajmiesz. – Na progu izby znowu stanął ciemnowłosey najemnik. – Zawieziesz je do Gartha. To jego siostrzenica. – Wszedł do środka, a tuż za nim wsunął się cicho drugi mężczyzna. – Liren pojedzie z tobą, a potem dołączy do nas w Arwen – wyjaśnił, wskazując na młodego zbrojnego.

– Może i siostrzenica Gartha, ale i bratanica Eryka – zauważyła staruszka, patrząc znacząco na ciemnowłosego dowódcę. – Poza tym Garth zabrał już do siebie Davetha po śmierci jego rodziców, a wiesz lepiej ode mnie, co Rebeka sądzi o tych, którzy przyłączają się do walk, zamiast zajmować rodziną. Czyż nie o to się z Darherem pokłócili? – przypomniała.

– Sir Eryk walczy gdzieś pod Puszczą Graniczną. Od dwóch lat nie ma o nim wieści. Zamek stoi opustoszały, nawet służba dawno stamtąd uciekła – warknął rozeźlony najemnik.

Kobieta nie przestawała się krzątać po izbie. Rozwieszając kawałki płótna, raz po raz rzucała mężczyznom kose spojrzenia.

– Jeśli przeżyje... – odezwała się.

Ciemnowłosey skinął głową. Wyciągnął zza pasa niewielki mieszek z monetami.

– Jeśli ma przeżyć, nikt nie może się dowiedzieć, że jest córką Darhera. – Wcisnął sakiewkę do rąk staruszki. – Zadbaj o to – dodał z naciskiem. – Kiedy dorośnie, będzie potężniejsza niż on.

Vinryd było niewielką, spokojną wioską – jedną z wielu w Iltarii, krainie króla Berona – należąca od setek lat do rodziny Laghortów, podobnie jak Metllas czy Rodas. Osada, zamieszkiwana w większości przez rodowitych Iltaryjczyków, leżała przy głównym trakcie handlowym pomiędzy Isztyrem a Terlinem, na południu kraju. Przylegające doń jezioro, otoczone lasami pełnymi dzikiego zwierza, dostarczało świeżych ryb, które chętnie kupowali przejeżdżający tędy kupcy i podróżni. Nie pogardzali również kawałkiem wędzonego czy suszonego mięsiwa, którego tu było pod dostatkiem. Wielu chłopców z wioski chętnie polowało na sarny, dziki czy jelenie, a proste wnyki na zające bądź kuropatwy potrafiło zastawić nawet małe dziecko. Mieszkańcy Vinrydu żyli w spokoju i dobrobycie, zajmując się uprawą roli, zbieraniem ziół, handlem i chowem zwierząt. Czas płynął tu leniwie.

Ta sielankowa sytuacja zmieniła się, gdy doszło do oblężenia pobliskiego Terlinu. Silne do tej pory miasto, jeden z większych punktów handlowych regionu, zostało zniszczone i ograbione przez najeźdźców króla Robena. Władca Varthenu, kraju leżącego na zachód od Iltarii, za Puszczą Graniczną, był zaprzysięgłym wrogiem spokojnej krainy króla Berona. Chciwy i żądny władzy, od lat próbował podbić sąsiednie tereny, przy pomocy swojej nielicznej armii i kilku mniej utalentowanych magów.

Chociaż wojska króla Berona wyruszyły z natychmiastową odsieczą, gromadząc po drodze różnej maści najemników, nie udało im się uchronić Terlinu. Dopiero po kilku długich miesiącach, kiedy poproszono o pomoc magów z Enhilleru, małego neutralnego państewka z południa, wreszcie udało się wyzwolić miasto, a pokonani najeźdźcy opuścili Iltarię.

Kilku magów pozostało w mieście Arwen, które król Beron oddał im w podziękowaniu za pomoc. Reszta powróciła w rodzinne strony. Po latach ci, którzy pozostali, przenieśli się, wznosząc swoją siedzibę u podnóża Gór Niedźwiedzich.

Jednak mimo upływu czasu wciąż nie zdołano przywrócić Terlinowi dawnej świetności. Handel w pobliskich wioskach powoli zamierał. W lasach rosnących przy trakcie handlowym coraz częściej pojawiały się bandy rabusiów, które napadały na przejezdnych. Ludzie ginęli, a karawany łupiono. Kupcy z Isztyru zaczęli swoje towary wozić do odległego Orenu. Woleli przeprowić się przez góry, omijając tereny barbarzyńskiego plemienia Niedźwiedzi, niż narażać swój dobytek na rabunek, a siebie samych na śmierć. Barbarzyńcy o dziwo puszczały ich wolno, jeśli nieszczęśliwym trafem wpadli w ich ręce.

Najemnicy zwerbowani przez rodzinę Laghortów, której zależało na odzyskaniu swoich ziem i ponownym ich rozkwicie, zostali zakwaterowani w okolicznych wioskach. Mężczyźni nie narzekali na nadmiar wolnego czasu. Kiedy uporali się z jednym zadaniem, już czekało kilka kolejnych. Dzięki ich działaniom zbójcy musieli opuścić niegościnne teraz dla nich tereny. Oczywiście nie obyło się bez walk, z których najemnicy pod dowództwem Sir Eryka Laghorta z reguły wychodzili obronną ręką.

Do zbrojnych chętnie zaciągali się miejscowi chłopcy, skuszeni złotem i pragnieniem przeżycia przygód. Drużyna stopniowo rozrastała się, by po dwóch latach – kiedy sytuacja wreszcie się unormowała i wieśniacy mogli na powrót wieść w miarę spokojne życie – przenieść swoją siedzibę do Terlinu. Dla pięćdziesięciu pięciu najemników byłoby nieco za ciasno w pobliskim Metllasie czy Rodasie. Co jakiś czas wracali jednak w rodzinne strony, ciesząc się spotkaniami z bliskimi.

Wraz z nimi wracał też Daveth, który opuścił Vinryd jako niespełna piętnastoletni wyrostek. Po śmierci rodziców oddany pod opiekę brata matki, w końcu miał dość pijaństwa wuja i zrzędlivego marudzenia jego żony; uznał, że najlepszym rozwiązaniem będzie ucieczka i przyłączenie się do najemników. Teraz miał już dwadzieścia trzy lata i dowodził grupą zwiadowców stacjonujących w Terlinie. Wioskę, w której się wychował, odwiedzał w każdej wolnej chwili, wracając do tych, którzy byli mu bliscy i którym – jak uważał – należało się wsparcie z jego strony. Poza tym wciąż mieszkała tam jego ukochana kuzynka Kyla. Sam ją przywiózł do Gartha i Rebeki, jako roczne niemowlę, na polecenie zielarki, kiedy w okolicy Metllasu znowu zaczęło dochodzić do walk. Nie rozumiał tylko, dlaczego wujostwo wpadło w tak olbrzymi gniew, a rozwścieczona Rebeka od razu zerwała z szyi dziecka niewielki woreczek i sprawdzwszy jego zawartość, schowała go głęboko na dnie jednej ze skrzyń.

Czasami odwiedzał rodzinę sam, a czasami zabierał ze sobą dwóch młodszych towarzyszy. Wujostwo nie było zadowolone z takich gości, a młodziutka Kyla wręcz ich nie lubiła. Jeden, ten o czarnych jak węgiel włosach, zawsze mówił podniesionym głosem, szybko się denerwował; wówczas drugi, jasnowłosy, uspokajał go, a przynajmniej podejmował takie próby.

Dziewczynka przezornie schodziła im z drogi. Ku jej zadowoleniu po awanturze, w którą wdali się kiedyś w karczmie, Daveth więcej ich nie przywiózł.

– Zaczekaj, nie w ten sposób – łagodny głos młodzieńca docierał do uszu Kyli, która patrzyła na o wiele większego od siebie towarzysza zabaw z dziecięcym uwielbieniem. Zwykle siadywali nad jeziorem, gdzie Daveth cierpliwie pokazywał dziewczynce, jak ułożyć dłoń na rękojeści sztyletu czy jak naciągnąć cięciwę. Niewprawne jeszcze paluszki radziły sobie z dnia na dzień coraz lepiej. – Świetnie! – pochwalił swą uczennicę.

Oczy siedmiolatki rozbłysły iskierkami radości, kiedy trafiła w wyznaczony przez kuzyna punkt. Wgramoliła mu się ufnie na kolana, obejmując go za szyję.

– A nauczysz mnie jeszcze... – rozbrzmiał błagalny głosik.

Westchnął rozbawiony, przewracając oczami z udanym przerażeniem.

– Zamęczysz mnie, maleńka. – Potargał jej niesforną grzywkę.

Uśmiechnęła się chytrze.

– Obiecuję, że nie powiem Rebecce, co robiłeś z córką karczmarza na tyłach gospody. – Zeskoczyła z kolan Davetha, odbiegając szybko na bezpieczną odległość. – Ani jej ojcu, że zadarłeś jej suknię! – wykrzyknęła.

– Ej, ej! – Zerwał się. Dogonił ją, złapał i przerzucił sobie przez ramię. – A od kiedy takie smarkule łążą wieczorami pod karczmę, co? – Przechylił Kyle głowę w dół i połaskotał. Dziewczynka zapiszczała, chichocząc. – To chyba nie twoja sprawa, łobuziaku, prawda? – Roześmiał się wesoło, stawiając dziecko na trawie.

– Ciotka wysłała mnie po tego sukin... – zaczęła, ale szybko zasłonił jej buzię dłonią.

– Nie powinnaś tak mówić – upomniał dziewczynkę. – Zajmują się tobą. Pamiętaj o tym. – Pogroził jej palcem.

Wzruszyła obojętnie ramionami.

– Musisz znowu wyjechać? – W niebieskich oczach pojawił się smutek.

Daveth usiadł ciężko na kamieniu.

– Muszę. – Z poważną miną pokiwał głową, nie wdając się w szczegóły. Kyla była jeszcze za mała, aby je zrozumieć.

Od pewnego czasu do zbrojnych Sir Eryka Laghorta dochodziły pogłoski, że w opuszczonych ruinach zamku nieopodal Arwen zbierają się podejrzani osobnicy. Domyślano się, że to szpiedzy króla Robena. Część z nich, nie czekając na rozkazy swojego władcy, zamierzała splądrować miasto, jednak strażę wraz ze zwiadowcami skutecznie ich przepłoszyli. Mieszkańcy podejrzewali, że kiedy tylko urosną w siłę i liczebność, wrócą i spróbują zawładnąć Arwen, podobnie jak zrobili to kilka lat temu z Terlinem.

Król Beron od razu wysłał posłańców do Enhilleru z prośbą o pomoc magów, a ci, którzy wciąż przebywali u podnóża Gór Niedźwiedzich, za zgodą swojego mistrza zajęli się

tworzeniem nektosów. Istoty te już samym swoim wyglądem budziły przerażenie. Skóra i mięśnie odpadały płatami od szkieletu, odsłaniając pracujące, tętniące wnętrzności; długopalczaste dłonie zakończone ostrymi szponami z łatwością rozrywały przeciwnika na strzępy. Nektosi, stworzeni z ciał poległych w obronie Terlinu, chociaż nie czuli bólu, zimna ani gorąca, musieli się czasami pożywiać; najchętniej jadalі świeże wnętrzności ofiar. Obdarzeni przez magów nadludzką zwinnością i prędkością, potrafili przedostać się bezszelestnie do obozu wroga, czyniąc spore spustoszenie w jego szeregach. Porozumiewano się z nimi telepatycznie, za pomocą specjalnego talizmanu, zawieszzonego na szyi maga dowodzącego nektosami. Posłusznie i karnie wykonywali wtedy wszelkie polecenia, niczym dobrze wyszkoleni żołnierze.

Ich zdolności telepatyczne wykorzystywano również podczas przesłuchań pojmanyh wrogów i nierzadko od rodzaju przekazanych wspomnień zależało życie jeńca. Król Roben nie przebierał bowiem w środkach i przymusowo wcielał w szeregi swoich wojsk zwykłych, pragnących pokoju ludzi. Niechętni walkom, z troski i strachu o swoje rodziny godzili się na wiele, byle tylko ocalić bliskich. Król Beron, przeciwny przelewaniu krwi niewinnych, pozwalał takim jeńcom opuścić Iltarię.

Teraz jednak, na polecenie władcy, dowódcy najemników pracujących dla Sir Eryka i Sir Victora, którego ziemie leżały daleko na północ od Terlinu, rozpoczęli werbowanie nowych rekrutów. Kraina została postawiona w stan gotowości bojowej, by uratować Arwen.

Jednak o tym wszystkim mała dziewczynka wiedzieć nie musiała.

Kyla przylgnęła do Davetha, wtulając zapłakaną twarzyczkę w jego ramię. Był najbliższą jej osobą, którą kochała całym swoim dziecięcym sercem. Rebeka, która zajęła się nią po śmierci matki, zapewne starała się po swojemu, czego już nie można było powiedzieć o jej mężu. Nieustannie przesiadywał w karczmie starego Zarena, pijąc na potęgę i nie przejmując się podupadającym coraz bardziej gospodarstwem.

Może dlatego Kyla z taką niecierpliwością wypatrywała powrotów Davetha do domu. Kiedy przyjeżdżał, wszystko było inaczej. Wuj znikał z chaty, nie mogąc znieść wymówek podopiecznego, a Rebeka gotowała smakołyki, ciesząc się ze złota, które Daveth przywoził.

– Wrócę szybko – oznajmił, przygarniając dziewczynkę do siebie. – Ćwicz w tym czasie, a potem pokażesz mi, czego się nauczyłaś. – Podał jej niewielki sztylet.

Przytaknęła gorliwie głową, oglądając z zachwytem kolejny prezent od kuzyna.

W lasach otaczających Vinryd panował spokój. Promienie południowego słońca przebijały się przez korony drzew, ścieląc się złocistymi pasmami na poszyciu. Słychać było wesoły świergot ptaków, przekrzykujących się pośród gałęzi, szelest liści poruszanych lekkim wiatrem.

Na wąskiej ścieżce prowadzącej do traktu handlowego pojawiła się grupa młodych ludzi wracających do wioski z polowania. Ich wesołe nawoływania i rozmowy mieszały się z odgłosami lasu. Upolowana sarna stanowiła powód do dumy. Przodem szła niewysoka, szczupła dziewczyna. Jej długie, jasne włosy powiewały na wietrze, gdy odwrócona w stronę jednego z chłopców ze śmiechem coś do niego mówiła. W jednej ręce niosła łuk, drugą

położyła na pasku przytrzymującym kołczan przewieszony przez plecy. Jej ubrudzona posoką koszula świadczyła wyraźnie, że dziewczyna brała czynny udział w polowaniu.

– Jutro przed świtem – rzucił wyrośnięty chłopak, kiedy zbliżali się do wioski.

Przytaknęła ochoczo. Lubiła wyruszać z nimi na łowy; wszak nikt tak jak ona nie umiał podchodzić zwierzyny. Szybka i zwinna, przemykała po leśnych ścieżkach niczym duch, bez trudu odnajdując tropy tam, gdzie inni nic nie zauważali. Kiedy chłopak wraz z braćmi zniknął już za płotem jednego z gospodarstw, ona poszła dalej. Niebieskie oczy zerkały ciekawie w stronę mijanych chat. Skrzywiła się lekko na widok obejścia, ku któremu zmierzała.

Westchnęła ciężko i wkroczyła ostrożnie na podwórze. Porzuciła pod szopą łuk i szybkim krokiem ruszyła do chaty. Cicho skrzypnęły drzwi, kiedy je uchyliła, zaglądając do środka. W izbie nie było nikogo. Od długiego czasu nic się tu nie zmieniło, a przynajmniej ona nie pamiętała żadnych zmian. Trzy niewielkie okna wpuszczały znikomą ilość światła. Skrzynie tkwiły pod ścianą w tym samym miejscu co zawsze, a znajdujący się pośrodku stół jak zwykle był ubrudzony.

Weszła do środka, starając się nie narobić hałasu, i od razu jej wzrok padł na palenisko, nad którym wisiał kociołek. Coś w nim bulgotało, pachnąc apetycznie i sprawiając, że zaburczało jej głośno w brzuchu. Sięgnęła po drewnianą łyżkę, zamierzając skosztować potrawy.

– Tutaj jesteś! Na górę! – rozkazujący głos Rebeki wdarł się w uszy Kyli, świdrując je bezlitośnie. Przestraszona wypuściła łyżkę z rąk i szybko się po nią schyliła. – Znowu gdzieś łazisz, a kozy od rana niedojone! – Starsza kobieta, w prostej sukni okrywającej jej pełne kształty, przepasana szarym fartuchem, weszła z hałasem do izby. Rzuciła na stół pęk ziół i spojrzała surowo na dziewczynę. – Gdzie znowu byłaś, co? Nie pomyślisz o tym, że trzeba mi pomóc?

Kyla wzruszyła ramionami. Od wrzasków opiekunki zaczynała ją boleć głowa. Znowu to samo. Miała już tego dosyć. Najchętniej zatkałaby czymś kobiecie usta, byle tylko nie słyszeć jej zrzędliwego głosu. No i co z tego, że się nią zajmowała? Nie musiała się tak drzeć.

Pięcioletni Evan, przybrany brat Kyli, który wsunął się cicho do chaty, słysząc podniesiony głos matki, schował się ze strachu pod stół.

– Wuj wróci, to z tobą porozmawia! – zagroziła rozgniewana kobieta. – Tak dłużej nie może być! – Sięgnęła po skórzany pas, wiszący na ścianie nieopodal skrzyni z ubraniami. – Nie przystoi młodej panie włóczyć się z synami kowala na polowania! Powinnaś zająć się gospodarstwem! Kozy od rana niedojone! Kury uciekły na podwórko tej wiedzmy obok – mówiąc to, skrzywiła się. Z sąsiadką nie gadała od tygodnia, kiedy to pokłóciły się o suszenie prania na płocie. – Jakby tego było mało, ciągniesz ze sobą Evana! – piekliła się.

Dziewczyna odskoczyła w kąt izby, uchylając się zwinnie przed wymierzonym niezbyt celnie uderzeniem i popatrzyła z kpiącym uśmiechem na jazgoczącą Rebeke.

– Lubię ich – odparła spokojnie, wiedząc, że cichym głosem zirytuje kobietę jeszcze bardziej. – Poza tym Daveth też ich lubi – dodała prowokująco, co zwykła robić w takich sytuacjach. Bawiło ją drażnienie opiekunki, która zaczynała czerwienić się, sapać i wyglądała, jakby zaraz miała pęknąć z złości.

Daveth... Co prawda od pięciu lat nie miała od niego żadnych wieści, jednak wciąż wierzyła, że wróci do wioski. Czekala na tę chwilę z utęsknieniem, wyobrażając sobie, jak

znovu wspólnie siedzą nad jeziorem i rozmawiają. Pokaże mu, czego się nauczyła, a ćwiczyła pilnie przez cały ten czas.

– Daveth? – wrzasnęła rozsierdzona kobieta. Po jej twarzy przemknął cień smutku, jednak szybko się opanowała. – Codziennie dziękuję bogom, że go zadźgali pod tym Arwen! Wolał walczyć, zamiast nam pomóc, to ma! Tylko blaszka po nim została. – Wrogość bijąca z głosu Rebeki sprawiła, że Kyla wzdrygnęła się i cofnęła pod jedną ze skrzyń. – Był w wieku Evana, gdy go przygarnęliśmy, jeszcze z koszulą w zębach latał, a on tak nam się odwdzięczył! Przygód mu się zachciało! Złota! A na roli nie miał kto robić!

– Daveth... – Kyla przełknęła głośno ślinę, otwierając szeroko oczy ze zdziwienia – nie żyje?

Poczuła nagle, że coś uciska ją w piersiach; postać Rebeki rozmyła się, gdy Kyla gorączkowo łapała oddech. Nie! To niemożliwe! Opiekunka na pewno kłamie!

Nie dopuszczała do siebie myśli, że nigdy więcej nie zobaczy ukochanego kuzyna. Może po prostu wyjechał na tyle daleko, że słuch o nim zaginął? Może przesłał przez kogoś wiadomość, która nie dotarła? Może...

– Jak to... nie żyje? – wydusiła wreszcie przez ściśnięte gardło. Oczy wezbrały jej łzami, których nie umiała powstrzymać.

– Przestań wyć! – huknęła na nią Rebeka i zakrzętnęła się po izbie, wyciągając ze skrzyni stojącej pod oknem skórzany woreczek. Ze złością rzuciła go w stronę podopiecznej, która zręcznie złapała mieszek. – Taki los najemnika. Śmierć mu pisana wcześniej czy później. Jak twojej matce przynieśli ten sygnet, długo się nim nie nacieszyła. Umarła kilka godzin później. I nikt po niej nie płakał. Kto by się przejmował dziewczką, która włóczyła się z najemnikami? Tylko dlaczego porządni ludzie muszą się potem użerać z cudzymi bękartami? Bo niby rodzina? Do dziś się wstydzę za twoją matkę. I co ona sobie myślała? Że ten cały dowódca zbrojnych ją poślubi? Głupia! – wybuchnęła tłumionym od lat gniewem.

Słowa kobiety paliły serce Kyli żywym ogniem. Drżącymi palcami otworzyła mieszek, wysypując jego zawartość na rękę. Srebrny sygnet zatrzymał się we wgłębieniu dłoni, a dwie blaszki oplecione cienkimi rzemykami z cichym brzękiem upadły pod stół.

– Czyje to jest? – spytała, oglądając uważnie pierścień. Wryty na nim herb nic jej nie mówił. Widziała sygnet pierwszy raz w życiu. Srebro zalśniło w jej dłoni, promieniując przyjemnym ciepłem.

– A czyjeż by mogło być? Tego nicponia, twojego ojca! – krzyknęła z oburzeniem Rebeka, schylając się z trudem po blaszki. – Zbałamucił Kerne, by potem zginąć gdzieś pod Terlinem! A może to było Arwen? Cholera wie, gdzie go zakatrupili! – sapnęła rozzłoszczona. – Jakby mało było tego, że wcześniej zginęli rodzice Davetha, którego też musieliśmy przygarnąć! A ten poszedł w ich ślady! Zachciało im się wszystkim przygód i dostali za swoje! – wysyczała z nienawiścią. – Schezli już dawno, w proch się obrócili. Bałamutni najemnicy i ich dziewczki. Kerna i Elira, matka Davetha, która też za zbrojnymi oczami wodziła, zamiast przykładowie zająć się gospodarstwem, pracą na roli. A potem ja musiałam ich bachory niańczyć! Same kłopoty przez tę waszą rodzinę. Oddaj to! – Wyciągnęła żylastą rękę po sygnet. – Dostaniesz, jak za mąż będziesz wychodziła! Za porządnego człowieka, a nie za jakiegoś – splunęła z pogardą na podłogę – żalostnego najemnika!

Kyla zacisnęła szybko dłoń, chowając w niej pierścień i pokręciła przecząco głową. Miała

wrażenie, że wszystko, co usłyszała, jest jakąś wierutną bzdurą. Może to tylko straszny sen, z którego zaraz się obudzi? Przecież to nie mogła być prawda! Może poza wiadomością o rodzicach, których nie było jej dane poznać. Czemu Daveth nic jej o ojcu nie powiedział? Może czekał, aż mała Kyla podrośnie, i... nie zdążył.

– Kim był mój ojciec? – spytała cicho, drżącymi ustami.

– Jednym z tych durniów, którzy wybrali miecz zamiast uczciwej pracy! – wrzasnęła kobieta – Oddawaj, głupia dziewucho! – Rebeka próbowała wyrwać sygnet z zaciśniętej dłoni. – Przebierz się lepiej, umyj i uczesz porządnie! Wieczorem przychodzi Zaren – dodała nieco spokojniej, przestając szarpać się z Kylą. – Zapomniałaś już, że mu się spodobałaś? Wuj porozumiał się z nim w twojej sprawie. Weźmie cię za żonę i nawet nie chce posagu. – Oczy kobiety błyszczały radośnie. – Czyż to nie dobra nowina? – Popchnęła oniemiałą podopieczną w stronę drabiny, po której Kyla wspinała się na poddasze, do swojej izdebki. – Najwyższa pora, abyś wyszła za mąż. Skończyłaś już siedemnaście lat! Inne w twoim wieku już dawno mają męża i dzieci!

– Ten... stary Zaren? – wyjąkała z niedowierzaniem Kyla.

Gruby karczmarz, wdowiec z piątką dzieci, zawsze wydawał jej się ohydny. Nie znosiła, kiedy patrzył na nią tymi swoimi świńskimi oczkami, gdy przychodziła po wujka do karczmy. Zatrzęsała się z obrzydzenia. Nie widziała się w roli żony tłustego, paskudnego wdowca, który ślinił się na jej widok niczym wygłodniały pies na widok soczystego udźca sarny. W ogóle nie widziała się w roli żony. Kogokolwiek.

Rebeka pokiwała głową. Z jej twarzy nie schodził szeroki uśmiech zadowolenia.

– Ten sam. Wiesz, jakie to dla nas korzystne? Już obiecał, że zaraz po waszym ślubie wykreśli ze swoich ksiąg wszystkie nasze długi.

Kyla nie spuszczała zdumionego wzroku z opiekunki.

„To jakiś żart? – pytała się w duchu. – Za nic nie wyjdę za tego starego, wstrętnego tłuściocha! Wolę umrzeć! Może przy kolacji będę dla niego niemiła? – rozmyślała gorączkowo. – Rebeka się wścieknie, ale może Zarenowi ochota do żeniaczki przejdzie”.

– Pójdę na górę – odezwała się cicho i pokornie spuściła głowę.

– No! Zmądrzała dziewucha wreszcie. Idź, idź, przygotuj się – poleciła Rebeka. – Może włożysz tę suknię ze sznurowanym gorsetem, która tak ładnie podkreśla twoją sylwetkę? – rozważała głośno. – Na pewno będziesz wyglądać w niej korzystniej niż w tych swoich spodniach.

Kyla w milczeniu wspięła się po skrzypiącej drabinie i zatrzasnęła za sobą kłapę, rzucając kołczan na łóżko. Szuranie z dołu świadczyło, że opiekunka przezornie usuwała drabinę, by podopieczna nie rozmyśliła się i nie uciekła.

Dziewczyna usiadła zrezygnowana na podłodze i obracając sygnet w palcach, płakała bezgłośnie. Łzy obficie spływały po bladej twarzy, gdy wracała do wspomnień. Nie ma już Davetha, nie ma matki ani ojca... Załzawione oczy nie widziały nic dookoła. Pozostał tylko pierścień i blaszki, jakie zwykli nosić najemnicy, a które zabrała Rebeka...

Odgłosy dochodzące z dołu wskazywały, że trwają przygotowania do kolacji, na którą zaproszono Zarena. Kyla wzdrygnęła się z niechęcią. A gdy jeszcze do jej uszu dotarł przepity głos wuja, zerwała się z podłogi i ocierając łzy rękawem koszuli, stanęła na środku izdebki,

rozglądając się po niej zaczerwienionymi od płaczu oczami. Zastanawiała się.

Gdy podjęła decyzję, wyciągnęła spod poduszki kilka kawałków rzemieni i na jeden z nich wsunęła sygnet, zawiązując od razu pasek skóry na szyi. Schowała pamiątkę po ojcu pod koszulą, potem przesunęła rozklekotane łóżko na klapę. Zanim wuj dostanie się na górę, zdąży uciec. Zerknęła przez wąskie okienko, oceniając odległość, która dzieliła ją od ziemi. Uznała, że nawet ewentualne skręcenie nogi będzie lepsze niż zostanie na kolacji.

Uklękła przy skrzynce, w pośpiechu wyciągając z niej odzienie na zmianę i kilka sztyletów podarowanych przez kuzyna. Spojrzała na kołczan, jednak przypomniawszy sobie, że łuk porzuciła beztrąsko koło szopy, zawahała się. W końcu jednak wcisnęła go wraz z resztą swego skromnego dobytku do płóciennego worka.

Znowu głośno zaburczało jej w brzuchu. Ostatnim posiłkiem Kyli było śniadanie wczesnym rankiem, po którym ruszyła z synami kowala na polowanie. Gotującej się nad paleniskiem potrawy nawet nie zdążyła skosztować – Rebeka za szybko wróciła do chaty. Westchnąwszy ciężko, wychyliła się przez wąskie okienko.

Najpierw wyrzuciła worek.

Długą chwilę nasłuchiwała dobiegających z dołu odgłosów, a upewniwszy się, że opiekunowie są zajęci przygotowaniami do posiłku, złapała leżącą na łóżku pelerynę, którą kupiła sobie w Slith, i ostrożnie wyszła przez okno.

Z głuchym jękiem wylądowała na ziemi. Wystraszona, czy aby nikt jej nie usłyszał, pozbierała się szybko i nieco kulejąc, schowała się za szopą. Tutaj narzuciła na siebie pelerynę i zerkając czujnie na boki, zaczęła podkrađać się do porzuconego łuku.

Skrzypienie drzwi chaty przyprawiło ją o szybsze bicie serca. Dostrzegła wychodzącego wuja i znieruchomiała. Tuż za nim wypadł Evan. Ogarnął ją niepokój na myśl, że brat może pobiec w jej stronę. Schowała się na powrót i przywierając plecami do ściany szopy, przesuwając się krok po kroku w stronę grządek, na których Rebeka tego roku zasadziła marchew. Pal licha łuk.

Odetchnęła z ulgą, gdy wuj zatrzymał się przy zagrodzie z kozami; rozejrzał się dookoła, po czym wszedł do środka, stając do Kyli plecami. Wtedy puściła się biegiem, przeskakując grządki niczym rączka sarna, i zasapana ukryła się w gęstwinie krzewów rosnących za niskim płotem otaczającym gospodarstwo. Tutaj odczekała chwilę, wreszcie przerzuciła pasek worka przez ramię i pomknęła w stronę lasu.

Suche liście szeleściły głośno pod stopami dziewczyny przemierzającej las szybkim krokiem. Chciała jak najprędzej oddalić się od Vinrydu. Promienie zachodzącego słońca przebijały przez korony drzew, padając na wąską, piaszczystą ścieżynę, wijącą się zakosami wśród drzew i krzewów. Kyli postanowiła unikać głównego traktu wiodącego z Isztyr do Terlinu; na wypadek gdyby opiekunowie, zorientowawszy się, że opuściła bez ich wiedzy i zgody chatę, wyruszyli na poszukiwania. Wolała nie myśleć, w jaki sposób zostałaby ukarana przez wuja, gdyby ją odnaleźli.

Przez chwilę pożałowała, że będąc jeszcze w swojej izdebce, nie przebrała się w czyste rzeczy. Miała na sobie wąskie, płócienne spodnie zabarwione na czarno i prostą, kiedyś białą koszulę. Obecnie odzienie było solidnie ubrudzone i dodatkowo poplamione krwią

upolowanej dziś sarny. Skórzane buty z wywiniętą cholewą stanowiły teraz jej jedyne obuwie. Na szczęście również najwygodniejsze. Talię otaczał pas szerokości męskiej dłoni; schowany w nim ulubiony nóż myśliwski był prezentem od kuzyna. Drobną postać dziewczyny okrywała peleryna z kapturem, pod który wepchnęła długie, jasne włosy.

Kyla nie miała pewności, czy dobrze zrobiła, uciekając z wioski. Nie wyobrażała sobie jednak poślubienia starego Zarena. Od pewnego czasu darzyła sentymentem Venima, którego widziała kilka razy w karczmie, gdy przychodziła po pijanego Gartha. Na samo wspomnienie czarnych oczu najemnika serce dziewczyny zabiło szybciej, chociaż nie wiedziała o nim zbyt wiele, a on sam nie był skłonny do zwierzeń. Podróżował z karawaną kupiecką do Isztyru, zatrzymując się na nocleg w wiosce. Wodziła za nim nieśmiałym wzrokiem, siedząc wraz z najmłodszą córką karczmarza za szynkwasem.

To właśnie w karczmie, podsłuchując rozmowy kupców, dowiedziała się, że Sir Eryk Laghort na dobre osiadł wraz z małżonką na zamku, obejmując na powrót swoją opieką pobliskie wioski, Rodas i Metllas, i oddając część komnat na kwatery dla kilkunastu zbrojnych, którzy walczyli wraz ze szlachecką parą w obronie Arwen.

Nie wszystkim to się podobało. Wielu starszych ludzi pamiętało jeszcze czasy, kiedy bliska obecność najemników oznaczała grabieżę i bałamucenie młódek. Podejrzewano, że będzie tak i teraz. Jednak mało kto wyrażał otwarcie swoje niezadowolenie, szczególnie gdy na szlaku handlowym na powrót zaczęły pojawiać się karawany kupieckie, zaś ludzie Sir Eryka czynnie pomagali wieśniakom w cięższych pracach polowych. A gdy Metllas zostało niespodziewanie zaatakowane przez wilki, podchodzące nocą do drzwi domostw, jak miało to miejsce zeszłorocznej zimy, zbrojni wybili stado ku ogólnemu zadowoleniu.

Czasami młodzi najemnicy pracujący dla rodziny Laghortów przyjeżdżali do karczmy Zarena. Panny wodziły za nimi oczami, zakradając się wbrew zakazom rodziców pod gospodę, a miejscowi chłopcy patrzyli z zazdrością i podziwem na skórzane zbroje i błyszczący oręż. Kiedy przybywali się zabawić, wesołym pieśniami, tańcom i żartem nie było końca. Piwo lało się szerokimi strumieniami, a dziewczka karczemna miała pełne ręce roboty, podając strawę.

Kyla uśmiechnęła się na wspomnienie jednej z córek Zarena, której od nalewania kolejnych kufli aż dłonie drżały ze zmęczenia. Usiadły kiedyś obie w kącie, schowane za szynkwasem, i obserwowały głośnych zbrojnych. I pewnie posiedziałyby tam dłużej, gdyby Kyla nie zauważyła pijanego wuja. Zrobiło się jej wtedy wstyd za niego i czym prędzej uciekła z karczmy.

Uważała, że jedyny pożytek z głośnej bandy wojskowych jest taki, że rabusie przestali zapuszczać się w okolice Metllasu i Vinrydu. A to oznaczało, że mogła spokojnie spędzać czas w pobliskich lasach. Okolice na powrót stały się bezpieczne, chociaż najstarsi ludzie w wiosce twierdzili, że po zapadnięciu zmroku w lesie pojawiają się groźne bestie, wypuszczone przez magów króla Robena. Jednak żaden z polujących tam codziennie wieśniaków nie spotkał ich ani razu.

Kyla westchnęła, poprawiając ciężący jej coraz bardziej worek. Głodna i zmęczona, skierowała się w stronę jeziora. Błysk jasnej tafli mignął pomiędzy drzewami. Musiała usiąść, odpocząć i zastanowić się, co dalej. Uciec było łatwo. Nie przemyślała jednak tego, że nie

będzie miała gdzie się zatrzymać. Instynktownie wsunęła palce pod koszulę, ściskając sygnet. Zdawało jej się, że metal przyjemnie rozgrzewa palce, dodaje otuchy i siły, która pomoże pokonać wszelkie przeszkody.

Bez wahania skręciła w prawo, przedzierając się przez kłujące krzewy. Jeszcze trochę i stanie nad brzegiem jeziora. Przyspieszyła kroku, odnosząc przykre wrażenie, że tafla miast przybliżyć – oddala się. Przez głowę przemknęły jej historie zasłyszane w wiosce o topielcach, którzy zwodzili swoje ofiary na brzeg, po czym wciągali w bezdenną toń.

– Bzdura – rzuciła na głos, poprawiając pasek worka.

Zsunęła kaptur z czoła i rozejrzała się uważnie. Wokół panowała niczym niezmacona cisza. Jedyne przelotny wietrzyk zatańczył z listkami, które jeszcze pozostały na gałęziach. Poruszyła niecierpliwie stopą, wsłuchując się w szelest ściółki.

– Bzdura – powtórzyła, chcąc przegonić strach, który niespodziewanie ją ogarnął.

Mimo to nieprzyjemny dreszcz przebiegł jej wzdłuż kręgosłupa. Uniosła głowę, szukając wzrokiem zachodzącego słońca. Przez korony drzew nie padał teraz ani jeden promień. Rozejrzała się czujnie dookoła. Gdzie podziało się słońce?

Silniejszy wiatr, który zerwał się nagle, przyniósł ze sobą zapach, którego nie umiała zidentyfikować. Zmarszczyła nos. Nieprzyjemna, dziwna woń przypominała nieco odór stęchlizny. A może zepsutego, gnijącego mięsa? Rozejrzała się jeszcze raz. Gdzie zniknęło jezioro widziane przed chwilą?

Niebo, niedawno jasne, teraz zasnuło się granatowo sinymi chmurami, a w lesie pociemniało. Lodowaty podmuch wiatru wtargnął pod pelerynę Kyli, dotykając zimnymi paluchami jej ciała. Wzdrygnęła się z przestachu. A kiedy jeszcze ujrzała snujący się wokół jej stóp obłoczek mgły, który stopniowo unosił się, otaczając ją ściśle, krzyknęła przerażona. Jednym susem wyskoczyła z mglistego kręgu, w panice szukając ścieżki, którą tu przyszła. Gałęzie zasłaniające drogę nie ułatwiały jej zadania.

Zrobiła niepewnie kilka kroków w stronę, z której – jak jej się wydawało – przyszła. Nie zdążyła dotrzeć do kolejnej kępy krzewów, kiedy rozległo się przeraźliwe wycie.

– Wilki? – wyszeptała pobielającymi ze strachu ustami.

Przecież ostatnio nie bywały w tych okolicach. Wróć dopiero z nadejściem mrozów, jednak do zimy było jeszcze daleko. Zadrżała na całym ciele i przyspieszyła kroku, gdy przejmujący ziąb przeszył ją do szpiku kości. Zaszczękała zębami, otulając się szczelniej peleryną. Bardziej wyczuła, niż usłyszała kroki za plecami. Odwróciła się gwałtownie, dobywając noża schowanego w pasie.

Wokół było pusto, mimo to odnosiła niejasne wrażenie, że nie jest tutaj sama. Serce zabiło jej mocniej, a oddech przyspieszył, kiedy z nożem w dłoni obracała się wokół własnej osi, czujnie wpatrując się w pobliskie drzewa i krzewy. Niebieskie oczy nie dostrzegły nikogo ani niczego.

Porządnie już przestraszona, rzuciła się biegiem w lewo, gdzie powinna być ścieżka. Zadyszana, z trudem łapała równowagę na nierównej ziemi, z której nagle zaczęły wystawać korzenie, których wcześniej tam nie widziała. Wiły się po ściółce niczym upiorne, czarne węże, ocierając się o buty, próbując ją pochwycić. Potykała się o nie, za każdym razem wyszarpując stopę z ich uścisku i szukając gorączkowo wzrokiem znajomej drogi.

Pewna, że ją wreszcie dostrzegła, ruszyła w tamtą stronę, odcinając naprędce nożem

kolejny korzeń, który oplótł cholewę jej buta. Wijące się kłacze odpadło z głośnym piskiem, a pobliskie drzewa wyciągnęły w stronę dziewczyny gałęzie, szeleszcząc wrogo ostatnimi liśćmi.

Krąg się zacieśniał. Kyli zaczęło brakować tchu w piersiach. Jedna z gałęzi smagnęła blady policzek, pozostawiając na skórze wilgotny ślad.

– Kyyylooo... – Kilka nieznanych głosów jednocześnie szeptało imię dziewczyny.

Rozszerzonymi ze strachu oczami szukała wyjścia z matni; serce w jej piersiach tłukło się jak oszalałe.

– Kyyylooo... – Szepty rozbrzmiewały ze wszystkich stron.

Mgła podniosła się, otulając ją białym kokonem niczym płaszczem.

– Kto tu jest? – zawołała Kyła rozpaczliwie, zaciskając kurczowo palce na rękojeści noża.

Ziemia zadrżała pod jej stopami, jakby w próbie otwarcia się i pochłonięcia swojej ofiary. Dziewczyna otworzyła usta, łapiąc zachłannie powietrze. Przez głowę przemknęło jej, że tak musi się czuć ryba wyciągnięta z wody. Tuż przy jej uchu rozległ się groźny warkot, który przeszedł w wycie, siłą wdzierające się do jej głowy, przesywające umysł na wskroś. Zamarła, mrugając powiekami, niezdolna do wykonania najmniejszego ruchu, jakby ktoś spętał sznurami całe jej ciało.

Z oparów mgły wyłoniło się łyse cielsko chudego, wysokiego prawie na cztery łokcie stwora, podobnego do wilka. Rozszerzone lękiem źrenice Kyli wpatrywały się w jego siną skórę, z której odpadały wijące się larwy. Potwór wyprostował się, stając na tylnych łapach. Uniósł łeb w górę i zawył przejmująco.

Dziewczyna cofnęła się odruchowo. Otworzyła usta do krzyku, lecz przez ściśnięte gardło dobył się tylko ochryply pisk.

– Uciekaj! – usłyszała jakiś męski głos.

Nie wiedziała, czy mówił do niej, czy do tego czegoś, co stało przed nią. Nie spuszczała wzroku ze stwora, który na dźwięk męskiego głosu zawył jeszcze przeraźliwiej. Kątem oka dostrzegła niewyraźną postać, która wyłoniła się bezszelestnie z krzewów. Czy tylko jej się zdawało, czy faktycznie mgła uformowała ciało tego półnagiego mężczyzny?

Odziany wyłącznie w skórzane spodnie i buty, trzymał w ręce długi i sądząc z wyglądu ciężki miecz, którym mierzył w potwora. Odważyła się odwrócić głowę w stronę przybysza. Paskudna, krwawa szrama rozcinała jego prawy policzek, ciągnąc się poprzez szczękę; odsłaniając kości i rozplątane gardło, biegła szkarłatną linią w stronę serca. Kyła zadygotała z przerażenia; a kiedy dostrzegła, że jasnowłosa mężczyzna unosi się nad ziemią, z jej ust wydobył się przeciągły wrzask. Zjawą zbliżała się w jej stronę, nie spuszczać spojrzeń martwych oczu ze stwora.

– Uciekaj! – rozbrzmiało w jej głowie.

Rozkaz wydany surowym tonem zmusił dziewczynę do poszukania wzrokiem drogi ucieczki. Krzewy, które wcześniej tworzyły beładną plataninę gałęzi, teraz rozsunęły się na boki, tworząc szpaler, którym mogła swobodnie przejść. Półnagi mężczyzna przemknął obok dziewczyny, zmierzając w stronę cofającego się stwora.

– Biegnij!

Nieznana siła pchnęła Kyłę na utworzoną pomiędzy krzewami ścieżkę. Przestała myśleć. Instynktownie zacisnęła dłonie na worku przewieszonym przez ramię i puściła się pędem

drogą wyznaczoną przez gęstwę kłujących krzewów. Nie obchodziło ją, dokąd biegnie. Chciała się tylko znaleźć jak najdalej od przerażającego miejsca. I jak najszybciej.

Martwe niebieskie oczy zjawy zalśniły nagłym blaskiem, który znikł równie szybko, jak się pojawił. Mężczyzna potrząsnął głową, pozwalając jasnym włosom rozsypać się swobodnie na poranionych ramionach, po czym unosząc miecz w górę, puścił się w pogoń za stworem.

Mgła znikła, wiatr, przegoniwszy ciemne chmury, ustawał. Las powoli uspokajał się. Do uszu dziewczyny doleciało jeszcze odległe wycie, a potem nastąpiła cisza, przerywana jedynie szybkim oddechem Kyli i szelestem liści, po których biegła. Łapiąc z trudem powietrze, dopadła głównego traktu i potykając się o wystający z ziemi korzeń, upadła na ubitą drogę. Worek zsunął się bezwładnie z jej ramienia.

W oddali rozległy się czyjeś głosy.

Złękciona dziewczyna poderwała się natychmiast, zupełnie nie wiedząc, w którą stronę powinna teraz pójść. Oglądając się nieustannie za siebie, nie patrząc pod nogi, zapominając o porzuconym tobołku ze swoim niewielkim dobytkiem, starała się uciec od tych obcych głosów. Drżące ze strachu i wysiłku nogi odmówiły jednak posłuszeństwa; natrafiwszy stopą na kolejny korzeń wystający z ziemi, straciła równowagę i znowu upadła. Nóż, trzymany w kurczowo zaciśniętych palcach, wbił się ostrzem w ziemię, jednocześnie rozcinając skórę po wewnętrznej stronie dłoni. Z ust dziewczyny wyrwał się okrzyk bólu, gdy uderzyła czołem o leżący w poźółkłej trawie kamień.

Chwilę później otoczyła ją kojąca ciemność.

Grupa zwiadowców wracała z Metllasu, zjeżdżając z głównego traktu na drogę prowadzącą do zamku Laghortów. Konie szły jeden za drugim, powłócząc leniwie nogami, niezrażone zupełnie nagłym podmuchem zimnego wiatru, który poruszył ich grzywy. Szelest liści pod końskimi kopytami, trzaski gałązek mieszały się z cichym parskaniem zwierząt.

– Słyszałeś? – Quen jadący przodem zatrzymał swojego wierzchowca i zaczął nasłuchiwać.

Jego przyjaciel, wysoki czarnowłosy mężczyzna, będący dowódcą zbrojnych, z którymi wracali właśnie z patrolu, uniósł rękę, wstrzymując pozostałych jeźdźców. Wśród mężczyzn rozległ się cichy gwar rozmów.

– Wycie. – Morht oparł dłoń na łęku siodła i obrócił się do tyłu, nakazując reszcie zwiadu ciszę.

Obaj mężczyźni ze skupieniem wsłuchiwali się w wieczorne odgłosy lasu.

– Wilki? – spytał szeptem Quen. – To jeszcze nie ich pora.

Morht przeczesywał wzrokiem rosnące nieopodal drzewa, jakby spodziewał się znaleźć w nich odpowiedź na pytanie swojego zastępcy. Okolica wyglądała na pustą i spokojną. Po obu stronach ścieżki rosły powykęcane, stare drzewa, pamiętające jeszcze dawne czasy. Gałęzie, ogołoczone z większości liści przez jesienne wichury, poruszały się lekko w rytm kolejnych podmuchów wiatru.

Mężczyzna nie dostrzegł pomiędzy drzewami niczego niepokojącego. Jego wierzchowiec szarpnął głową, najwyraźniej zniecierpliwiony nieplanowanym postojem. Jeździec zsiadł z konia i poklepując zwierzę po szyi, rozejrzał się jeszcze raz dookoła.

Niebo zasnuło się ciężkimi, burzowymi chmurami, a wiatr, który nagle przybrał na sile, potargał sięgające ramion, czarne włosy dowódcy. W tej samej chwili do uszu zwiadowców dobiegł piskliwy wrzask. Zaskoczeni rozejrzeli się wokół, nie dostrzegając nikogo w pobliżu.

– Jakie лихо? – zaniepokoił się Sarthus.

– Piszczące – rzucił drwiąco Trevor, którego niełatwo było przestraszyć.

– Will i Artch ze mną – rozkazał Morht. – Urlin – spojrzął na najmłodszego ze swoich ludzi – uwiążesz tu konie i zaczekasz. Pozostali za Quenem – zadysponował.

– Dlaczego ja? – zaprotestował młodziutki najemnik, chłopiec jeszcze, zeskakując z wierzchowca.

Dowódca zgromił go wzrokiem. Odpowiadał za swój oddział, a Sir Laghort byłby niezadowolony, gdyby któremuś z nich coś się stało. Zresztą to nie strach przed przełożonym kierował dwudziestosiemioletnim Morhtem. Lubił swoich ludzi, żył się z nimi i mimo swojej surowości życzył im jak najlepiej. Na liście tych życzeń nie mieściły się wypadki wynikłe z głupoty nowo przyjętych najemników, którzy dopiero zdobywali wiedzę i potrzebną wprawę. Młokos zdawał się tego nie rozumieć. Nie docierało do niego, że jest najmniej doświadczony z całej drużyny. Dostawszy do ręki miecz, poczuł się nazbyt pewnie. A zbytnia pewność siebie niejednego już zgubiła.

– Mam powtórzyć? – W głosie Morhta zabrzmiało ostrzeżenie. Jego dłoń bezwiednie powędrowała na rękojeść miecza, a czarne oczy spojrzały twardo na Urlina. Kiedy wyruszyli w teren, dowódca wymagał bezwzględного posłuszeństwa od swoich ludzi i nie tolerował najmniejszego sprzeciwu bądź podważenia rozkazu. A już zwłaszcza od młokosa powierzonego jego opiece.

Urlin, buntując się w duchu, pokręcił przecząco głową. Morht uśmiechnął się krzywo i odwrócił w kierunku Quena.

– Weź lewą stronę, my sprawdzimy prawą – polecił.

Zastępca przytaknął, zsiadł z konia i podprowadził go do młodziutkiego najemnika.

– Na drugi raz nie zadawaj głupich pytań. – Szturchnął lekko chłopca w ramię, wręczając mu wodze.

Urlin już bez żadnych protestów zajął się wiązaniem coraz bardziej podenerwowanych koni. Zwierzęta, jakby wyczuwając coś złego, kręciły się niespokojnie. Zajęcie, które normalnie zajęłoby chłopcu niewiele czasu, teraz trwało znacznie dłużej. Otarł pot z czoła i spojrzął za oddalającymi się kompanami. Mężczyźni rozeszli się po lesie, schodząc z wydeptanej ścieżki i sprawdzając uważnie zarośla. Wycie, które rozległo się kolejny raz, i przerażony krzyk, który nawet niedoświadczony jeszcze Urlin rozpoznał jako kobiecy, sprawiły, że młodzienc zadrzał. Zganił się w duchu za ten objaw tchórzostwa i spróbował zapanować nad trzęsącymi się rękami, gdy poprawiał uwiąz jednego z wierzchowców.

Konie parskwały, podrzucając niespokojnie łbami. Urlin, chociaż sam przed sobą nie chciał się do tego przyznać, czuł się nieswojo. Pozostali mężczyźni zniknęli mu z oczu, a podenerwowane konie nie chciały się uspokoić. Poklepywał je po szyjach, przemawiając do nich łagodnym, choć nieco drżącym głosem. Co chwilę wykręcał głowę na wszystkie strony, obawiając się niespodziewanej napaści. Kogo lub czego? Tego nie wiedział.

Quen, usłyszawszy kolejne wycie i krzyk, dobył miecza i przygotowany na nagły atak,

przedzierał się przez krzewy w stronę, z której dochodziły podejrzane dźwięki. Pozostali zwiadowcy ruszyli za nim. Wypatrywali uważnie najmniejszego śladu czyjejś obecności. Odgłosy umilkły, jakby chciały zmylić ich czujność. Po dłuższym marszu i przepatrywaniu gęstwiny leśnej dotarli do piaszczystej ścieżki.

– Wiatr zelżał – zauważył Quen, zatrzymując się i obserwując uważnie otoczenie.

– Ani śladu po kimkolwiek – odezwał się z boku Trevor.

Quen potarł brodę w zamyśleniu. Okolica wydawała się pusta. Nie dawało mu jednak spokoju owo wycie, które słyszeli.

– Sprawdźmy jeszcze tam. – Wskazał dłonią na wschód. – Wolę sprawdzić, czy wilki na pewno nie wróciły.

Ponownie rozeszli się po lesie, ubezpieczając się nawzajem.

Tymczasem grupa Morhta wracała już powoli do miejsca, gdzie pozostawili konie pod opieką Urlina. Nie natknęli się na nic niepokojącego, a okolica sprawiała wrażenie nieodwiedzanej przez nikogo od dawna.

– Młokos zaszalał – zaczął kpiąco Artch.

Will machnął lekceważąco ręką.

– Naucz się. Ile z nami jest, drugi tydzień?

– Dziesiąty dzień – mruknął Morht. – Niech mi na razie nie wchodzi w drogę. – Popatrzył znacząco na Willa. – Na drugi raz mogę nie być taki miły.

Artch roześmiał się. Znali aż za dobrze swojego dowódcę i rozumieli jego postępowanie. Mogli razem napić się w karczmie, mogli pożartować przy ognisku, a nawet zabawić się z chętnymi dziewczkami w jednym z zamtuzów, jednak kiedy przychodziło do decydowania, nikt z nich nie próbował podważać rozkazów Morhta. Ten wysoki na osiem stóp, postawny mężczyzna, o mięśniach jak ze stali, z wyglądu przypominający któregoś z barbarzyńców zamieszkujących Pogórze Niedźwiedzie, górował nad większością najemników nie tylko siłą i wzrostem. Służył najdłużej u Sir Eryka Laghorta, walczył razem z nim i jego żoną w obronie Arwen; a kiedy zmęczony wojaczką rycerz osiadł na stałe w rodzinnych stronach, to właśnie Morhtowi powierzył zorganizowanie oddziału zbrojnych, którzy zadbaliby o ochronę zamku oraz podległych wiosek. Sprowadził go do siebie, zapewniając dach nad głową, wyżywienie i godziwy żołd. Morht bez wahania przyjął propozycję, mając serdecznie dosyć pilnowania porządku w karczmach w zamian za ciepłą strawę i nocleg.

Gdy kilka tygodni później Morht został wezwany przed oblicze króla Berona, niezwłocznie wyruszył w podróż, zatrzymując się na krótki postój w Arwen. Tutaj odnalazł Quena, uwięzionego w lochach opuszczonej twierdzy magów, gdzie tkwił jako jeniec wojenny oskarżony o podżeganie do buntu. Ich poprzedni dowódca, Daveth, został stracony kilka dni wcześniej, jak zdołał się dowiedzieć. Ceremonia, na którą podążył do króla, wydała mu się w tamtej chwili mniej ważna. Poinformował natychmiast o wszystkim Sir Eryka i jego małżonkę Lyannę. Wydobycie nieprzytomnego przyjaciela zajęło im kilka godzin, wyleczenie ran zadanych mu na torturach trwało o wiele dłużej. Uspokojenie rozwścieczonej Lady Lyanny, która nie przebierała w słowach i czynach, dopuszczając się pobicia jednego ze strażników, próbującego im przeszkodzić w uwolnieniu przyjaciela, Morht przezornie pozostawił jej mężowi. Sam wolał nie oberwać przypadkiem od rozjuszonej kobiety, a widząc jej furję, poważnie obawiał się, że mogłoby do tego dojść. Jednak to właśnie dzięki staraniom i trosce

Lyanny Quen stosunkowo szybko doszedł do siebie.

Morht ściągnął gniewnie brwi. Gdyby dorwał w swoje ręce tego, kto uwięził jego przyjaciela na kilka długich miesięcy w lochach...

Szedł szybkim krokiem, pozostawiając nieco w tyle Willa i Artcha, którzy zaśmiewali się z wyrwanego Urlina. Głowę dowódcy zaprzętało coś innego. Wycie nie było głosem zwykłego wilka, jakie przносиły się w te okolice na zimę. Kobięcy pisk też wydawał się dziwny, jakiś zduszony. Przypomniały mu się zasłyszane od wieśniaków opowieści o topielcach zamieszkujących pobliskie jezioro, jednak niechętnie dopuszczał do siebie myśl, że stare legendy mogłyby zawierać ziarno prawdy.

Urlin niecierpliwie spacerował po ścieżce, wypatrując towarzyszy. Z niepokojem rozglądał się dookoła, wciąż nie przyznając sam przed sobą, że odczuwa coraz większy strach.

– Auu! – Coś z głośnym wyciem skoczyło mu na plecy.

Chłopiec w pierwszej chwili zdrętwiał z przerażenia. W drugiej zamachnął się, chcąc na oślep trafić napastnika i pozbyć się ciężaru.

– Już, już, spokojnie. – Will, podchodząc bliżej, klepnął wystraszonego młodzika w ramię. – Artch, złaż z niego, bo uznam, że ci dziewczek mało.

Obaj roześmiali się głośno, widząc skwaszoną minę Urlina, który spoglądał na nich podejrzliwie.

– Quen! – Głośne zawołanie Sarthusa zatrzymało zastępcę i jego towarzysza w miejscu. Dostrzegłszy machającego do nich kompana, ruszyli szybkim krokiem w jego kierunku.

Sarthus przyglądał się czemuś leżącemu na drodze. Quen na powrót przypasał miecz i spojrzał na znalezisko.

– Worek? – Przyklęknął na piaszczystej ścieżce i sprawnie rozsypał rzemień; po czym unosząc lekko tobolek w górę, wysypał jego zawartość na ziemię.

Oczom zwiadowców ukazały się cztery sztylety różnej wielkości, kołczan ze strzałami i kilka sztuk odzieży. Zaskoczeni spojrzeli po sobie. Mężczyzna podniósł do oczu materiał, który po bliższych oględzinach okazał się suknią.

– Kobieta? – Jeszcze raz popatrzył na tobolek i pokręcił z niedowierzaniem głową. Potem zaczął wciskać na oślep rzeczy z powrotem do środka.

– Chyba będziesz miał kłopoty, Quen, jak znajdziemy właścicielkę tego worka – rzucił niewinnie Sarthus.

– A nie wygląda na to, aby była pokojowo nastawiona – dodał Trevor.

– Nie wiem, czy zauważyłeś, ale niewiasty nie lubią, kiedy gniecie się lub brudzi ich odzienie – kontynuował kpiącym tonem Sarthus. – A ty zdążyłeś zrobić i jedno, i drugie.

– Piszczą wtedy: och nie, moja suknia, och nie, mój... – Trevor urwał, widząc minę zastępcy.

– Jeśli znajdziemy ją żywą – odezwał się ponuro Quen.

To wystarczyło, żeby obaj kompani uspokoili się, w lot rozumiejąc powagę sytuacji. Odchrząknęli i już bez zbędnych słów ruszyli w stronę pobliskich krzewów, rozglądając się uważnie na boki.

– Tutaj. – Quen pierwszy zauważył ciemny kształt leżący nieopodal jednego ze starych, rozłożystych drzew.

Podszedł i pochylił się ostrożnie nad nieprzytomną, jasnowłosą dziewczyną, wyglądającą na Itaryjkę. W dłoni ścisnęła nóż. Mężczyzna przytrzymał jej nadgarstek, by delikatnie wyjąć ostrze, i odrzucił sztylet dalej.

– Mówiłem, że nie będzie nastawiona pokojowo... – zauważył Trev.

– No to mamy zgubę – mruknął pod nosem Quen, odwracając dziewczynę na plecy i sprawdzając, czy oddycha. Odgarnął kosmyki z bladej twarzy, zauważając ranę na czole. – Żyje – odezwał się po dłuższej chwili. – Sarth, przyrowadź konia. Trev, weź jej rzeczy. I zawołajcie Morhta.

– To chyba jednak dostanie ci się za zabrudzenie sukni – rzucił jeszcze Sarthus z wyraźną ulgą w głosie, oddalając się spiesźnie.

Znalezienie trupa w okolicach zamku nie wróżyłoby niczego dobrego.

Głosy raz zbliżały się, to znów oddalały. Kyła początkowo nie umiała ich rozróżnić. Nie wiedziała nawet, do kogo należą. Oby do kobiet. Mężczyźni bywali nieprzyjemni i groźni, brutalni i bezlitośni. Starsze kobiety w wiosce często wspominały czasy, kiedy bandy rabusiów krążyły po okolicznych lasach. Zdarzało się, że uprowadzili którąś z dziewcząt; potem odsyłali ją do wioski posiniaczoną i zhańbioną. Może to też taka banda? A może to grupa zabłąkanych Vartheńczyków słynących z okrucieństwa?

Głosy zlewały się w ogólny gwar, z którego nie potrafiła wyłowić poszczególnych słów. Miała wrażenie, że cały świat wiruje niczym obracający się szybko wiatraczek w rękę rozbawionego dziecka. Tylko że ów wiatraczek szalał teraz w jej głowie. A może to był wściekle wirujący bąk? Żołądek zaczął jej podchodzić do gardła. Pod plecami czuła twardą, chłodną ziemię. Czyjeś ręce obmacywały bezceremonialnie jej ciało, uciskając boleśnie. Na bladej twarzy dziewczyny pojawił się lekki grymas. Ostatnio badała ją w taki sposób Rebeka, kiedy spadła z drzewa, na które wspinała się razem z Evanem.

– Chyba nic sobie nie złamała – dotarł do niej męski głos, niski i stłumiony. – Nie, to nie jej krew. – Mężczyzna zapewne odpowiadał komuś na pytanie. – Może polowała wcześniej. Plamy są zaschnięte, nie wyglądają na świeże.

Czyjeś ręce mięły koszulę Kyli – poczuła chłód, gdy odsłoniły fragment brzucha. Natrętne palce zatrzymały się, gdy zadrzała z zimna. Musnęły odsłoniętą skórę, wywołując kolejny nieprzyjemny dreszcz, zanim kawałek materiału wrócił na swoje miejsce.

Przeraziła się. Obmacywał ją! Czyżby szukał kosztowności? Grabieżcy! Może lepiej udawać nieprzytomną? Może odjadą, pozostawiając ją w spokoju?

Przez głowę Kyli przebiegały dziesiątki myśli.

– Kostka wydaje się zwichnięta, ale to już... – Głos oddalił się i nie dosłyszała reszty słów.

Spróbowała ostrożnie poruszyć palcami prawej dłoni. Przypomniała sobie, że wcześniej trzymała w niej nóż. Może leży gdzieś w pobliżu? Może uda jej się namacać go niepostrzeżenie? Palce motał jakiś materiał. Wystraszyła się. Związali ją? Ostrożnie poruszyła drugą ręką. Ta była wolna. Odetchnęła z ulgą. Musi stąd jak najszybciej uciec. Instykt nakazywał poderwanie się z miejsca, ale ciało nie zamierzało zareagować. Bąk wirujący w głowie kręcił się w oszalałym tempie, coraz szybciej i szybciej...

Kyla nie wiedziała już, ile głosów słyszy. Przez chwilę zdało jej się, że z oddali dobiega rżenie koni. Wróciła pamięcią do ostatnich chwil przed upadkiem. Stwór... jasnowłosy, półnagi mężczyzna... Potem czyjeś silne ręce na jej ciele...

Wbrew sobie zadrżała.

– Masz tę wodę? – usłyszała ten sam niski głos co wcześniej, a niedługo potem poczuła coś zimnego i mokrego na czole. Ktoś najwyraźniej przemywał jej ranę. Bolało.

– Wilk... – wymamrotała półprzytomnie, próbując odwrócić głowę, by uniknąć bólu.

Morht pochylił się nad dziewczyną, by lepiej słyszeć, co mówi. Przyjrzał się uważnie bladej twarzy.

– Panna chyba raczyła się obudzić – rzucił ktoś kpiąco.

– Siła przekonywania Morhta – dodał złośliwie inny głos. – Z martwych byś wstał, gdyby sprawdzał, czyś niepołamany. Kto wie, czy przypadkiem sam by ci kości nie pogruchotał.

Rozległ się gromki śmiech.

– Słyszysz mnie? – spytał dowódca, nie przerywając przemywania rany i nie zwracając najmniejszej uwagi na docinki kompanów. – Zabierzemy cię na zamek – wyjaśnił zwięźle, nie czekając na odpowiedź. – Quen, daj mi kawałek czystego płótna. – Ruchem głowy wskazał na sakwy przymocowane do siodła.

Kyla z wysiłkiem uniosła powieki. Wirujący w głowie bąk powoli zaczął zwalniać, a i żołądek zdawał się wracać na swoje miejsce. Jak przez mgłę dostrzegła klęczącego obok siebie ciemnowłosego mężczyznę. Zamrugła kilka razy. Obraz zaczął się wyostrzać, jednak natychmiast pożałowała, że widzi wyraźnie. Czarnowłosy osobnik opatrujący jej ranę bynajmniej nie wyglądał na pokojowo nastawionego. Jego mina dobitnie świadczyła, co najchętniej zrobiłby z leżącą dziewczyną: poćwiartował tępy toporem i zakopał. A potem wykopał, poskładał i powtórzył wcześniejsze czynności. Skończył już przemywać ranę i patrzył surowo na Kylę.

Wystraszyła się go. Grabieżcy? Bandyty? Ale po co by ją opatrywał? A może to handlarze niewolników, którymi straszyla ją Rebeka? Serce zatrzepotało w jej piersi niczym przerażony ptak próbujący uciec z klatki. Znowu zamrugła powiekami, ze strachem spoglądając na stojących nieopodal mężczyzn.

Na zamek? Na jaki zamek? Po co? Trzeba uciekać! Jak najszybciej!

Spróbowała się podnieść. Biegać umiała szybko. Nawet jeśli zaczęliby ją gonić, na pewno zdołałaby im umknąć. Przynajmniej musi spróbować... Napięła wszystkie mięśnie, nakazując im w myślach, aby dźwignęły zmęczone i potłuczone ciało, ale udało jej się jedynie nieco odsunąć. Syknęła cicho z bólu, kiedy poruszyła zwichniętą kostką.

– Zamierzasz pełznąć całą drogę? – Oschły ton sprawił, że znieruchomiała w mgnieniu oka. Spojrzała na potężnego, czarnowłosego mężczyznę, próbując opanować zawroty głowy.

– Chyba się ciebie boi. – Quen podszedł bliżej, podając przyjacielowi czyste kawałki płótna; nie znając Morhta, można się było wystraszyć jego ponurej gęby. Quen uśmiechnął się łagodnie do dziewczyny. – Nikt nie zrobi ci krzywdy – uspokajał ją. Popatrzyła na niego niepewnie. Cóż, odzyskanie przytomności w obcym lesie wśród grupy uzbrojonych mężczyzn z pewnością nie należało do miłych doświadczeń. – Jak cię zwą? – Przykucnął obok, odgarniając długie włosy dziewczyny tak, by Morht mógł opatrywać skaleczenie.

Powiodła wystraszonym wzrokiem od jednego najemnika do drugiego. Jasnowłosy

mężczyzna o łagodnych rysach twarzy wzbudzał o wiele większe zaufanie niż jego gburowaty kompan.

– Kyla – odezwała się cicho po dłuższej chwili.

Quen posłał jej kolejny krzepiący uśmiech, starając się wyglądać jak najprzyjaźniej. Na miejscu dziewczyny też zapewne nie czułyby się dobrze. Chociaż... Gdyby obudził się otoczony ślicznymi dziewczkami, chyba nie miałyby nic przeciwko. Oczywiście wiele zależałoby od ich zamiarów... Przez myśl przemknęła mu pewna rudowłosa osobka.

Potrząsnął głową, otrząsając się z krótkotrwałego rozmarzenia.

– To nasz dowódca Morht, ja jestem Quen, a tam stoją nasi ludzie – wyjaśnił, mając nadzieję, że to chociaż trochę uspokoi ranną dziewczynę. – Nie musisz się nas obawiać.

– Gotowe – burknął czarnowłosy, podnosząc się z ciężkim westchnieniem.

Podszedł do swojego konia, chowając w sakwie resztę czystych szmatek. Dopiął popręg, poprawił ogłowie i powiódł uważnym spojrzeniem po swoich podkomendnych, usilnie się nad czymś zastanawiając. Wreszcie ponownie westchnął, zaklął pod nosem, machnął zrezygnowany ręką i jednym susem wskoczył na siodło.

– Podaj mi ją. – Popatrzył na zastępcę, sadowiac się wygodniej. W jego głosie słychać było znużenie. – Sama nie da rady jechać. O ile w ogóle umie... – wyraził drwiąco swoją wątpliwość.

Kyla spojrzała z paniką na Quena, który delikatnie wziął ją na ręce, próbując nie urazić zwichniętej kostki. Odruchowo złapała go za szyję, kiedy podniósł się z nią w ramionach.

Pozostali najemnicy w milczeniu dosiadałi swoich wierzchowców.

– Jedź przodem. – Morht spojrzał na Willa. – Weź Urlina ze sobą, uprzedźcie Lady Lyanne – rozkazał, pochylając się i przejmując od zastępcy dziewczynę. – Pozbieraliście jej rzeczy? – spytał.

Sarthus potwierdził.

– Ale to Quen pobrudził jej ubrania. – W oczach Trevora pojawiły się wesołe iskielki.

– Skargi składać potem do niego.

– Quen! Dostanie ci się!

Morht pokręcił tylko głową, przysłuchując się przekomarzaniom swoich ludzi. Czasami zachowywali się jak stado szczeniaków, którym ktoś rzucił kość do zabawy. Niektórzy mężczyźni na zawsze pozostają w środku rozbrykanymi chłopcami.

Ostrożnie wciągnął Kyla na siodło, sadzając bokiem przed sobą, po czym jedną ręką objął ją mocno w talii, przyciągając do swojego torsu, a drugą ujmując wodze.

– Jeżeli spadniesz, przywiążę cię do konia i powlokę za sobą – oznajmił, na co jego ludzie zareagowali głośnym śmiechem. – Lepiej więc będzie dla ciebie, jeśli się mnie przytrzymasz – dodał tym samym srogim tonem, nie zwracając uwagi na rozbawionych towarzyszy.

Podniosła na niego przestraszone oczy; w odpowiedzi posłał jej tak nieprzyjemne spojrzenie, że czym prędzej zrobiła, co kazał. Szczupłe palce zacisnęły się na skórzanej zbroi zwiadowcy, gdy objęła go w pasie zdrową ręką; głowę oparła na ramieniu jeźdźca.

– Gotowa? – szepnął jej łagodnie wprost do ucha.

Zaskoczona nagłą zmianą w głosie mężczyzny, tylko kiwnęła głową.

– Ruszać! – zawołał głośno, odprowadzając wzrokiem Willa i Urlina, po czym ścisnął boki konia łydkami.

Wrota wieży bramnej zamku Laghortów były szeroko otwarte, a krata na końcu sieni podniesiona. Najemnicy z głośnym tętentem kopyt wjechali na dziedziniec, skręcając w prawo ku stajniom. Gdy przebrzmiał stukot podków ostatniego z wierzchowców, żelazne wrota zatrzasnęły się z hukiem, a kratownica opadła ciężko, zgrzytając łańcuchami.

– Biedactwo! – Lady Lyanna, poinformowana przez wysłanych wcześniej zwiadowców o znalezionej w lasach dziewczynie, szła szybkim krokiem w stronę Morhta, który zatrzymał się po lewej stronie dziedzińca, nieopodal pomieszczeń gospodarczych. Za nią dreptało kilka dziewczek ze służby zamkowej, zerkając z ciekawością na Kylę. – Morht, wyślij kogoś po medyka do Terlinu i zanieście ją do komnat gościnnych – zadysponowała Lady.

Mężczyzna skinął głową, gestem ręki wzywając do siebie Sarthusa.

– Rozsiodłajcie konie, niech Trev pojedzie po medyka, a ty pomóż jej dotrzeć do komnat – polecił, pomagając dziewczynie zsunąć się z siodła. – Eryk jest u siebie? – Przeniósł wzrok na Lyannę.

– Tak – odparła szybko, podtrzymując Kylę. – Seleno. – Odszukała wzrokiem dziewczynę zajmującą się kuchnią zamkową. – Przynieście na górę coś do jedzenia i picia.

Czarnowłosey bez słowa zawrócił wierzchowca w stronę stajni. Zwinnie zeskoczył z konia, rzucając wodze stajennemu. Po czym ruszył w stronę środkowego skrzydła zamku, gdzie oprócz pomieszczeń kuchennych, jadalni i zbrojowni, przy której miał swoją kwaterę, mieściły się komnaty Laghortów.

Kyla poczuła się pewniej, widząc inne kobiety, i z zaciekawieniem rozejrzała się wokół. Olbrzymi, kwadratowy dziedziniec otaczały arkady. Na wprost bramy wjazdowej, na drugim końcu podwórca, dostrzegła kamienne schody prowadzące na piętro. Tam skierował się Morht. Po prawej stronie placu w połowie ściany arkady ustępowały miejsca zabudowaniom. Równomiernie rozmieszczone w murze okienka sugerowały, że znajdują się tam komnaty mieszkalne. Czyje? Tego jeszcze nie wiedziała.

– Tutaj, Sarthusie. – Lyanna powierzyła dziewczynę silnym rękóm najemnika i ruszyła przodem, wskazując mu drogę. Weszli w krużganek.

Kyla z uwagą przyglądała się kamiennym łukom z prawej strony i wysokim, prostokątnym otworom w murze po lewej. W jednym z nich zniknęła Lady. Sarth niosący dziewczynę podążył za nią. Weszli do długiego korytarza, ciągnącego się aż do środkowej części zamku. Kyla ze zdumieniem zauważyła po lewej stronie kilkoro drzwi. Popatrzyła pytająco na najemnika.

– Magazyny, spiżarnie – wyjaśnił krótko, nie zatrzymując się.

Korytarz kończył się szerokimi kamiennymi schodami, wiodącymi na piętro. Na ich szczycie stała Lyanna, czekając na nich. Na górze skręcili w lewo, w kolejny korytarz biegnący przez wschodnie skrzydło zamku. Po obu jego stronach znajdowały się drzwi do pokoi służby zamkowej i komnat gościnnych. Cztery płonące pochodnie, umieszczone pod sufitem, rozjaśniały mrok. Lyanna pchnęła drugie drzwi po prawej i wskazała dłonią szerokie łóżko. Sarth posadził na nim dziewczynę, po czym szybko zniknął za drzwiami, wracając do swoich kompanów.

– Jestem Lyanna, żona Eryka Laghorta, pana tego zamku. – Kobieta uśmiechnęła się

przyjaźnie. – Nikt tutaj nie zrobi ci krzywdy. Jak się czujesz? – spytała z troską, przyglądając się uważnie niespodziewanemu gościowi.

– Chyba dobrze – odparła Kyla, czując, że faktycznie nic jej tutaj nie grozi. No chyba że ze strony czarnowłosego najemnika o wrogim spojrzeniu.

Rozejrzała się po komnacie. Pierwszy raz była w takim miejscu. Na wprost wejścia stała wysoka drewniana szafa zdobiona snycerką. Po jej prawej stronie znajdowało się łóżko z wysokim wezglowiem, na którym właśnie siedziała. Pod oknem mieściły się niewielki stół i krzesło. W rogu ustawiono kominek; obok ułożono zgrabny stosik polan. Na ścianach wisiały kolorowe tkaniny przedstawiające roślinne ornamenty.

– Jak doszło do tego, że nasi ludzie cię znaleźli? – spytała z ciekawością Lyanna, przysuwając krzesło do łóżka.

Kyla opowiedziała pokrótce o kłótni z Rebeką, która chciała ją wydać za starego Zarena, o ucieczce z Vinrydu i spotkaniu dziwnego wilka oraz zjawy.

– Zjawa? – zdziwiła się Lyanna. Już kiedyś słyszała o pojawiającym się w okolicach jeziora duchu. – Pamiętasz, jak wyglądała?

Kyla pokiwała głową i zaczęła opisywać mężczyznę. Przerwała jej Selena, która weszła, niosąc na tacy dzbanek naparu z mięty, kubek i miskę parującej potrawy. Postawiła naczynia na stole.

– Smacznego – powiedziała, uśmiechając się życzliwie do Kyli. Wychodząc, cicho zamknęła za sobą drzwi.

Lady Lyanna przesunęła ostrożnie stół bliżej łóżka.

– Zostawię cię teraz samą – oznajmiła. – Kiedy tylko dotrze medyk, wrócę z nim tutaj. Odpocznij – poleciła łagodnie.

– Dziękuję. – Kyla popatrzyła z wdzięcznością na kobietę. – Przepraszam za kłopot... – Nie wiedząc, co powiedzieć, odgarnęła włosy z czoła. – Nie sądziłam... – Umilkła speszona.

Nie przywykła, by ktokolwiek jej usługiwał; zwłaszcza osoba wyższego stanu. Co do opieki – jedyną osobą, która o nią naprawdę dbała, był Daveth. Ale on już nie wróci... Zresztą od kilku lat i tak musiała sama troszczyć się o siebie.

– Postaram się jak najszybciej ruszyć w dalszą drogę – obiecała.

Lyanna spojrzała na nią uważnie.

– Nikt cię stąd nie wygania – oznajmiła po dłuższej chwili. – Poza tym kilka dni odpoczynku dobrze ci zrobi. – Uśmiechnęła się. – Muszę jednak wysłać kogoś do Vinrydu z wiadomością, że jesteś bezpieczna.

Kyla skrzywiła się z niechęcią.

– Nie wrócę tam.

– Wiem, dziecko, że nie wrócisz. – Lyanna z matczyną czułością pogładziła ją po głowie. – Twoi opiekunowie muszą jednak wiedzieć, że nic ci się nie stało i że sama podjęłaś decyzję o wyjeździe.

– I tak nikogo to nie obejdzie – burknęła z pewnym żalem. – No może poza Garthem, któremu Zaren nie wykreśli z księgi długu.

Lady Lyanna podniosła się z krzesła.

– Nie myśl o tym teraz – poradziła i opuściła komnatę.

Rebeka zgięła się w służalczym ukłonie na widok wchodzącego do izby mężczyzny.

– Siadaj, siadaj, drogi Zarenie. – Wytarła spiesznie mokre ręce w fartuch i wskazała gościowi miejsce przy zastawionym smakołykami stole.

Tłusty karczmarz, sapiąc i wzdychając, wtoczył się do środka z wyraźnym trudem. Gdy usiadł, stołek zaskrzypiał głośno pod jego ciężarem. Mężczyzna rozejrzał się po chacie, w myślach szacując wartość mieszczących się w niej sprzętów. Ubogo tu było. Dziewczyna powinna być wdzięczna, że ją stąd zabierze.

– Może skosztujesz udźca? – Garth podsunął spory kawał mięsiwa pod nos karczmarza.

– Dzisiaj upiekłam – pochwaliła się Rebeka. – Specjalnie dla naszego drogiego gościa – przymilała się. – To dla nas wielki... – zająknęła się i podrapała frasośliwie po głowie – ten, eee... tego... zaszczyt! – odszukała w pamięci zagubione słowo.

– Zamknij się wreszcie, babo – burknął Garth. – Piwa nam dolej, a nie tylko gadasz i gadasz.

Rebeka rzuciła się napełniać stojące na stole kufle, usługując karczmarzowi, jakby do chaty zjechał jakiś wielmoża. Potem zadowolona zaplotła ręce na piersiach. Nagle przypomniała sobie o celu tej wizyty. Podskoczyła w miejscu, jakby ją kto ukłuł czymś ostrym w tyłek.

– Kyło! – Szybko dostawiała drabinę pod wejście na poddasze. – Zejdz, kochana! – zawołała. – Mamy gościa! – Odwróciła głowę w stronę stołu i uśmiechnęła się uniżenie do Zarena.

Na górze panowała niczym niezmacona cisza. Rebeka przez chwilę nasłuchiwała.

– Kyło! – zawołała ponownie.

Gdy i tym razem nie było odzewu, zerknęła niepewnie na męża.

– Może śpi – mruknął, odstawiając kufel z piwem i wstając od stołu. – Kyla! – krzyknął, wspinając się po drabinie. Był w połowie drogi, kiedy szczeble pod nim zatrzeszczały groźnie. Jedną ręką przytrzymał się drabiny, a drugą pchnął klapę. Wejście zbite z kilku starych desek ani drgnęło. – Kyla! – wrzasnął podenerwowany. – Tyłek ci stłukę, jeśli zaraz nie zejdziesz!

Rebeka popatrzyła niespokojnie na Zarena, który zdawał się nie przejmować całą sytuacją. Z głośnym mlaskaniem pałaszował udziec. Co jakiś czas rozlegało się donośne gulgotanie przełykanego piwa.

Evan przycupnął nieopodal stołu i przyglądał się gościowi z ciekawością. Jedzący karczmarz przypominał mu świnie w zagrodzie, które tak samo chlapały dookoła i wydawały różne odgłosy, zanurzając ryje w korycie. Zmarszczył brwi, zastanawiając się nad czymś.

– Ty też jesz resztki? – ośmielił się w końcu spytać. – Bo matka karmi nasze świnie...

– Evan! – Rebeka przeciągnęła mokrą szmatą po głowie chłopca. – Wynos się stąd! Nie przeszkadzaj naszemu zacnemu gościowi! – skarciła syna, który skulił się i z ociąganiem zrobił kilka kroków w stronę drzwi.

Karczmarz przerwał posiłek i zerknął na malca.

– Czego? – burknął pod nosem, ocierając owłosionym łapskiem mięsiste, sino czerwone usta. – Lepiej przyprowadź swoją śliczną siostrę. – Uśmiechnął się obleśnie, pokazując szczyrby w uzębieniu.

– Wynos się! – Rebeka pchnęła chłopca w plecy.

Wygoniony przez matkę, Evan czym prędzej wybiegł z chaty. Na zewnątrz mógł obserwować, jak ojciec wspina się po drabinie do okna pokoiku Kyli. W napięciu patrzył, czy uda mu się przecisnąć przez niewielki otwór.

Złorzeczając głośno na niesforną podopieczną, Garth wreszcie dostał się na stryszek.

– Nie ma jej! – krzyknął, zaskoczony widokiem pustej izdebki. Odsunął łóżko zastawiające wejście i otworzył klapę, spoglądając na stojącą w dole żonę. – Nie ma jej! – powtórzył i rozejrzał się jeszcze raz po niewielkim pomieszczeniu, jakby liczył na to, że Kyla wyskoczy nagle z którejsz ze ścian. – Drabinę mi podsuń, nie będę łaził w tę i z powrotem przez okno – zarządził.

Rebeka popatrzyła ze strachem na Zarena. Jak to nie ma? Przecież sama ją tam zamknęła. Specjalnie zabrała drabinę, żeby nie uciekła! Zrobiło jej się zimno. Jeśli nie znajdą Kyli, będą musieli zapłacić Zarenowi zaległe należności. Przełknęła nerwowo ślinę. Gdyby Garth nie spędzał tyle czasu w karczmie, może długu by nie było. A przynajmniej nie byłby tak duży. Skoro karczmarz zgodził się wykreślić owo nieszczęsne zadłużenie w zamian za Kylę, Rebeka uważała, że obowiązkiem młódki było pomóc opiekunom.

A teraz co?

Przyszły oblubieniec czekał, a oblubienica zniknęła. Ze złości na dziewczynę aż łzy zakręciły się jej w oczach.

– Niech tylko ją znajdę – szepnęła mściwie – kara jej nie minie.

– Drabina, babo! – zakrzyczał z góry zdenerwowany Garth. – Głupie toto jak każda baba – rzucił do Zarena. – Trzeba po kilka razy powtarzać, żeby zrozumiała. – Zszedł wreszcie ostrożnie po trzeszczących szczeblach. – Znajdziemy ją – zapewnił gorliwie, patrząc przekrwionymi oczami na karczmarza.

Zaren tymczasem odłożył spokojnie łyżkę i oblizwał głośno palce. Podniósł się ciężko z za stołu, poprawiając koszulę na wydatnym brzuchu.

– Lepiej, żeby się znalazła – oznajmił. – Chyba że chcieliście sobie ze mnie zakpić. – Powiódł chytrym spojrzeniem po opiekunach Kyli.

– Nie, nie, skądże! – zapewniła solennie Rebeka, kłaniając się nisko. – Nie śmielibyśmy, dobrodzieju nasz! – Pocałowała go w tłuste łapsko. – Polazło gdzieś dziewczusko, niedługo pewnie wróci.

– No, no. – Pokiwał im groźnie palcem, wytaczając się z chaty.

Ledwie zniknął za płotem otaczającym gospodarstwo, Garth posłał żonie pełne wyrzutu spojrzenie.

– To twoja wina, głupia! – warknął rozzłoszczony. – Trzeba było ją związać!

– Nie trzeba było tyle chlać w karczmie! Pijusie durny! – nie pozostała mu dłużna.

Mężczyzna popchnął ją, aż zatoczyła się na ścianę.

– Bacz, kobieto, do kogo mówisz! – Pogroził jej pięścią.

– O! Znalazł się wielki pan! – odwarknęła z wściekłością, rozglądając się za czymś, co można by złapać, a potem rzucić w pyskującego męża.

Evan patrzył spokojnie na kłócących się rodziców. Wiedział dobrze, co będzie dalej. Jak co wieczór powrzeszczą na siebie, pobiją się, a potem pójdą spać. Pięciolatek westchnął ciężko. Niezauważony przez zaciętrzewionych dorosłych, ściągnął cichaczem koc z łóżka matki, złapał po drodze niedojedzony przez Zarena kawałek udźca i wymknął się na podwórze.

Zakradł się do szopy, gdzie umościł sobie wygodne posłanie na słomie i szybko zapadł w sen.

Nazajutrz, ledwie zza chmur błysnęły pierwsze promienie jesiennego słońca, na drodze prowadzącej do Vinrydu pokazało się dwóch jeźdźców. Przejechali powoli i spokojnie przez wioskę, zaglądając do zamkniętej jeszcze karczmy, by wreszcie zatrzymać się przy kuźni, wypytując o coś. Kował, który pracował już od bladego świtu, aż na drogę wyszedł, wskazując na jedną z chat. Kiedy odjechali, patrzył za nimi z zaciekawieniem. Zastanawiało go, czego zbrojni mogą chcieć od ciągle pijanego wieśniaka.

Jeźdźcy śmiało wjechali na podwórze Gartha, zatrzymując się nieopodal szopy i zsiadając z koni. Jeden z nich podszedł do chaty i pięścią w skórzanej rękawicy załomotał w drzwi.

Evan, schowany za uchylonymi drzwiczkami szopy, przyglądał się mężczyznom z zachwytem. Lśniące miecze przy pasach wzbudziły podziw chłopca. Podobną rzecz, tylko o wiele mniejszą, miała jego siostra. Jak ona na to mówiła? Evan zmarszczył czoło w skupieniu. Aha! Sztylet! Ciekawe, gdzie jest Kyla. Od wczoraj jej nie widział. Gdy wróci, musi opowiedzieć jej o przybyszach. I o ich pięknych ubraniach! Sam chciałby mieć takie. Na pewno byłoby mu w nim o wiele cieplej niż w połatanej koszulinie, którą nosił. Matka powiedziała, że na więcej jeszcze nie zapracował. A w takich wysokich butach z wywiniętymi cholewami na pewno nie marzyłyby mu stopy i mógłby biegać po lesie, nie bojąc się, że znowu rozetnie skórę na ostrym kamieniu. Oderwał na chwilę wzrok od zbrojnych mężczyzn i pogładził palcem bliznę na stopie. Kyla miała buty. Gdy tylko matka wyjdzie z chaty, zakradnie się do izdebki siostry i ich poszuka. Ugryzł kawałek zimnego udźca, który został mu od wczoraj, i na powrót wbił oczy w jeźdźców. Ten większy znowu uderzył kułakiem w drzwi. Rebeka jednak nie spieszyła się z otwarciem. Chłopiec zastanawiał się właśnie, czy wyjść i powiedzieć nieznanym, że matka pewnie jeszcze śpi, kiedy dostrzegł jakieś poruszenie przy płocie ogradzającym gospodarstwo.

Ku swojemu zdumieniu rozpoznał jedną z córek karczmarza, Irinę, która rozglądając się czujnie na boki, stawiała niepewne kroki w stronę przybyszy. Upewniwszy się, że nikogo nie ma na drodze, podbiegła szybko do jednego z nich, rzucając mu się z piskiem na szyję. Mężczyzna nie wydawał się tym specjalnie zaskoczony. Przytulił dziewczynę do siebie, pocałował na powitanie, a potem wskazując na chatę, spytał o coś. Pokiwała twierdząco głową.

Drugi z nieznanym, mocno zniecierpliwiony, kolejny raz załomotał pięścią w drzwi.

– Otwierać, do diaska! – Trevorowi znudziło się czekanie. – Mamy wiadomość od Sir Laghorta! – zawołał.

Will tymczasem nie wypuszczał z objęć córki karczmarza, szepcząc jej coś do ucha. Dziewczyna zaśmiała się wesoło, patrząc na niego błyszczącymi oczami.

W końcu na progu chaty pojawiła się ziewająca Rebeka.

– Czego tu? – burknęła, trąc powieki.

– Sir Laghort kazał przekazać, że niejaka panienka Kyla znalazła bezpieczne schronienie na zamku – Trevor wyrecytował treść listu, podając kobiecie zwinięty papier.

– Kyla? – Dopiero teraz dotarło do niej, kto przed nią stoi. – Gdzie jest ta niewdzięczna dziewczucha? – Otworzyła szerzej oczy.

– Kyla? – Za plecami żony pojawił się Garth. Drapał się po głowie brudnymi rękami. –

Gdzie ta wstrętna dziewczka? Przyjechała z wami? – dopytywał się, zerkając podejrzliwie na zbrojnego.

– Jest gościem na zamku Sir Laghorta – wyjaśnił spokojnie Trev.

Śmierdzący opilstwem Garth nie wzbudził w nim sympatii. Rozczochrana, umorusana Rebeka, z siniakiem na policzku po wieczornej kłótni z mężem, nie wyglądała lepiej. Już nie dziwiła go ucieczka dziewczyny – o czym dowiedzieli się wczoraj od Laghortów – z takiego domu i od takich opiekunów.

– Jedź po nią, stary durniu! – Rebeka wypchnęła Gartha z chaty. – Trzeba ją przyprowadzić Zarenowi!

Trevor pokręcił przecząco głową.

– Lady Lyanna kazała przekazać to. – Podał kobiecie ciężki mieszek. – Powinno starczyć na uregulowanie długu u karczmarza i konieczne naprawy w gospodarstwie. – Popatrzył z pogardą na stojącą przed nim parę.

Rebeka gwałtownie wyrwała mu sakiewkę z ręki, czym prędzej rozwiązując rzemyk i zaglądnęła chciwie do środka. Kilka monet wypadło na ziemię, kiedy gmerała w niej palcami. Garth z szybkością, o jaką nikt by go nie podejrzewał, schylił się i pozbiierał upuszczone pieniądze. Gdy chował je za pazuchę, na jego twarzy pojawił się wyraz zadowolenia.

– Stary! Zapłacili nam za nią! – zawołała ucieszona Rebeka. – Mój dobry panie! – Padła do kolan zbrojnemu, próbując uchwycić jego rękę i złożyć na niej soczysty pocałunek wdzięczności.

Trevor cofnął się, z obrzydzeniem wyszarpując dłoń. Uznawszy, że wykonał powierzone sobie zadanie, wszak dostarczył list i mieszek, ruszył szybkim krokiem w stronę towarzysza.

Rebeka nie zaprzętała już sobie głowy przybyszami; z wypiekami na twarzy liczyła złote monety. Garth, który z pieniędzmi na kolejne kufle piwa poczuł się o wiele lepiej, wymykał się chyłkiem z obejścia.

Evan obserwował całą scenę z dziecięcą ciekawością. Nie rozumiał zbytnio, co się stało. Rodzice sprzedali jego siostrę? Widząc, że obaj jeźdźcy dosiadają koni, wyprysnął z szopy i podbiegł do Willa żegnającego się z córką karczmarza. Uczeplił się strzemiona.

– Mogę jechać z wami? – Popatrzył błagalnie na najemnika.

Zaskoczeni mężczyźni spojrzeli po sobie. Trevor pochylił się i pogłaskał chłopca po głowie.

– Jak trochę podrośniesz – odparł.

Usteczka Evana wygięły się w podkówkę, w oczach błysnęły łzy.

Will ostatni raz musnął wargi dziewczyny, po czym obaj mężczyźni spięli konie i wypadli na drogę, puszczając się galopem w stronę Metllasu.

Kyla przechadzała się po zamku Sir Laghorta, odkrywając kolejne, nieznane jeszcze miejsca. Do tej pory starała się nie oddalać zbytnio od komnaty, w której ją umieszczono, i spacerowała tylko głównymi korytarzami. Ponieważ jednak kostka z dnia na dzień bolała coraz mniej, a rana na skroni goiła się zadziwiająco szybko i nie wymagała już opatrunku, pozwoliła sobie na dłuższą wędrówkę.

Wszystko było tu dla niej nowe. Z ciekawością zaglądała do otwartych komnat,

przypatrując się sprzętom, o których w wiejskiej chacie mogła tylko pomarzyć, jak baldachimy nad wygodnymi, szerokimi łózkami czy niewielkie, rzeźbione stoliki stojące tuż przy nich. Część komnat była pusta i niezamieszкана; wiało z nich chłodem, który dziwnie trwożył dziewczynę. Z takich miejsc odchodziła pospiesznie, szukając ciepła i śladów ludzkiej obecności. Chętnie za to wyglądała przez okienka na tereny rozciągające się za zamkiem, które mimo jesiennej pory wciąż cieszyły oko zielenią lasów i łąk, podbarwioną czerwieniami, żółciami i brązami.

Już wcześniej znalazła kilka przejść, ukrytych za niepozornymi drzwiami, prowadzących ciemnymi korytarzami gdzieś w dół, jednak brakowało jej odwagi, by się tam zapuścić. Kto wie, dokąd prowadzą? Bujna wyobraźnia podsuwała małe, mroczne pomieszczenia pełne robactwa i szcurów, ocierających się zniechęca o nogi lub gryzących w stopy. Może trafiłaby na jakiegoś trupa? Potknęłaby się o niego i upadła na zimne, rozkładające się ciało? A jeżeli tam kogoś więziono? Torturowano? Lepiej się tam nie zapuszczać.

Swoich wybawicieli nie widziała od kilku dni, czyli od chwili kiedy pozostawili ją pod opieką Lady Lyanny. Czasami słyszała jakieś męskie głosy dochodzące zza drzwi, jednak nie czuła się na tyle pewnie, aby wyjrzeć i sprawdzić, do kogo należą. Poza tym wciąż miała w pamięci zaciętą minę mężczyzny, którego nazywali Morhtem. Najzwyczajniej w świecie bała się go. Wydawał jej się jednym z tych okrutnych stworów, którymi w dzieciństwie straszyla ją Rebeka. Może nawet nie był człowiekiem? Bo jaki człowiek patrzyłby tak zimno, z taką niezrozumiałą wrogością, świdrując oczami duszę na wylot? Wzdrygnęła się, czując na plecach nieprzyjemny dreszcz.

Codziennie przychodziła jedna ze służebnych, przynosząc jedzenie. A i sama Lady Lyanna doglądała jej w wolnych chwilach. Sprowadzony przez nią medyk nie stwierdził poważniejszych obrażeń, toteż pozostawiono Kyle w spokoju, by mogła dojsć do siebie. I dochodziła. Zajadając się podsuwanymi smakołykami, zwiedzając zamek, rozmawiając z innymi mieszkankami i... uciekając czym prędzej, gdy tylko do jej uszu dotarł niski głos Morhta.

Lady Lyanna przeglądała rzeczy dziewczyny dostarczone przez zwiadowców i uśmiechnęła się leciutko na widok sztyletów oraz strzał. Spojrzała łobuzersko na swojego męża.

– Kiedy Kyla wydobrzeje, musimy wybrać się razem na polowanie. Zdaje mi się, że umie posługiwać się swoją bronią.

Sir Eryk, zajęty rachunkami, pokiwał tylko głową. Wiedział, że żonie doskwiera brak kobiecego towarzystwa. Tęskniła zwłaszcza za taką towarzyszką, która rozumiałaby jej pasję, jej uwielbienie dla polowań i walki. Kobiety, które służyły na zamku, nie pojmowały, jak dama o jej pozycji może odziewać się w męski ubiór, pokazywać ubrudzona zwierzęcą posoką czy jeździć konno wraz z grupą najemników. I na domiar złego ćwiczyć wraz z nimi na dziedzińcu! Nieraz widząc swoją panią walczącą na placu z Morhtem lub Quenem, odwracały strwożony wzrok, w każdej chwili oczekując ran na jej ciele. A gdy dołączał do nich Sir Eryk, pospiesznie znikwały w kuchni, zdając relację pozostałym służkom z oburzających według nich poczynań Lyanny. Uważały, że powinna siedzieć w swojej komnacie i... tu nie przychodziło im do głowy nic sensownego.

Selena, którą milcząco zwykle Artch uczył w tajemnicy przed wszystkimi fechtunku, wrzuciła drwiąco ramionami, słuchając kolejnej porcji kuchennych plotek.

– Robotę byście sobie znalazły – burknęła, mieszając wielką chochlą w kotle. – W szwalni od dwóch dni leżą koszule do naprawy. Will już kilka razy pytał, czy spodnie, w których polował, wrócą wreszcie wyczyszczone. A wy siedzicie, grzejecie tyłki w ciepłe i ozorami po próżnicy macie – zrugła je.

Łaziebna Ariena, którą Morht dwa tygodnie temu przywiózł na zamek, prychnęła oburzona zwróceniem uwagi. Nie będzie jej rozkazywała byle kucharka.

Vanora, dbająca o porządek w komnatach, bez słowa wyszła z kuchni.

Derra, która nie oczyściła jeszcze odzienia Willa, westchnęła ciężko.

– Dzisiaj to zrobię – mruknęła niezadowolona.

– Oby. – Selena popatrzyła na nią surowo. – Catrin, nałóż Kyli kolację i zanieś na górę – poleciła swojej pomocnicy.

Usiadła ciężko przy stole, odprowadzając wzrokiem wychodzące z dużej i ciepłej kuchni dziewczęta. Poirytowana, wrzuciła ramionami. Ariena mogłaby wreszcie włożyć na siebie coś porządnego, a nie biegać po zamku w kusej sukni. Derra zabrałaby się lepiej za robotę, zamiast tu przesiadywać. Siedzą i gadają, gadają i leniuchują... Zezłościła się i trzasnęła chochlą w kocioł zawieszony nad paleniskiem. Też nie mają co robić, tylko plotkować o swojej pani. Gdyby nie Lady Lyanna, to pewnie do tej pory czyściłyby świńskie zagrody z gnoju albo robiły coś znacznie gorszego.

Lady Lyanna siedziała tymczasem w komnacie swego męża, na brzegu szerokiego stołu, machając swobodnie nogami. Przeciągnęła się, prostując w górę ramiona. Poprawiła kosmyk włosów wymykający się spod upięcia i strzepnęła palcami niewidzialny pyłek z sukni.

– Kyla wspominała o zjawie – poinformowała Eryka. – Z opisu wydaje się podobny do... – zawiesiła głos, spoglądając na przedwcześnie posiwiąłą skroń męża.

– To przecież niemożliwe – powiedział, nie odrywając wzroku od rachunków. – I znowu

się nie zgadza – mruknął pod nosem, a ręka, w której trzymał pióro, zawisała nad kartką papieru. – Karczmarz twierdzi, że wydał dwadzieścia beczek, a dotarło osiemnaście...

– Zauważ, mój drogi, że to już kolejna taka wiadomość o nim. – Pochyliła się nad stertą papierów i wyciągnęła jeden z nich, podsuwając mężowi pod nos. – Dwie zabrał Will. – Smukłym palcem wskazała na nierówne pismo. – Mieli je zawieźć do Rodasu.

– No to się zgadza. Przecież Darher nie żyje od dawna. – Podniósł na nią zmęczony wzrok. Na dzisiaj miał już dość sprawdzania papierzysek. Rozboliła go głowa, a cyfry skakały przed oczami niczym wygłodniałe pchły na chudym psie.

– Od siedemnastu lat. – Lyanna popatrzyła znacząco, przesuwając kałamarz i wyjmując pióro z palców mężczyzny. – Kyla ma około siedemnastu lat.

Eryk odchylił się na krześle, prostując pod stołem nogi, i zamyślił się ze wzrokiem wbitym w niewielki portret stojący na blacie. Widniejący na nim mężczyzna miał długie jasne włosy, swobodnie opadające na ramiona, i stał w zwycięskiej pozie nad upolowanym niedźwiedziem. Jasne, niebieskie oczy patrzyły śmiało przed siebie.

– Sądzisz, że to ona...? – Spojrzał pytająco na żonę, łapiąc jej rękę i ściskając lekko palce. Odwzajemniła uścisk, patrząc na niego z czułością.

– Jestem tego prawie pewna – odparła. – Gdybyśmy tylko zdobyli jakiś przekonujący dowód. – Zsunęła się zwinnie ze stołu.

Eryk nie raz wypominał sobie w duchu, że nic nie zrobił, aby odnaleźć ukochaną brata bądź dowiedzieć się czegoś o jej losie.

– Podobno Kyla pochodzi z Vinrydu – zauważył. – Kerna mieszkała w Metllasie.

– Jest bardzo do niego podobna – upierała się Lyanna, przechadzając się szybkim krokiem po komnacie. Stała przy oknie, marszcząc czoło i zastanawiając się nad czymś.

– Wyślij kogoś do Vinrydu, niech popytają – zaproponował.

– Wysłałam Treva i Willa. Opiekunowie wpadli niemal w zachwyt, kiedy dostali złoto. Reszta już ich nie obchodziła – oburzyła się. – Zapewne równie chętnie sprzedaliby ją handlarzom niewolników, gdyby tylko dostali odpowiednią zapłatę.

– Opiekunowie? – zdziwił się.

– Tak o nich mówiła, więc poleciłam naszym chłopcom dowiedzieć się czegoś więcej. Rebeka i Garth nie są jej rodzicami. Podobno to wujostwo. Jakiś młokos przywiózł ją do nich, gdy była malutka. Przez pewien czas opiekowali się jeszcze jakimś chłopcem, starszym od niej. Podobno odszedł z wioski, dołączając do grupy zbrojnych. Mętnie to tłumaczyli.

– Dowiedzieli się czegoś o nim? – zainteresował się Eryk.

Lyanna pokręciła przecząco głową.

– Nikt nic nie wiedział bądź nie chciał powiedzieć – odparła.

– Wyślę tam Morhta – zdecydował. – Każdego zmusi do mówienia. – Zaśmiał się cicho.

Kyla wędrowała samotnie po ciemnych korytarzach zamku. Niepostrzeżenie przeszła środkowe skrzydło i znalazła się w prawym, gdzie swoje kwatery mieli najemnicy. Dostrzegła niewielki wyłom w murze, a za nim kamienne schody prowadzące w dół. Czyżby było to jedno z miejsc, których się obawiała? Jak długo jednak można ulegać strachowi? Skoro inni chodzili po zamku bez obaw, czemu jej miałyby się coś stać?

Ostrożnie postawiła bose stopy na pierwszym stopniu. Umocowane na ścianach pochodnie rozjaśniały nieco panującą tutaj ciemność. Wąski korytarz, w którym się znalazła, zdawał się nie mieć końca. Po jednej jego stronie znajdowały się pozamykane na głucho drzwi. Dotykając opuszkami palców zimnego, chropowatego muru, ruszyła przed siebie. Ciało okryte tylko koszulą, na którą narzuciła cienką suknię, zdrzało od chłodu. Oderwała palce od kamiennej ściany i roztarła dłońmi nieco zmarznięte ramiona. Mimo chłodu uparcie szła naprzód.

Na końcu korytarza zauważyła niewielkie, drewniane drzwi. Pchnęła je, a gdy uchyliły się z cichym skrzypieniem, dostrzegła kolejny korytarz, skąpo oświetlony jednym łuczywem, wiodący schodami w dół i skręcający w prawo. Wyjęła pochodnię z uchwytu, oświetlając sobie drogę, i ruszyła przed siebie. Wreszcie ukazały się kolejne drzwi. Sygnet zawieszony na szyi zaczął promieniować ciepłem, zupełnie tak samo jak kilka dni temu w lesie. Zaskoczona ujęła go w palce i obejrzała uważnie. Lśnił srebrnym blaskiem, jak wtedy gdy pierwszy raz trzymała go w dłoni.

Przystanęła przed drzwiami i po chwili zastanowienia popchnęła je lekko. Uchyliły się, o dziwo, bezszelestnie; Kyla wsunęła do środka głowę, unosząc wyżej pochodnię.

Niewielkie pomieszczenie, rozjaśnione nikłym blaskiem księżyca, wpadającym przez okno wykute w jednej ze ścian, i płomieniem łuczycywa, wyglądało na czyjąś komnatę. Obrzuciła wzrokiem wewnątrz, szukając śladu właściciela. Kiedy przekonała się, że nikogo tu nie ma, śmielej weszła do środka. Dostrzegła wiszący na ścianie kaganek i zapaliła go od pochodni. Sama zaś cofnęła się i umocowała łuczywo w uchwycie na ścianie korytarza. Pamiętała o wskazówkach Lyanny, aby nie pozostawiać pochodni w komnatach. Wydobywający się z nich dym w zamkniętych pomieszczeniach gryzł w oczy, natomiast na korytarzach przepływał powietrze pozwalał uniknąć nieprzyjemnych konsekwencji.

Kyla zamknęła za sobą drzwi i rozejrzała się z ciekawością po komnacie. Stożące pod ścianą łóżko było porządnie zasłane; wyglądało, jakby nikt na nim nie spał od dłuższego czasu. Dotknęła delikatnie szorstkiego koca, zastanawiając się, do kogo należy. Na szafce stojącej obok łóżka zauważyła czyjąś wstążkę. Wzięła do ręki miękki materiał i przytknęła go do nosa, wdychając przyjemną woń. Przymknęła oczy...

Zapach kojarzył się z ogrodem pełnym kwiatów. Wyobraziła sobie rabatki z rozkwitającymi różami. Biegące pomiędzy nimi piaszczyste alejki prowadziły do ławki, przy której rośl jaśmin. Po dłuższej chwili otworzyła oczy i odłożyła wstążkę na miejsce.

Na stojaku znajdującym się nieopodal zauważyła skórzaną zbroję i miecz. Jednak jej uwagę przyciągnął wiszący na ścianie łuk. Wyciągnęła dłoń, bezwiednie dotykając palcami wyszlizganego drewna. Przypomniało jej się ostatnie polowanie w lesie, które skończyło się awanturą i ucieczką z domu. Nagle zatęskniła za rodzinną wioską. Za Evanem, którego bardzo jej brakowało. „Mój mały braciszek” – pomyślała tkliwie. W oczach zakręciły się łzy. Oderwała dłonie od łuku i odwróciła się, zamierzając wyjść.

Rozejrzała się jeszcze raz po słabo oświetlonym wnętrzu i jej wzrok zatrzymał się na portrecie wiszącym przy drzwiach. Nie zauważyła go wcześniej. Zaciekawiona podeszła bliżej i zdzierając głowę, przyjrzała się obrazowi dokładniej. Z płótna spoglądał na nią niebieskooki mężczyzna o jasnych, sięgających ramion włosach. Ugiętą w kolanie nogę opierał na upolowanym niedźwiedziu; odziany w luźną koszulę i skórzane spodnie, patrzył pewnie przed siebie.

Zadrżała ze strachu.

Widziała go już kiedyś... Przez głowę przemknęło jej wspomnienie półnagiego mężczyzny z krwawą raną biegnącą przez twarz i w poprzek torsu. To był ten sam człowiek! Z wrażenia przysiadła na zimnej posadzce, zasłaniając usta dłonią.

– Bogowie... – szepnęła przez ściśnięte gardło.

Mężczyzna na portrecie uśmiechnął się łagodnie. Wbiła w niego rozszerzone lękiem oczy. Powoli wstała i starając się nie spoglądać w stronę portretu, podeszła do drzwi, szarpnęła za klamkę i wypadła na zewnątrz.

Zdyszana, z rozwianymi włosami, biegła ciemnym korytarzem, chcąc jak najszybciej uciec od budzącej przerażenie komnaty. Byle jak najdalej od tego portretu. Bose stopy plaskały głośno o kamienną posadzkę, kiedy gnała niczym spłoszona sarna umykająca przed bezlitosnym łowcą. Płomienie łuczyw migotały niespokojnie, gdy pokonywała kolejne schody i skręciwszy w prawo, pędziła długim korytarzem. Zdawało jej się, że ktoś ją śledzi, czekając na dogodną okazję, aby zacisnąć na jej szyi ręce splamione krwią. Czuła wyraźnie czyjś oddech na karku.

Już ją dogania! Zaraz złapie!...

Bała się odwrócić, by sprawdzić, czy istotnie ktoś ją ściga, czy to tylko wytwór jej wyobraźni. Naraz dotarło do niej, że chyba zabłądziła do innego skrzydła zamku niż to, w którym znajdowała się jej komnata. Nie wiedząc, gdzie jest i jak się stąd wydostać, wciąż biegła przed siebie korytarzem. Zziębnięta wpadła przez pierwsze uchylone drzwi, zza których padała smuga światła, i zatrzasnęła je za sobą. Próbując złapać oddech, pochyliła się, opierając dłonie na kolanach. Zakaszła głośno.

– Witamy w naszych skromnych progach – usłyszała drwiący głos. Uniosła szybko głowę, z przestachem rozglądając się wokół. Znała ten lodowaty ton.

Jej oczom ukazała się duża komnata i stojący pośrodku wielki stół zastawiony miskami z jedzeniem i dzbanami, najpewniej z winem lub piwem. Na jednym jego końcu siedział Morht, patrząc wyniośle na dziewczynę. Quen w swobodnej pozie, trzymając nogi na blacie, czyścił jeden ze swoich mieczy i uśmiechał się, wyraźnie rozbawiony niespodziewaną wizytą.

– Może wyjaśnisz nam łaskawie, co jest przyczyną tego nagłego wtargnięcia? – W głosie dowódcy brzmiała pogarda. – Z tego, co mi wiadomo, kobiety mieszkają we wschodnim skrzydle. Coś się w tej kwestii zmieniło od południa? I właśnie przysłaś mnie o tym poinformować? – Czarne oczy świdrowały drobną sylwetkę dziewczyny. – Nie mam zamiaru uczyć cię grzeczności, ale nim wejdziesz do czyjejś komnaty, wypadłoby upewnić się, że będziesz mile widzianym gościem – cedził przez zęby. – A teraz wyjdź, zamknij drzwi, zapukaj i gdy usłyszysz głos któregoś z nas, dopiero wtedy wejdź.

Kyla otworzyła usta, jakby zamierzała coś powiedzieć. Miast tego powiodła wystraszoną wrokiem po reszcie zwiadowców, siedzących przy stole i na ławie przed rozpalonym kominkiem, i nieukrywających swojej wesołości. Raczej nie zdarzało się, aby któraś z mieszkanek zamku wpadała jak burza do pomieszczeń najemników. Młodziutki, jasnowłosy Urlin wpatrywał się w przybyłą, jakby nagle ukazała mu się jedna z ponętnych Walkirii, o których nieraz słyszał w swoim rodzinnym plemienu.

Kyla zerknęła prędko w dół na cienką suknię, bosc stopy. Zasłoniła obronnie piersi rękami, po czym przeniosła spłoszone spojrzenie na Morhta, który właśnie patrzył surowo na

najmłodszego ze swoich ludzi. Ten jednak nie odrywał zachwyconego wzroku od dziewczyny.

– Aaa! – krzyknęła Kyla, odwróciła się na pięcie, szarpnęła silnie drzwi, tak że uderzyły z hukiem o ścianę, i wybiegła z komnaty.

Morht pokręcił głową z politowaniem, odchrząknął i odchylił się na krześle.

– I to by było na tyle, jeśli chodzi o wyjaśnienia – rzucił ironicznie.

– Nie zamknęła i nie zapukała. – Quen zaśmiał się. – Wystraszyłeś ją.

Czarnowłosa wzruszył obojętnie ramionami, przenosząc ciężkie spojrzenie na przyjaciela.

– Chyba nie wywarliśmy na niej dobrego wrażenia – dodał kpiąco Will.

– Śmiem twierdzić, że wręcz przeciwnie – odezwał się niewinnie Sarthus.

– Mówiłem ci, że z tą brodą wyglądasz jak rabuś. – Will popatrzył na kompana i zarechotał radośnie.

– Zaraz mogę wyrównać nieco twoją – odparł Sarth, również wybuchając śmiechem.

– A ty dokąd? – rzucił sucho Morht, widząc, że Urlin zmierza w kierunku drzwi.

– Ja... ten... sprawdzę... – bąkał młodzieniec, czerwieniejąc gwałtownie.

– Co sprawdzisz?

– Czy... czy ciemno jest, może nie umie... – plątał się Urlin. – To znaczy... – Odchrząknął, przeczesując nerwowo włosy. – Zamek jest duży, można się w nim zgubić – zająknął się, patrząc niepewnie na dowódcę i szukając wzrokiem wsparcia u kompanów.

– Chce pewnie odszukać zabłąkaną duszyczkę i odprowadzić ją do komnaty. – Wili roześmiał się znacząco.

– Może nawet za drzwi tejże komnaty – podchwycił Trevor.

Pozostali zwiadowcy wybuchnęli głośnym rechotem, a Urlin poczerwieniał teraz po cebulki włosów. Morht pokręcił głową z niesmakiem i sięgnął po stojący przed nim kielich z winem.

– Jak nie trafi, to będzie spała na korytarzu – odparł, upiwszy kilka łyków.

– Ale... – Urlin stał już przy drzwiach.

– Powiesz potem, czy łóżko ma większe od twojego. – Sarthus nie odmówił sobie kolejnego przytyku, na co towarzystwo zareagowało nową salwą śmiechu.

– Zabierzcie go ze sobą do miasta. – Morht odstawił pusty kielich na stół, patrząc na zażenowanego młokosa. Musi się jeszcze wiele nauczyć, jeśli ma pozostać z nimi dłużej. Na początek powinien się oswoić z niewybrednymi żartami swoich towarzyszy. – Niech w końcu zobaczy, co dziewczki mają pod suknią. – Czarnowłosa podniósł się od stołu, odsuwając z rumorem krzesło. Stukając podkutymi butami, ruszył w kierunku drzwi, gestem ręki odsyłając Urlina na miejsce. – Quen, jeśli ta panna jeszcze raz tu zajrzy, dopilnuj, żeby dotarła do siebie. – Zerknął na przyjaciela, który nie przerywając czyszczenia miecza, skinął tylko głową. – Sama – dodał z naciskiem. – Nie chcę tutaj biegania po zamku, bo któryś chce się zabawić. Znaie warunki, na jakich tu jesteśmy. – Powiódł surowym wzrokiem po zwiadowcach. – Laghortom to się nie spodoba. A z jego żoną nie chcielibyście mieć do czynienia. Prawda, Artch? – Popatrzył z lekkim uśmiechem na kompana, który zmieszał się nagle.

Towarzysze spojrzeli na niego z zaciekawieniem. Któryś zawył jak wilk.

– Artch, opowiadaj. – Will przysunął swoje krzesło i dolał im piwa.

Artch mruknął coś, unikając odpowiedzi.

– Przyznaj się – Sarthus klepnął towarzysza w plecy – czym podpadłeś Lyannie?

Morht, widząc, że towarzystwo zajęło się sobą, wyszedł z komnaty. Przemierzał korytarze zamku, nasłuchując kroków dziewczyny. W zamku faktycznie można było zabłądzić, nie znając dobrze jego zakamarków. Wszak kiedyś znajdowała się tu obronna twierdza ze ślepyimi korytarzami i podziemnymi lochami.

– Gdzie polazłaś? – burknął pod nosem, idąc szybko w stronę środkowego skrzydła. Zajrzał do kuchni, minął jadalnię, w której podejmowano gości, i skierował się do pustych komnat w lewej oficynie. Posprawdzał je, a nie znalazłszy nikogo, ruszył z powrotem na piętro zamieszkaną przez najemników. Miał cichą nadzieję, że nie poszła którymś z ciemnych korytarzy, prowadzących do lochów. To oznaczałoby dłuższe poszukiwania, czego chciał uniknąć. „Po jaką cholere w ogóle wyłaziła ze swojej komnaty?” – rozzłościł się. Jakby mało miał na głowie, teraz jeszcze musiał szukać dziewczki, której zebrało się na wieczorne spacerowanie po zamku.

– Coś się stało, Morht? – zaniepokojona Lady Lyanna pojawiła się na korytarzu niczym duch. Wsunęła się zza drzwi sypialni w długiej koszuli, narzucając na nią jeden z płaszczy męża.

Nawet nie zauważył, że kolejny raz przechodził koło komnat Eryka i jego żony.

– Panna snuje się po zamku – mruknął niechętnie, skinąwszy głową na znak szacunku. – Diabli wiedzą, gdzie polazła. Zgubi się i... – urwał, przyłapując się na tym, że używa tego samego argumentu co Urlin. – Niech to... – zaklął pod nosem i machnął ręką w powietrzu. Nie był przecież młokosem, a czuł, że podejrzanie zaczynają go palić policzki. Dziękował w duchu bogom, że w korytarzu panował półmrok. Zapomniał tylko, że stanął pod jedną z płonących pochodni.

Lady Lyanna powściągnęła uśmiech, który pojawił się na jej ustach.

– Chyba nie na mój widok tak się rumienisz – pozwoliła sobie jednak na małą złośliwość. – Jak się miewa Artch? – spytała, zmieniając temat i obserwując reakcje Morhta, który na przemian to bladł, to czerwieniał, i nerwowo przeczesywał dłonią włosy.

– Nie będzie więcej nachodził Seleny – odparł, odzyskując wreszcie panowanie nad sobą. Cholerne kobiety. Czasami miał ich serdecznie dosyć.

– Czy nie za ostro ich traktujesz? – spytała Lyanna. – Może powinieneś im pozwolić na nieco więcej swobody?

Dowódca popatrzyła zdezorientowany na żonę przełożonego. Swobody? Przecież musiał upilnować to swoje stadko rozbrykanych szczeniaków, jak czasem w przypływie dobrego humoru ich nazywał. Młodzi mężczyźni, popędliwi, w których buzowało jak w piecu, zamknięci na zamku z kobietami... Gdyby pozwolił im na swobodę, nie wynikłoby z tego nic dobrego. Zresztą przecież Laghortowie oczekiwali od niego, że zapanuje nad grupą podległych sobie zbrojnych. Otrzymał wyraźne polecenie od Lyanny, która nie życzyła sobie, aby którykolwiek z najemników zachowywał się nachalnie w stosunku do jej służek. W większości były to młodziutki, naiwne dziewczęta z okolicznych wiosek, które chciały spróbować innego, lepszego życia. A teraz... miał swoim ludziom poluzować cugli? To jakby lisy wpuścić do kurnika. Westchnął ciężko. Czy ktokolwiek zrozumie kobiety? Kiedykolwiek?

– Powiedziano mi, że Selena uciekała krążgankami, a on goił za nią jak dzieciak, usiłując

złapać. Nie wnika, w jakim celu. Zachował się niewłaściwie, zmuszając ją do czegoś wbrew jej woli. Chce się zabawić, niech jedzie do miasta. Stać go na dziewczki z zamtuza czy gospody. Nie mogę pozwolić, aby moi chłopcy... – tłumaczył, ale Lady Lyanna mu przerwała.

– Morht, nie bądź dla nich taki surowy. Czasami niewiasta ucieka po to, aby przekonać się, czy jej wybranek w ogóle zechce ją gonić. – Uśmiechnęła się lekko.

– Wybranek? – zdumiał się. – Nic nie zauważyłem... – zająknął się zmieszany. – Artch nic nie wspominał. Jeśli panienska Selena nie ma nic przeciwko, a Artch jest... – urwał, szukając odpowiednich słów – jeśli i on... – zająknął się kolejny raz. – A niech to diabli wezmą! – mruknął pod nosem.

Czuł się jak nieopierzony młokos, który wielu rzeczy nie pojmuje. Do diaska z tym wszystkim! Nigdy nie zrozumie zawilości dotyczących niewiast i mężów. Po co gonić kobietę? Jeśli będzie czegoś chciała, to przyjdzie i powie. Skoro umie poprosić, żeby beczki przetoczyć z piwnicy do kuchni, to w innej sprawie też może chyba powiedzieć otwarcie, czego chce. Z takiego założenia wychodził. Biegać za nią bezcelowo po korytarzach? I słuchać piszczenia, śmiechów? Gonić ją? A po co, skoro nie była wrogiem, którego należało się pozbyć?

Pokręcił głową, niczego już nie rozumiejąc.

– Wy, mężczyźni, wielu rzeczy nie zauważacie. – Lady Lyanna popatrzyła na niego pobłażliwie. – A teraz idź już, bo twoja zguba zamarźnie, jeśli będzie się błąkać po zamku tyle czasu – dorzuciła niewinnie, obserwując z satysfakcją ciemny rumieniec wypływający na policzki Morhta.

Odmruknął coś i szybkim krokiem ruszył na parter prawego skrzydła zamku. Postanowił nie zaprzętać sobie dłużej głowy tym, co może łączyć jednego z jego ludzi i pannę służącą u Lyanny. Chociaż... Może jednak z Artchem będzie musiał porozmawiać.

Poczuł złość, kiedy wspomniiał słowa Lady: „twoja zguba”.

– Łeb jej ukręcę, jak znajdę – burknął pod nosem.

Nie życzył sobie, żeby ktokolwiek nazywał tę pannicę, wrzeszczącą z byle powodu, jego zgubą. Warcząc gniewnie sam do siebie, dostrzegł wreszcie na końcu jednego z korytarzy postać w jasnej sukni, która zdawała się kleić do ściany. Bez słowa podszedł bliżej i z satysfakcją spojrział w wystraszoną twarz Kyli. Zamierzał właśnie wygłosić mowę o lekkomyślności i nieodpowiedzialności dziewczek snujących się nocą po zamku, którego nie znają, gdy dostrzegł, że panna otwiera usta do krzyku. Błyskawicznie zasłonił jej usta ręką.

– Zamknij się – zgromił ją. – Jeszcze raz usłyszę twój wrzask, to skręcę ci kark. – Mało delikatnie złapał ją wpół i przerzucił sobie przez ramię. Smarkuła powinna już dawno siedzieć u siebie, a nie włóczyć się i dręczyć innych.

Zaskoczona Kyła chciała zaprotestować, jednak zwisając bezwładnie, jedyne, co mogła zrobić, to uderzyć pięścią w plecy mężczyzny. Co też zrobiła.

– Postaw mnie – syknęła ze złością.

Morht zatrzymał się w pół kroku zdumiony jej reakcją. Prędzej spodziewałby się kolejnego przestraszonego pisku czy płaczu, a nie wybuchu złości. Kobiety bywają nieprzewidywalne.

Kyła szarpnęła się, po czym ponownie uderzyła zgryźliwego najemnika.

– Postaw mnie! – podniosła głos, nie przestając okładać go pięściami po plecach.

Jeszcze tego mu dzisiaj brakowało, żeby tłukła go jakaś rozwydrzona pannica. Poważnie zastanawiając się, czy nie uciszyć jej jednym mocnym ciosem w szczękę, żeby przestała się

wreszcie ruszać i marudzić, postawił ją na ziemi. Uwolniona, momentalnie odskoczyła pod ścianę, patrząc na niego spode łba. W jej oczach złość mieszała się ze strachem. Jeszcze nigdy nikt tak na niego nie patrzył. Ze strachem, przerażeniem – owszem. Z wściekłością – zdarzało się. Ale ze złością i lękiem jednocześnie?

– Nie wrócę tam – oznajmiła kategorycznie. Komnata z tajemniczym portretem znajdowała się chyba niedaleko jej sypialni. A może była w zupełnie innej części zamku? Zadrzała na samą myśl o tym, że miałyby spędzić noc blisko zjawy. A jak to coś znowu się pokaże? Umarłaby chyba ze strachu.

– Nie wrócisz? – W głosie dowódcy pojawiło się zaskoczenie. – Tam, to znaczy gdzie? – Nie miał pojęcia, o czym dziewczyna mówi.

– Zaprowadź mnie gdziekolwiek, byle nie tam – powtórzyła uparcie. – Jak najdalej... – Zerknęła na niego niespokojnie. – Proszę... – dorzuciła błagalnie.

Długą chwilę patrzył na nią ponuro, zastanawiając się, co kryje się pod tajemniczym dla niego słówkiem „tam”. Ma teraz łązić po zamku i szukać tego miejsca? Jeszcze nie oszalał. Przeklął w duchu Quena, który znalazł dziewczynę, i siebie samego, że zabrał ją na zamek, miast odstawić do Metllasu i zostawić w chacie zielarki. Tylko sobie kłopotów narobił, ściągając tu tę rozhisteryzowaną dziewczkę, której zaczynał szczerze nie znosić. Nie miał ochoty bawić się w rozmowy i wyjaśnienia, co jest gorszego w tym skrzydle zamku, a co lepszego w innym.

– Posłuchaj mnie uważnie. – Pochylił się nad dziewczyną, opierając dłonie przy jej głowie. Drgnęła przestraszona, odsuwając się nieco od górującego nad nią mężczyzny. – Nie powtórzę drugi raz. Jestem zmęczony. – Wbił gniewne spojrzenie w jej przerażone oczy. – Nie najmowałem się do pilnowania wrzeszczących dziewczek. Dzisiaj zrobię wyjątek... – oświadczył z ironią. – Odprowadzę cię do twojej komnaty i zostaniesz w niej do rana. Jeśli dowiem się, że znowu wyszłaś i łąziłaś po zamku, to... – zagroził, wykonując szybki ruch ręką przy szyi. – Dotarło?

Zamrugła oczami, szybko przytakując. Czarnowłosy dowódca najemników, którego starała się unikać, stał nad nią i groził podejrzeniem gardła. Przełknęła nerwowo ślinę. Może tylko straszyl. Ale poważnie obawiała się, że mocno rozeźlony byłby w stanie to zrobić.

Morht złapał dziewczynę za ramię i wlokąc za sobą, ruszył korytarzem.

Z trudem za nim nadążała, ale nie skarżyła się. Dopiero widząc, że skręca w znajomy korytarz, spróbowała uwolnić ramię z żelaznego uścisku palców.

– Narobisz mi siniaków – zaprotestowała.

– Niezmiernie mi przykro z tego powodu.

Dotarł pod drzwi jej komnaty, otworzył je szarpnięciem i bezceremonialnie wepchnął Kyle do środka. Z trudem złapała równowagę, opierając się o ścianę.

– Dobranoc. – Zatrzasnął za nią drzwi i udał się szybkim krokiem w stronę komnat zwiadowców. Zamierzał w końcu się położyć. Zignorował przeraźliwy krzyk, który dobiegł nagle z jej komnaty. Nie uszedł jednak kolejnych kilkunastu kroków, kiedy wpadli na niego Quen z Artchem.

– Słyszeliśmy jakieś hałasy – odezwał się zaniepokojony zastępca. – Mordują kogoś?

– Ja osobiście zaraz kogoś zamorduję – rzucił Morht rozwścieczony, zawracając w pół kroku i ruszając na powrót pod alkowę dziewczyny.

Obaj towarzysze podążyli za nim.

Drzwi komnaty otwały się z hukiem i wpadł przez nie rozsierdzony do ostateczności czarnowłosy dowódca, a zaraz za nim wsunęli się dwaj jego ludzie.

– Co ty, do cholery, wyprawiasz? – krzyknął Morht, który z przyjemnością zakneblowałby krzyczącą dziewczynę.

Przerażona Kyla przywarła plecami do ściany koło drzwi i z paniką w oczach patrzyła na siedzącego na jej łóżku jasnowłosego mężczyznę, którego widziała w lesie i na portrecie. Zjawa podniosła się, wyciągając ręce przed siebie, jakby chciała coś dziewczynie przekazać. Na poranionej widmowej twarzy odmalowało się zmartwienie, kiedy Kyla znów zaczęła krzyczeć.

– Co się tu dzieje, do diabła?! – wrzasnął Morht.

Quen zaklął brzydko, nie dowierzając własnym oczom. Kyla umilkła, wodząc wystraszonego wzrokiem po mężczyznach.

– Kto to jest? – Artch bez zastanowienia rzucił się na zjawę z wyciągniętym mieczem. Ostrze łagodnie przeszło przez ciało ducha, a na jego ustach pojawił się uśmiech politowania. Zaskoczony zwiadowca zaatakował po raz drugi, ale wtedy nieznana siła wyrwała mu miecz z dłoni i odrzuciła broń pod okno. Rozległ się głośny brzęk upadającego metalu.

Morht gestem ręki nakazał kompanowi odsunąć się. Zasłonił sobą przerażoną Kyla i przyjrzał się uważnie zjawie. Znał tę twarz. Teraz poranioną, z paskudną szramą ciągnącą się przez policzek, i dalej wzdłuż torsu, jednak rozpoznał ją od razu.

– Sir Darher... – W głosie mężczyzny zabrzmiało zdumienie połączone ze strachem.

Zjawa popatrzyła smutno na dowódcę. Ponownie wyciągnęła rękę ku Kyli. Morht przezornie odsunął dziewczynę w stronę Quena. Ten popchnął ją lekko w kierunku kominka, a sam stanął u boku przyjaciela. Teraz obaj zasłaniali dziewczynę przed widmem. Jasnowłosy duch pokręcił głową i zbliżył się, nie zważając na miecze trzymane przez najemników.

Czegoś takiego Morht jeszcze nie widział. Jego umysł pracował gorączkowo. Jak miał pokonać nieżyjącego brata Sir Laghorta? Czy w ogóle chciał z nim walczyć? Czym, do cholery, walczy się z duchami?

Zapłakana Kyla podniosła oczy na zjawę, która uparcie wyciągała do niej rękę.

– Morht, co się dzieje? – wyjąkał Quen, stojąc wciąż z uniesionym mieczem. Nigdy wcześniej nie spotkał się z czymś takim.

Dowódca wzruszył ramionami.

– Nie wiem. Wygląda, jakby czegoś od niej chciał – mruknął, sam czując się nieswojo. Zjawa nie wyglądała mu na nektośa słuchającego swojego pana. Zresztą nawet gdyby nim była i tak nie miał przy sobie swojego talizmanu, za pomocą którego mógłby nakazać jej posłuszeństwo.

Jasnowłosy podpłynął bliżej i przenikając przez ramię Morhta, ujął wiszący na szyi dziewczyny pierścień. W martwych oczach pojawiła się tęsknota. Przez chwilę zjawa przyglądała się sygnetowi, by następnie przenieść smutne spojrzenie na Kyla. Wyciągnęła rękę w jej stronę, jakby chciała pogłodzić ją po policzku.

Morht zareagował błyskawicznie, odpychając silnie dziewczynę w tył. Zachwiała się i gdyby Quen jej nie przytrzymał, zapewne upadłaby na podłogę.

Niespodziewanie dla wszystkich postać rozwiązała się.

Czarnowłosy odwrócił się gwałtownie w stronę Kyli i szybkim ruchem zerwał jej z szyi rzemyk. Pisnęła z bólu, kiedy pasek otarł się boleśnie o skórę na karku.

– Skąd to masz? – spytał, przyglądając się herbowi wyrzytemu na sygnecie.

– To moje! – Wyszarpnęła mu pierścień z ręki. Zacisnęła go w garści, nie zamierzając nikomu oddawać pamiątki, która została jej po ojcu.

Rozdrażniony Morht pchnął dziewczynę na ścianę. Zatoczyła się, z trudem łapiąc równowagę na drżących ze strachu nogach.

– Gadaj, skąd to masz? – Głos mężczyzny wprost kipiał od gniewu.

– Morht... – Quen, który wreszcie w pełni odzyskał mowę, uspokajająco poklepał przyjaciela po ramieniu. – Ona jest tam samo przerażona jak my. – Spojrzał na zapłakaną Kyle, która trzęsła się niczym liść targany podmuchami wiatru. – Znasz go? Co to w ogóle było? – dopytywał się.

– Nie wiem! Nie wiem! – wykrzyknęła rozpaczliwie. – To on był w lesie, kiedy pojawił się ten dziwny stwór! – Usiadła na podłodze i skuliła się, opierając czoło o kolana.

– Jaki stwór? Wleciesz za sobą jakieś zjawy i nic nie mówisz?! – Morht był wściekły. – Gdybyś nie była kobietą... – Uderzył z furią pięścią w ścianę, tuż nad głową Kyli.

– Do cholery, opanuj się! – Quen podniósł głos, odsuwając przyjaciela od przerażonej dziewczyny i patrząc na niego ostrzegawczo.

Artch teraz dopiero otrząsnął się z zaskoczenia i podniósł swój miecz z podłogi.

– Jakież problemy? – z korytarza dobiegł męski głos. Cała czwórka jak na komendę odwróciła głowy w stronę otwartych drzwi. – Skoro postawiliście pół zamku na nogi, rozumiem, że macie ku temu ważny powód. – W progu stał Sir Laghort, a jego mina świadczyła o głębokim niezadowoleniu. – Dlaczego panienska Kyle płacze?

– Co w ogóle robicie tutaj we trójkę? – Zza pleców Laghorta wychyliła się głowa jego żony, która surowym spojrzeniem powiodła po najemnikach. – Obyście mieli dobre wytłumaczenie, bo inaczej... – zawiesiła znacząco głos, patrząc na zdenerwowanego Morhta.

Na korytarzu zaczęli zbierać się pozostali najemnicy i część służby zamkowej. Narastający gwar szeptów rozdrażnił porywczego dowódcę. Nabrał powietrza głęboko w płuca, postanawiając w duchu, że w przyszłości będzie trzymał się z daleka od krzykliwych młódek.

– Łaziła po zamku, nie chciała wrócić do siebie, potem zaczęła wrzeszczeć. Chcieliśmy to sprawdzić... – zaczął zdawać relację.

Sir Laghort wysłuchał go w milczeniu, po czym przeniósł uważne spojrzenie na oszołomioną Kyle, która wciąż siedziała pod ścianą.

– Pokaż ten pierścień, dziecko. – Sir Eryk powoli wyciągnął rękę w stronę przestraszonej dziewczyny.

Zawahała się, lecz po chwili podała mu z ociąganiem swój skarb. Starszy mężczyzna przyglądał się srebrnej biżuterii przez dłuższą chwilę, po czym uśmiechnął się nieznacznie.

– Skąd go masz? – Oddał sygnet dziewczynie, która od razu wsunęła go na ramię, wiążąc z powrotem na szyi.

– Od mojej opiekunki. Powiedziała, że przywieźli go mojej matce po śmierci ojca – wyjaśniła. – Zginął przed moimi narodzinami.

– Jak miała na imię twoja matka? – Sir Laghort spojrzał porozumiewawczo na swoją żonę.

– Kerna – odparła zdziwiona Kyle. Jakie znaczenie miało imię jej matki? Powoli się

uspokajała. Teraz, kiedy część emocji zaczęła z niej opadać, zmęczenie i senność dały o sobie znać. Ziewnęła, zerkając podejrzliwie na stojącego obok czarnowłosego.

– Kerna pochodząca z Metllasu? – upewniła się Lady Lyanna.

Kyla skinęła głową.

– Rebeka ma jeszcze blaszkę mojego kuzyna. I mojego ojca. Zabrała mi je.

– Taką? – Quen wyjął zza koszuli kawałek metalu opleciony starym rzemieniem.

Kyla znowu potwierdziła.

– Powiedziała, że to dobrze, że Daveth już nie żyje. – W niebieskich oczach pojawiły się łzy. – A on... a on... – Rozpłakała się na dobre.

Morht westchnął ciężko, spoglądając na szlochającą dziewczynę.

– Daveth? – Quen zaskoczony popatrzył na Laghortów. – Arwen... – wyszeptał, nie spuszczać oczu z Sir Eryka. Ten skinął tylko głową.

– Jesteś krewną Davetha? – Morht kucnął przed dziewczyną, łagodnie odsuwając kosmyk włosów, który opadł na jej policzek.

Przytaknęła szybko głową.

– Tak, jego kuzynką. Wujostwo... – wyjąkała przez łzy – wychowywało mnie po śmierci mamy. Nie wiem o niej za wiele, o ojcu jeszcze mniej, Rebeka prawie wcale o nich nie mówiła. – Otarła łzy z oczu i chlipnęła cicho. – Miałam tylko Davetha. jest... był dla mnie ważny... – Schowała twarz w dłoniach, na powrót zanosząc się płaczem.

– A co masz wspólnego z tym duchem? – Morht podniósł głos, nie zważając, że Quen ostrzegawczo klepnął go w ramię. – Też był dla ciebie ważny? – rzucił drwiąco. Czuł, że przestaje nad sobą panować i zaczyna wygadywać bzdury. Jednak podejrzenie, że jakiś mężczyzna, nawet jeśli był tylko zjawą, mógł coś znaczyć dla nowej mieszkanki zamku, budziła w nim palący, choć zupełnie niezrozumiały gniew.

– Nie znam go. – Uniosła głowę, patrząc żałośnie na otaczających ją ludzi. – Naprawdę nie...

– Może był tak samo ważny jak Daveth dla wielu dziewczek w karczmie, kiedy płacił za ich usł...

– Morht! – przerwała mu ostro Lady Lyanna. – To jest córka Darhera.

Po jej słowach w komnacie zapadła nienaturalna cisza. Morht odchrząknął zmieszany, podnosząc się. Quen z Artchem spoglądali po sobie zdumieni. Zwiadowcy wiedzieli o komnacie, w której kiedyś mieszkał Darher. I o tym, że nikomu nie wolno tam wchodzić ani tym bardziej czegokolwiek tam ruszać, na wyraźne polecenie Laghorta. Wiedziano, że brat rycerza zginął w walce siedemnaście lat temu, a ciała nigdy nie odnaleziono.

Jedynymi osobami, które znały jego przeszłość, byli Eryk i Lyanna. Dowiedzieli się o niej z zapisków Darhera oraz jego listów do ukochanej Kerny, które nigdy do niej nie dotarły. Zresztą i tak nie umiałyby ich przeczytać.

Morht popatrzył z niedowierzaniem na dziewczynę. W ciemnych oczach pojawiła się złość. Córka Darhera, bratanica Sir Eryka... Daveth... Teraz przypomniał sobie smarkułę łązącą za ich dowódcą, ilekroć przyjeżdżali do Vinrydu. Nie znosił jej i tego jej dziecięcego szczebiotu, gdy domagała się, by kuzyn zabierał ją ze sobą. Przeszkadzała Morhtowi. Zupełnie tak jak teraz.

– Ma ktoś jeszcze jakieś niespodzianki? – wycodził przez zaciśnięte zęby. – Chciałbym

wreszcie odpocząć. – Popatrzył wrogo na Kylę.

Drażniła go od pierwszej chwili, kiedy zobaczył ją leżącą na ziemi i pochylonego nad ranną Quena. Sam już nie wiedział, czy bardziej wtedy był zły na swojego zastępcę, czy na dziewczynę.

– Wróćmy do swoich komnat – Sir Laghort uznał za stosowne odezwać się.

– Chcesz iść z nami? – Lyanna przytuliła do siebie płaczącą dziewczynę.

Kyla zaprzeczyła szybko. Od natłoku wrażeń i niespodziewanych informacji kręciło jej się w głowie. Zjawa była jej ojcem! To jego portret wisiał w tamtej komnacie. To on uratował ją przed stworem. Myśli galopowały w jej głowie. Chciała zostać z nimi sama i je sobie uporządkować.

Morht! To on był tym krzyjącym towarzyszem Davetha. Jasnowłosa Quen go zawsze uspokajał. Tak różni od siebie jak ogień i woda. Rękawem sukni otarła spływające po policzku łzy.

– Morht... – Sir Eryk popatrzył na swojego zaufanego podwładnego i towarzysza. Dowódca zbrojnych spojrział mu śmiało w oczy. Sir uśmiechnął się lekko, widząc wściekłość, którą mężczyzna nadaremnie próbował ukryć. – Życzę wszystkim spokojnej nocy. – Mrugnął okiem do Quena, który doszedł już do siebie i parsknął teraz niekontrolowanym śmiechem.

Morht zaklął szpetnie pod nosem i odmaszerował w stronę swojej kwatery, zapominając zupełnie o pożegnaniu. Na schodach prowadzących na dziedziniec stopniowo cichł odgłos jego ciężkich kroków. Kilku zwiadowców ruszyło w stronę prawego skrzydła zamku, służba rozeszła się do swoich pomieszczeń.

– Przejdzie mu, prawda? – Lady Lyanna popatrzyła niepewnie na męża. Ten skinął głową, uśmiechając się szeroko. Objął żonę w pasie i przygarnął do siebie. – Kylo, jeśli chcesz... – zaczęła Lyanna, ale dziewczyna szybko pokręciła głową.

– Chcę zostać sama – odparła.

Niewielkie okno wykute w solidnej kamiennej ścianie wpuszczało ostatnie promienie zachodzącego słońca. Zza uchylonej szybki dolatywały ciche trele ptaków. Od czasu do czasu dało się słyszeć szczęk mieczy, czyjeś nawoływania i kobiecy śmiech.

Sir Eryk Laghort siedział na chwiejącym się krześle w komnacie swego brata i obracał w dłoniach plik papierów przewiązanych sznurkiem.

Kyla stała nieruchomo przy zakurzonym biurku, patrząc z zaciekawieniem na niespodziewanie odnalezionego wuja. Rebeka nigdy nie wspominała o jakiegokolwiek rodzinie dziewczyny. A ten tutaj rosły, postawny mężczyzna w średnim wieku o mądrym spojrzeniu okazał się nagle jej stryjem. Przyglądała się jego ciemnoblond włosom, z pojedynczymi siwymi pasemkami, ogorzałej twarzy o łagodnych rysach, na której znać było trudy wojaczki. Delikatna siateczka zmarszczek wokół niebieskich oczu dodawała mu uroku.

– Umiesz czytać, moje dziecko? – spytał.

Pokręciła przecząco głową z taką siłą, że rozpuszczone włosy zawirowały wokół twarzy. Żadne z jej opiekunów nie umiało czytać, więc kto ją miał nauczyć? Kilka liter pokazała jej kiedyś młodsza z córek karczmarza, jednak i ona nie znała ich wiele.

Kyla odgarnęła za ucho kosmyk włosów i zerknęła z zakłopotaniem na wuja.

– Tu jest część ich życia. – Mężczyzna popatrzył zamyślonym wzrokiem na trzymane w ręce listy. – Twojej matki i ojca... – Westchnął ze smutkiem.

Otworzył jeden z nich, przebiegł wzrokiem zapisany papier i uśmiechnął się lekko.

– Chcesz posłuchać?

Nie czekając na odpowiedź Kyli, zaczął czytać:

„Najdroższa Kerno,

Wierzę, że stan twojego zdrowia, jakże dla mnie ważny, polepszył się. Nazajutrz o świcie wyruszam z zaufanymi ludźmi do Terlinu. Nasz dowódca przywiózł stamtąd kolejne zlecenie. W lasach otaczających miasto pojawiły się dziwne, nieznane nikomu do tej pory istoty. Nie wiem, czy to wytwór magów, których wrogowie Terlinu goszczą u siebie od miesięcy, czy po prostu kolejna próba odciążenia uwagi obrońców od oblężonego miasta. W każdym razie nie spocznę, dopóki tego nie wyjaśnię.

Wierzę, że jesteś bezpieczna, jednakże na wszelki wypadek zwiadowca, który przyniesie ci ten list, zostanie u was na dłużej. Wkrótce dołączy do niego kilku innych. Znasz ich, moja Pani, nie lękaj się więc. Nie chcę, by Tobie czy naszemu dziecięciu, które niebawem przyjdzie na świat, coś się przydarzyło.

Gdy tylko wrócimy, pierwsze swe kroki skieruję do Was. Może tym razem ojciec Twój spojrzy na mnie łaskawszym okiem. Wiem, że najemnik taki jak ja nie jest podług niego odpowiednim kandydatem na męża. Ufam jednak Opatrzności, która pozwoli nam być razem już na zawsze.

Ośmielam się ucałować Twe dłonie, o Pani moja, wierząc, że w sercu Twym wciąż jest odrobina miejsca dla mnie.

Darher”.

Kyla popatrzyła ze smutkiem na portret jasnowłosego mężczyzny, którego teraz już się nie bała. Zginął tak młodo... Miał plany, marzenia, kochał kobietę, która nosiła w łonie jego dziecko. Zapewne wierzył, że wyjdzie zwycięsko z walk i dane mu będzie zaznać szczęścia z rodziną. I w jednej chwili to wszystko runęło, zniknęło niczym mgła rozpędzona wiatrem. Jak kruche bywa ludzkie życie, jak ulotne są krótkie chwile szczęścia...

Oczy dziewczyny zaszklily się od łez. Dumny, dzielny wojownik, szlachetny mężczyzna, któremu na sercu leżało dobro rodzinnego kraju i który gotów był za niego umrzeć, by inni mogli żyć w pokoju – taki właśnie był jej ojciec. I takiego go zapamięta.

Wzruszony Sir Laghort odchrząknął, składając z szelestem papier i układając go starannie na stercie pozostałych listów.

– Niebawem będziesz mogła sama je przeczytać – powiedział cicho. – Moja żona z pewnością chętnie pomoże ci w nauce. – Podniósł się powoli z krzesła.

– Wiedział o mnie... – ni to spytała, ni stwierdziła Kyla, ocierając szybko łzę spływającą po policzku. Nie spuszczała oczu z postaci ojca, przedstawionej na obrazie, i poczuła w sercu tęsknotę za nim.

Starszy mężczyzna przytaknął głową.

– Nie wiedział, jakiej płci dziecię przyjdzie na świat, jednak nie zmienia to faktu, że czekał na nie z niecierpliwością.

Kyla oderwała wzrok od obrazu i obróciła trzymany w palcach pierścień.

– Dlaczego zostawił ją w Metllasie samą? – spytała z niepokojem.

Jeśli Darher tak kochał Kernę, dlaczego nie zapewnił jej miejsca w rodzinnym zamku? Dlaczego nie zaopiekował się nią ktoś z rodu Laghortów?

Sir Eryk popatrzył długo i uważnie na bratanicę, po czym westchnął ciężko.

– To długa historia... – zaczął, siadając na powrót na krześle. Kyła przysiadła na łóżku i wbiła w stryja spojrzenie. – Darher kochał wojaczkę i zlecenia, których podejmował się jako najemnik. To nie podobało się twojemu dziadkowi, a ojcu jego wybranki. Obaj wtedy ponad wszystko przekładaliśmy długie wyprawy, z których niechętnie wracaliśmy do domu. Kiedy nasi rodzice pomarli, wyjechaliśmy, nie mogąc sobie poradzić ze świadomością, że zostaliśmy sami. Tylko we dwóch. Długi czas walczyliśmy ramię w ramię, jednak gdy pojawiła się możliwość powrotu, tylko Darher z niej skorzystał i uparł się pozostać w Terlinie. Tam też poznał twoją matkę, która przyjechała na targ z tkaninami.

Miasto tętniło wtedy życiem, nic nie zapowiadało tak szybkich i drastycznych zmian. Kiedy Kerna wróciła do rodzinnego Metlasu, on podążył za nią. Niestety twój dziadek uparcie nie zgadzał się, by opuściła wioskę, a Darher nie chciał, żeby musiała wybierać pomiędzy nim a rodziną. Spotykali się w ukryciu. Darher wrócił na zamek, chcąc być bliżej niej i utworzył tutaj swoją drużynę zwiadowców. Wspólnie pomagali pobliskim wioskom, szkolili nowych zwiadowców, tropicieli, pomagali na zamku; zajmowali się tym samym, czym teraz zajmuje się Morht. – Zerknął na dziewczynę, która na dźwięk imienia dowódcy odchrząknęła nerwowo i zarumieniła się.

Eryk uśmiechnął się lekko i kontynuował:

– Nie wiedziałem o jej istnieniu, dopóki po śmierci Darhera nie odkryłem tych listów. – Wskazał dłonią na leżący na biurku plik. – Nie zwierzałyśmy się sobie, w ogóle mało rozmawialiśmy. A potem nawet nie było ku temu okazji. Długi czas wraz ze swoimi ludźmi przebywałem w Puszczy Granicznej, niejednokrotnie przekraczając granicę z Varthenem, wieści stamtąd tutaj nie docierały. Darher zaś dzielił czas pomiędzy swoich ludzi a twoją matkę. Kiedy doniesiono mi o jego śmierci, przyszedłem tutaj, szukając ukojenia. – Zamyślił się na dłuższą chwilę. Chociaż minęło już tyle lat, wspomnienia związane z bratem wciąż wywoływały w jego sercu ból. – Wtedy znalazłem te listy. Wraz z twoim ojcem poległo wielu jego najemników, którzy znali Kernę. Próbowałem szukać jej na własną rękę, jednak nikt z wioski nie chciał lub też nie umiał mi powiedzieć niczego o niej ani o dziecku. – Umilkł, zastanawiając się nad czymś. – Twoi dziadkowie zginęli, a ona wraz z tobą zniknęła, jakby zapadła się pod ziemię. Brałem pod uwagę, że może najemnik, który miał was chronić, wypełnił wolę Darhera i ukrył was gdzieś, jednak odnaleziono go martwego poza wioską. To pozbawiło nas złudzeń, że żyjecie... – Zapatrzył się niewidzącym wzrokiem w okno, milknąc ponownie. Dopiero gdy Kyła poruszyła się, popatrzył na nią i podjął opowieść: – Kiedy Morht przywiózł cię tutaj, zaczęliśmy coś z Lyanną podejrzewać. Tak bardzo jesteś podobna do swojego ojca.

– Opiekunka też mi to kiedyś powiedziała – wykrztusiła przez ściśnięte wzruszeniem gardło.

– I miała rację. Kiedy jeszcze Morht powiedział, że znaleźli cię nieopodal Metlasu, na drodze wiodącej z Vinrydu, nasze domysły zaczęły się potwierdzać. I oczywiście broń, którą przy tobie znaleźli... – Mężczyzna uśmiechnął się lekko. – Mało która dziewczyna nosi przy sobie noże. A na jednym z twoich sztyletów jest kilka nacięć, które układają się w takie same

linie, jakimi zwykł oznaczać swoją broń Darher.

– Sama go tak ozdobiłam. Chciałam, aby czymś się wyróżniał.

– Nieodrodna córka swojego ojca. – Eryk zaśmiał się. – Pierścień okazał się ostatecznym i niezbitym dowodem na to, że wraz z twoją ciotką nie myliliśmy się. – Klepnął się w kolano, wstając. – Poznaj zamek, jego mieszkańców, okolice... – Spojrzał łagodnie na dziewczynę. – Gdyby Darher żył, na pewno wszystko potoczyłoby się inaczej. Teraz zaś oboje z Lyanną cieszymy się, że się odnalazłaś, moje dziecko.

– Czy mogłabym... – Kyła zawahała się, niepewna, jak stryj zareaguje na jej prośbę. Wskazała dłonią wewnątrz komnaty. – To była kwatery mego ojca i... tak wiele tutaj jest mego... tyle wspomnień... – plątała się.

– Chcesz w niej pozostać? – Sir Eryk uniósł brwi. Przecież nie dalej jak wczoraj uciekała stąd, aż się kurzyło, stawiając na nogi pół zamku. Dziewczyna kiwnęła głową. – Kwatery jest oddalona od komnat innych kobiet. Po tej stronie mieszkają głównie najemnicy... Muszę najpierw porozmawiać z Morhem. Nie spodoba mu się, że niewiasta zamieszka w tym skrzydle – zastanawiał się na głos. – Chociaż... – Jakaś sprytna myśl przyszła mu do głowy, bo uśmiech rozjaśnił mego oblicze. – Wszak jesteś córką jednego z nich. Każę komuś przenieść twoje rzeczy.

Kyła polubiła życie na zamku. Czuła się już zupełnie dobrze, a świadomość, że znajduje się wśród bliskich, w rodzinie ojca, wpływała na nią korzystnie. Dostała nowe odzienie, które po tych wszystkich połatanych ubraniach wydawało jej się piękne. Nigdy jeszcze nie miała na sobie tak delikatnych materiałów. Kilka długich, prostych w kroju sukien bardzo przypadło jej do gustu. Podobnie jak nowy strój do polowania. Nie minęły dwa tygodnie, a poznała zamkowe korytarze i pomieszczenia. Poruszała się po nich swobodnie, bez obawy, że zabłądzi.

Najemników, choć przebywała w tej samej części zamku co oni, widywała z reguły tylko wieczorem przy wspólnej kolacji w jadalni. Czasami Artcha bądź któregoś z nowo przyjętych kierowano do pomocy w kuchni. Lubiała wtedy schodzić tam i słuchać żołnierskich opowieści. Artch siadywał zwykle przy stole, patrzył na krzątającą się Selenę i rozprawiał o wyjazdach do Terlinu, Arwen czy Isztyr. Jakże chętnie i ona zobaczyłaby te miasta.

Sporą część dnia spędzała w gabinecie Eryka, gdzie ciotka uczyła ją czytania i pisania, a także tego, co powinna umieć młoda dama. Teraz też skrobała zawzięcie piórem po papierze kolejne zdania dyktowane jej przez Lyannę. Sama Lady, przechadzając się po komnacie z księgą w dłoni, wyglądała od czasu do czasu przez okno na dziedziniec, gdzie ćwiczyło kilku najemników. Uśmiechnęła się lekko na widok Quena pokazującego coś jednemu z nowych.

– Idzie ci coraz lepiej – pochwaliła dziewczynę, zerkając na rząderek równych liter.

Zadowolona z pochwały Kyła z wrażenia zbyt głęboko zamoczyło pióro w atramencie i pozostawiła na papierze ciemną plamę. Lyanna pogładziła dziewczynę po głowie.

– Na dzisiaj koniec lekcji – oznajmiła. – Jutro po śniadaniu zejdziesz, proszę, do zbrojowni.

– Do zbrojowni? – Kyła popatrzyła na nią zdziwiona.

Widząc jej pytające spojrzenie, Lyanna roześmiała się głośno.

– Najwyższa pora, żebyś poznała bliżej także to miejsce. Przecież te strzały nie znalazły się

w twoim worku przypadkowo.

Twarz Kyli rozjaśniła się w szerokim uśmiechu.

– Oczywiście – odparła, podnosząc się z krzesła. Zabrała swoje rzeczy do pisania i opuściła komnatę ciotki.

Zeszła schodami na dziedziniec i długą chwilę stała, przyglądając się ćwiczącym najemnikom. Przypomniała sobie, jak Daveth uczył ją strzelać z łuku, poprawiał ułożenie palców na rękojeści sztyletu. To z nim wiązały się najlepsze chwile jej dzieciństwa. A teraz... już nigdy go nie zobaczy. Posmutniała, ukradkiem ocierając łzę spływającą po policzku. Powróciła pamięcią do Vinrydu i Evana, którego też kochała.

Zatopiona w swoich myślach, nie zauważyła przechodzącego obok Morhta. Przyjrzał się dziewczynie podejrzliwie, by po chwili odejść w swoją stronę.

Zatęskniła za przybranym bratem. Co robił? Czy Rebeka nie przeniosła na niego swojej złości za bezczelną ucieczkę podopiecznej? Czy zajmowała się nim tak troskliwie jak Kyla? Będzie musiała go odwiedzić i sprawdzić.

Po długim czasie, kiedy najemnicy dawno już rozeszli się do swoich zajęć, a dziedziniec opustoszał, otrząsnęła się z rozmyślań i skierowała do kuchni. Przestronne, jasne pomieszczenie było jak zwykle przytulne i ciepłe; roznosił się w nim apetyczny aromat pieczonego mięsa. Krzątające się przy paleniskach Selena i Catrina zerknęły przelotnie na wchodzącą dziewczynę, nie odrywając się od przygotowań do kolacji. Dopiero kiedy skończyły kroić chleb i ułożyły go na tacach, Selena przysiadła przy stole, podpierając głowę dłonią.

– Nie mam dzisiaj sił – pożałowała się i upiła odrobinę wody z kubka. – Czuję się, jakby jakiś okrutny barbarzyńca wbił mi topór w czaszkę. – Kyla popatrzyła na nią współczująco; ból głowy potrafił być istną torturą. – A nie zostawię Catriny samej – mówiła dalej kucharka. – Nie poradzi sobie w pojedynkę, nasi chłopcy lubią zjeść dużo i porządnie. – Uśmiechnęła się blado.

– Ja mogę pomóc – Kyla ze zdumieniem usłyszała własny głos. – Powiedz mi tylko, co jeszcze trzeba zrobić.

Selena zerknęła na nią niepewnie. Najchętniej położyłaby się w zaciszu swojej alkowy i zamknęła oczy. Może gdy zdrzemnie się trochę, poczuje się lepiej...

– Trzeba doprawić zupę – wyjaśniła cicho, podnosząc się ociężale ze stołka. – Podzielić mięso, rozłożyć naczynia i łyżki na stole w jadalni, powiedzieć Artchowi, żeby przytoczył dwie beczki piwa. Dzbany z winem stoją tam. – Wskazała dłonią kilka uginających się półek w kącie kuchni.

– Poradzimy sobie – zapewniła Kyla, chcąc wesprzeć Selenę. – Przecież to nic trudnego.

Kucharka jeszcze raz popatrzyła na nią z wahaniem. Głowa jednak dokuczała jej tak silnie, że poklepała tylko Kylę po ramieniu.

– Gdybyście czegoś nie wiedziały, lepiej pójdźcie po Lyanę – powiedziała na odchodnym, znikając za drzwiami.

Catrina popatrzyła za nią, by przenieść spłoszony wzrok na Kylę.

– Ja nie umiem jeszcze doprawiać potraw – oznajmiła. – Zawsze robiła to Selena.

– Poradzimy sobie – mruknęła Kyla, rozglądając się po kuchni w poszukiwaniu przypraw i ziół. Przecież nie będzie wołać ciotki do tak prostych rzeczy. – Zaczynij zanosić naczynia.

Otworzyła jeden z ceramicznych pojemników stojących na kredensie. Powąchała jego zawartość i nie namyślając się wiele, hojnie sypnęła z niego do kotła z zupą. Podobnie postąpiła z białym proszkiem, który znalazła w innym pojemniku. Sól? Nie sprawdzała. Kocioł wydał jej się duży, tak więc na wszelki wypadek wsypała do niego połowę pojemniczka. Kiedy Catrina wróciła po kubki, prowadząc za sobą Artcha, Kyla z uśmiechem zadowolenia dosypywała właśnie czarnych, okrągłych ziaren do zupy. Zamieszała chochlą w kotle i spróbowała gotowej polewki.

– Czegoś mi tu brakuje – mruknęła pod nosem, nie zwracając uwagi na pozostałą dwójkę, która przyglądała się jej sceptycznie. Artch wzruszył wreszcie ramionami i wyszedł, aby przytoczyć pierwszą beczkę piwa.

Kyla dla pewności sypnęła jeszcze owego białego proszku. Niezmiernie dumna z siebie, odwiesiła chochlę i oznajmiła, że kolacja niebawem będzie gotowa. Zanim mieszkańcy zamku zeszli do jadalni, wraz z Catriną zdążyły ponalewać zupy do misek i podzielić mięso.

– Nie za dużo pieprzu? – Catrina zerknęła niespokojnie na łyżkę, którą zanurzyła w potrawce. Było na niej kilka czarnych kulek.

Kyla popatrzyła na pozostałe miski. Prawie w każdej pływało kilkanaście ziaren przyprawy.

– Na dworze jest coraz chłodniej, rozgrzeją się – mruknęła niepewnie. – Pieprz jest podobno zdrowy... – dorzuciła cicho.

Najemnicy ze śmiechem i hałasem weszli do jadalni, rozsiadając się wygodnie na ławach przy stole. Dołączyli do nich Lyanna z Erykiem i pozostałe dziewczki służebne.

Głodny i zziębnięty Morht, który dopiero co zszedł z warty na wieży, pierwszy sięgnął po łyżkę. Przełknął łyk zupy i poczerwieniał.

– Co to ma być? – krzyknął, plując i prychnając.

Kompani popatrzyli na niego ze zdziwieniem. Któryś odważnie skosztował dania i czym prędzej wypluł to, co miał w ustach. Przesolonej i zbyt ostro doprawionej potrawy nie dało się zjeść. Lyanna powąchała niepewnie zawartość swojej miski, po czym przebiegła wzrokiem po biesiadnikach, szukając Seleny. Szepnęła coś mężowi do ucha.

– Kto to gotował, do ciężkiej cholery? – zaklął dowódca. – Selena! – wydarł się rozzłoszczony, rozglądając się za kucharką.

– Selena źle się czuła, ja jej pomagałam. – Kyla popatrzyła spłoszona na Lyannę. – Mówiła, żeby trzeba tylko doprawić, więc wzięłam te pojemniki i... – zająknęła się, czując, napływające do oczu łzy. Przecież chciała dobrze.

– Morht – siedzący obok Quen szturchnął przyjaciela, mrugając wesoło do Kyli – zjedz coś innego. To mięso jest naprawdę dobre – zapewnił, przeżuwając kolejny kawałek. – Kruche, soczyste...

– Jak czegoś nie umiesz, to się za to nie bierz! – przerwał mu Morht, patrząc oskarżycielsko na dziewczynę. – Już ja bym to lepiej przyrządził! – warknął wściekle, odsuwając od siebie miskę. Z trudem powstrzymał się od rzucenia naczyniem, najchętniej prosto w siedzącą niedaleko Kyla. To jej wina, że zamiast zjeść spokojnie, rozgrzać się i udać na odpoczynek, zdenerwował się. Po kiego diabła wciskała się do kuchni? Jakby mało było tego, że kręciła się po wschodnim skrzydle i wprowadziła do komnaty Darhera. Kobiety! Wszędzie ich pełno! Podniósł się, posyłając jej nienawistne spojrzenie.

Kyla zerwała się z ławy i płacząc, wybiegła z jadalni.

– Zapamiętaj tę twarz – Lyanna odezwała się głośno do wystraszonej Catriny. – Na drugi raz, gdy Selena źle się poczuje, idź od razu po niego. – Zmierzyła wzrokiem zdumionego jej słowami Morhta. – To nasz nowy mistrz kuchni – dodała ironicznie.

Eryk szturchnął ją w bok, żeby zamilkła. Obrzuciła go niemiłym spojrzeniem.

– Mam wam obu przypomnieć, jak pod Arwen spaliliście na węgiel zajęcia? I przez dwa dni jedliśmy wyłącznie zeschnięty chleb? Czy powiedziałam wam wtedy cokolwiek? – W oczach Lyanny błysnął gniew.

– Teraz mówisz. – Eryk podsunął żonie kubek z winem, wiedząc, że niebawem złość jej przejdzie.

Morht już chciał odpowiedzieć coś równie niemiłego, jednak napotkawszy spojrzenie Eryka, który pokręcił lekko głową, powstrzymał się w ostatniej chwili.

– To nie jest odpowiednia pora na kłótnie – rzucił pojednawczo, siadając i odgryzając kawałek mięsa, które podał mu Quen.

– Zgadzasz się z tobą. – Lyanna odsunęła od siebie miskę i sięgnęła po placek z owocami. – Spodziewam się, że wyjaśnisz tę sprawę z Kylą.

Czarnowłosa zakrzuszył się przełykanym właśnie kawałkiem pieczystego.

Kyla przez kilka dni unikała mieszkańców zamku, wstydząc się, że nie poradziła sobie w tak błahej sprawie jak doprowadzenie zupy. Po feralnej kolacji Lady Lyanna zabroniła jej surowo mieszać się do warzenia potraw, oznajmiając, że nie każda niewiasta musi mieć talent do gotowania, co niczemu nie szkodzi, bo zajmie się tym ktoś inny.

– Rób to, co potrafisz i co sprawia ci przyjemność. Jedni umieją gotować, inni szyć, a jeszcze inni wykuwają wspianiałą broń – pocieszała dziewczynę. – Ty potrafisz świetnie polować i chyba wolisz to od siedzenia w kuchni, prawda?

Kyla przytaknęła gorliwie. Kochała podchodzić zwierzynę, spędzać czas w lesie, obserwując przyrodę. Od tej pory, za namową ciotki, więcej czasu spędzała na włóczeniu się po okolicznych lasach. Wkrótce знаła tam każdy kamyczek i krzew. Wiedziała, którymi ścieżkami wędrują sarny, by napić się wody w schowanym pośród gęstwiny źródle. Umiała rozpoznać po tropach wielkość przechodzącego stada dzików. Wprawne oko i tajemniczy zmysł, który pozwalał jej podejść zwierzynę szybciej niż inni, sprawiły, że poczuła się wyjątkowa, zapominając o tym, czego nie umiała. Czasem towarzyszył jej któryś z najemników Morhta, na co dowódca spoglądał krzywo, jednak wyrażał zgodę. Nie przejmowała się tym, dopóki on sam nie przejawiał ochoty do wspólnych wędrówek.

Pierwszy raz od długiego czasu była szczęśliwa i coraz częściej się śmiała. A kiedy jeszcze Lyanna zabrała ją do zbrojowni i pokazała te wszystkie cuda, które zgromadzili najemnicy, oczy zabłyśły jej niby w gorączce.

Po lewej stronie od wejścia, wzdłuż całej ściany, umieszczono stojaki ze zbrojami. Czego tam nie było! Różnego rodzaju kolczugi, krótsze, dłuższe, z kapturami, plecione z drobnych stalowych kółeczek, kirysy, brygantyny, skórzane zbroje, przesywanice. Do tego hełmy, czepce, nogawice, pasy, rękawice. Szczególną uwagę Kyli przykuły trzy lśniące stalowe zbroje, stojące na samym końcu, tuż koło drzwi prowadzących do kolejnego pomieszczenia.

Podeszła do nich, przeglądając się w wypolerowanym metalu.

– Tego lepiej nawet nie dotykać. – Lyanna zaśmiała się cicho. – Morht jest bardzo drażliwy na ich punkcie – wyjaśniła. Kyla przezornie od razu się cofnęła. – Może kiedyś zobaczysz go w jednej z nich. Razem z Erykiem wyjeżdżają czasem na turnieje odbywające się na zamku króla Berona. I potem zwożą tutaj swoje wygrane... – Wskazała na ścianę po prawej stronie od wejścia, obwieszoną różnego rodzaju bronią. To, co nie zmieściło się na ścianie, spoczywało w skrzyniach stojących pod nią.

Kyla wodziła oczami po różnej długości mieczach; krótszych jednoręcznych, nieco dłuższych półtorakach i wielkich dwuręcznych, które tylko wyjątkowy siłacz był w stanie unieść. Niektóre z krótszych okazów miały lekko zakrzywione ostrze i tylko jedną stronę tnącą, inne w ogóle nie przypominały miecza.

– To ulubione szpikulce Morhta – wyjaśniła Lyanna, widząc, jak Kyla niepewnie obraca w palcach jeden z wąskich, zaostrzonych noży. – Zrobione jeszcze w Varthenie, z ich słynnej stali... – umilkła.

– Morht jest Vartheńczykiem? – Kyla znieruchomiała, przypominając sobie groźnego czarnowłosego. To częściowo wyjaśniałoby jego porywczy charakter, nad którym nie zawsze potrafił zapanować.

Lyanna, czując, że wymknęło jej się o kilka słów za dużo, szybko zmieniła temat.

– Wybierz sobie któryś z nich.

– Lyanno, czy Morht jest...

– Wybierz sobie miecz – kobieta przerwała jej ostro, nie zamierzając rozprawiać teraz o pochodzeniu dowódcy.

Kyla popatrzyła zaskoczona na ciotkę. Nigdy jeszcze nie odezwała się do niej tak surowo. Widząc jednak niewzruszoną minę kobiety, zrezygnowała z dalszych pytań. Bez słowa podeszła do ściany i zdjęła jeden z mieczy. Niewielki, jednoręczny, nieco zakrzywiony. Zaciśnęła palce na rękojeści i machnęła nim kilka razy w powietrzu. Wydawał się poręczny i niezbyt ciężki.

Lyanna uśmiechnęła się, zatwierdzając wybór dziewczyny.

– Tutaj możesz ćwiczyć. – Pchnęła drzwi, prowadzące do drugiego pomieszczenia zbrojowni. Weszła do środka, skinąwszy zachęcająco na dziewczynę.

Kyla z ciekawością rozejrzała się po niewielkiej sali. Jej wzrok zatrzymał się na zwisającej pionowo z sufitu belce owiązanej szmatami.

– Spróbuj na niej – poleciła Lyanna.

Kyla wzięła szeroki zamach, po czym z całej siły uderzyła w zwisający kawałek drewna. Miecz wypadł z jej dłoni, a poruszona belka znalazła się niebezpiecznie blisko twarzy dziewczyny. Lyanna w ostatniej chwili przytrzymała rozhuśtane drewno.

– Czyli zaczniemy od początku... – Uśmiechnęła się pobłaźliwie. – Podnieś go. – Wskazała ruchem głowy leżącą broń. – I stań obok mnie. – Dobyła zza pasa swój miecz.

Od tej pory ćwiczyły codziennie rano. Kyla uważnie słuchała wskazówek ciotki, wprowadzając je w czyn. Czym innym okazała się wyprawa na polowanie, a czym innym zadanie ciosu przeciwnikowi. Niemniej coraz zwinniej i śmieiej posługiwała się mieczem.

Kilka tygodni później Lyanna nie otworzyła drzwi niewielkiej sali w zbrojowni. Na dworze, ze względu na późną jesień, było już chłodno, jednak kobieta nakazała Kyli wziąć

broń i wyjść na zewnątrz.

– Dzisiaj potrenuje z tobą Will – oznajmiła.

Kyla zerknęła niepewnie na stojącego przed wejściem do zbrojowni najemnika. Dziedziniec był pusty. Odetchnęła z ulgą. O ile nie przeszkadzałoby jej towarzystwo zwiadowców, o tyle obecność ich dowódcy – zdecydowanie tak. Od czasu pechowej kolacji unikała go, jak mogła. Mimo to i tak zauważała jego drwiący wzrok, którym mierzył ją w trakcie wspólnych posiłków.

Kilka razy, kiedy wydawało się, że nikt tego nie widzi, wpatrywał się w nią inaczej, jakby zapamiętywał jej twarz i sylwetkę. Sposób, w jaki odgarniała włosy, pochylała się nad miską czy piła z kubka. Dostrzegła kiedyś to uważne spojrzenie i szybko wbiła oczy w blat stołu. Długa chwila minęła, zanim odważyła się ponownie zerknąć na czarnowłosego. I napotkała wzrok tak pełen wrogości, iż uznała, że przed momentem coś jej się po prostu przywidziało.

– Nie śpij! – z zamyślenia wyrwał Kyle głos Willa, który stał na wprost niej, uderzając ją lekko płazem miecza w ramię. – Unieś broń wyżej. Chyba że od razu chcesz napastnika pozbawić ważnej części ciała. – Zaśmiała się wesoło.

Bezpośrednie żarty Willa nie przeszkadzały jej. Wiedziała, że on i inni najemnicy, poza dowódcą oczywiście, odnoszą się do niej z życzliwością. Posłusznie uniosła miecz i spróbowała wykonać cięcie. Will sparował je błyskawicznie.

– Spróbuj jeszcze raz – polecił.

Zaatakowała go ponownie, jednak znowu bez problemu odbił jej cios. Za każdym razem, ilekroć zdawało się, że jest już blisko celu, okazywało się, że nie umie przebić się przez jego obronę.

– Ugnij bardziej kolana! – pouczał ją w trakcie pozorowanej walki. – Teraz uderz! Odskoocz! Trzymaj miecz wyżej! – Po godzinie takiej nauki padała z nóg, a ręce nie były już w stanie utrzymać miecza.

Lyanna, która obserwowała ich lekcję, była zadowolona. Jak na początek Kyli szło całkiem dobrze. Podeszła do dziewczyny, która siedziała oparta plecami o jeden z filarów i oddychała ciężko.

– Nie jest źle. – Poklepała ją po ramieniu. – Jutro czeka cię to samo. Chyba że nie chcesz... – zawałała się.

– Chcę. – Zasapana dziewczyna wciąż czuła podniecenie wywołane walkę.

Gdyby tylko zmęczone kończyny nie odmawiały posłuszeństwa, zapewne poprosiłaby o kolejną porcję ćwiczeń.

– Odniosę na miejsce. – Will pochylił się i zabrał leżący obok dziewczyny miecz.

Uśmiechnęła się do niego z wdzięcznością. Opierając się o ścianę, stanęła na drżących ze zmęczenia nogach. Czuła każdy najdrobniejszy mięsień swojego ciała; zdawało jej się, że o istnieniu wielu z nich nie miała do tej pory pojęcia. Dopiero po długiej chwili powlokła się w stronę swojej komnaty.

Jedna rzecz nie dawała jej spokoju: pochodzenie Morhta...

Karczma w Terlinie była pełna gości. Wielkie, zadymione pomieszczenie, na co dzień spokojne, tego wieczoru wprost pękało w szwach. Migoczące płomienie świec umieszczonych

w ściennych lichtarzach i blask padający od rozgrzanego paleniska oświetlały znaczną część karczmy. Na jutrzejszy targ ściągnęło wielu mieszkańców okolicznych wiosek. Wieśniacy siedzieli przy stołach, przekrzykując się nawzajem. Stukali się kufkami pełnymi piwa, beztrudnie rozlewając trunki na podłogę.

Piskliwe chichoty kilku dziewczek, które podróżowały z trupą wędrownych aktorów, rozbrzmiewały z kąta. Kilku przejezdnych, wynajmujących w gospodzie pokoje na nocleg, popijało gorzałkę, stojąc przy szynkwasiu.

Morht zatrzymał się na progu i obrzucił obojętnym spojrzeniem całe towarzystwo. Idący za nim Quen klepnął go w ramię, wskazując lekkim ruchem głowy kawałek wolnego stołu, niedaleko piskliwych dziewczek. Obaj byli głodni i zziębnięci po całodziennej wędrówce. Dowódca popatrzył z niechęcią na towarzystwo zajmujące sąsiednią ławę i westchnął ciężko.

– Gulasz? – Quen spojrzał pytająco na kompana.

Morht skinął głową, ruszając w stronę wskazanego stołu. Quen skierował swe kroki ku ladzie. Tłusty karczmarz powitał znajomą twarz szerokim uśmiechem.

– Długo was nie było. – Podsunął najemnikowi kufel piwa. – Gdzieście się podziewali?

– Bywało się tam i ówdzie – odparł Quen, zerkając na stojących nieopodal mężczyzn.

Kłócili się między sobą zawzięcie. Jednym uchem słuchał ich waśni, ciekaw przyczyny sporu. – Daj nam kolację i coś na rozgrzanie – mruknął wreszcie, odwracając się do nich plecami. – Pokoje też się przydadzą. – Położył na ladzie kilka monet, które karczmarz chciwie zgarnął do kieszeni.

Potoczył jeszcze wzrokiem po gościach gospody, po czym wolnym krokiem wyminał kłócących się, idąc w stronę siedzącego już Morhta. Zajął puste miejsce obok niego, opierając się wygodnie o ścianę. Obaj teraz przyglądali się z zainteresowaniem czarnookiemu młodzikowi, który wyklócał się z jakimś bogato ubranym osobnikiem o zapłatę.

– Potencjalny najemnik? – Quen sięgnął po przyniesiony przez dziewczkę karczemną kufel i upił kilka łyków pianistej cieczy.

– Na to wygląda. – Morht nie spuszczał oczu z młokosa. Hardy ton głosu i bogata gestykulacja spodobały mu się. – Nerwowy – mruknął rozbawiony.

– Nie bardziej niż ty – zauważył niewinnie Quen.

Przyjaciel uśmiechnął się szeroko.

– Sami? – Koło stołu przystanąła dziewczyna odziana w krótką suknię, z gorsetem podkreślającym krągłe piersi. Rude włosy opadały falami na szczupłe ramiona. – Mam ochotę na wino... – Pochyliła się nieco w stronę Quena, który całą swoją uwagę skierował teraz na wychylający się zza gorsetu biust dziewczyny. Na jego twarzy pojawił się błogi uśmiech.

Morht westchnął ciężko, widząc rozkojarzone spojrzenie towarzysza.

– W sumie dlaczego nie – mruknął po chwili. – Wyglądasz na sprytną osobkę. – Obrzucił ladacnicę badawczym spojrzeniem. Wychylił się zza stołu i włożył jej za gorset kilka monet.

– Odszukaj i przyprowadź tutaj Viernę.

– Jest dzisiaj zajęta. – Zachichotała figlarnie, przesuwając pieszczotliwie opuszkami palców po policzku jasnowłosego najemnika.

– Powiedz jej, że Morht przyjechał – wtrącił się Quen. – Przyleci jak na skrzydłach.

Morht popatrzył zdumiony na przyjaciela. Ladacznica znowu zachichotała, puściła oczko do Quena i szybkim krokiem oddaliła się w stronę schodów prowadzących do pokoi na piętrze

karczmy.

– No co? Nie widziałeś, jak na ciebie patrzy, kiedy tu przyjeżdżamy? – Quen szturchnął przyjaciela w bok.

– To tylko zwykła dziewczka z gospody – mruknął dowódca. – Dobra w tym, czym się zajmuje. A o zabawę i odpoczynek tutaj przecież chodzi, prawda? – Klepnął przyjaciela w plecy, zdając się nie zauważać dziwnego spojrzenia, jakie mu posłał.

Quen westchnął, upijając łyk piwa. Nie odezwał się ani słowem.

Kłótnia uspokoiła się. Obaj mężczyźni pili teraz zgodnie z kufli, zapewne ubijając następny interes. Czarnooki powiódł pewnym spojrzeniem po karczmie.

– Zgarniemy go w drodze powrotnej, o ile jeszcze tu będzie. – Morht rozsiadł się wygodniej.

Odprowadził wzrokiem jedną z dziewczek roznoszących jedzenie. Kiedy ta sama dziewczyna kilka chwil później stawiała przed nimi miski pełne parującego gulaszu, humor mu się poprawił. Nie zwlekając, sięgnął po łyżkę i parząc sobie usta, pochłaniał łakomie gorącą strawę, przegryzając chlebem.

Ladacznicą, której dał kilka monet, zeszła do nich wraz z jasnowłosą Vierną. Obie z uśmiechem na ustach usiadły pomiędzy mężczyznami.

– Długo cię nie było, Morht. – Vierna położyła mu dłoń na udzie, od niechcienia sunąc palcami ku górze. – Zapomniałeś o starej przyjaciółce? – Zajrzała mu w oczy.

Przerwał na chwilę jedzenie, by na nią popatrzeć.

– Nie składało się – wyjaśnił krótko, przyzywając ręką karczmarza.

Ten szybko kazał donieść nowe kufle i trunki. Wiedział, że kiedy ci zbrojni przyjeżdżają się zabawić, nie żałują grosza, ale opieszałości nie znoszą. Szczególnie Morht, którego ciężką rękę miał już nieprzyjemność poczuć.

Quen mrugnął porozumiewawczo do kompana, po czym obejmując w pół rudowłosą, od biustu której nie odrywał zachwyconego wzroku, pociągnął ją za sobą na górę. Ledwie weszli do pokoju, przytulił ją do siebie. Kopnięciem domknął drzwi i zanurzył twarz w gęstych włosach dziewczyny. Odszukał wargami jej ucho.

– Stęskniłem się za tobą, Arriso – wyszeptał.

Uśmiechając się zalotnie, podeszła bliżej. W ciemnych oczach dziewczyny pojawił się zachwyt na widok nagiego mężczyzny stojącego nieopodal. Powiodła wzrokiem po jego muskularnym ciele, poznaczonym gdzieniegdzie bliznami. Nie odrywając od niego oczu, pogładziła lekko jego szeroką pierś, sunąc odważnie palcami w dół.

– Chyba jesteśmy tu sami. – Wspięła się na palce, sięgając ustami jego warg.

Uśmiechnął się lekko, przyciągając ją do siebie i wplatając palce w jasne włosy. Odchylił jej głowę do tyłu i przesunął wargami po skórze szyi.

– Wolisz dołączyć do nich? – zamruczał jej prosto do ucha; poczuła muśnięcie jego ust oraz gorący, pachnący winem oddech.

Pokręciła przecząco głową. Zdecydowanie wolała pozostać tu z nim sama. Tylko oni dwoje.

Zaśmiał się cicho, odwracając kobietę plecami do siebie, i pchnął ją lekko w stronę drzwi.

Docisnął ją swoim ciałem, więżąc nadgarstki w żelaznym uścisku palców. Przyłgnęła policzkiem do chłodnego drewna i odwracając głowę, zerknęła niespokojnie na mężczyznę.

– Nigdy nie wiesz, co zrobię – szepnął jej do ucha, kolejny raz owiewając ją swoim oddechem. Drugą ręką sunął powoli wzdłuż jej ramienia, przez wąską talię, do bioder. Tu zatrzymał się, by wrócić tą samą drogą. Zwinne palce sięgnęły do sznurowania gorsetu, luzując je, by za chwilę zamknąć pierś w delikatnym uścisku. Westchnęła cicho, gdy poczuła jego kciuk drażniący sutek.

– To ci się podoba – mruknął, zsuwając rękę niżej. Nie mogła nie przyznać mu racji. – I to też – gardłowy pomruk wydobył się z jego piersi, gdy wsunął dłoń pod suknię dziewczyny.

Poczuła dotyk jego szorstkiej dłoni na pośladku, który ścisnął lekko, jednocześnie wargami muskał pieśczołtliwie skórę jej karku. Zadrżała.

– Tak jakbyś nie wiedział – odszepnęła urywanym głosem.

Puścił jej ręce i wsunął drugą dłoń pod suknię.

– A ja lubię, kiedy krzyczysz. – Kolejnemu zadziornemu mruknięciu towarzyszyły twarde palce mężczyzny, wślizgujące się pomiędzy jej uda. Jęknęła cicho, czując, jak powoli zagłębiają się w jej wilgotną kobiecość, pieszcząc ją delikatnie.

Przyparł ją jeszcze mocniej do drzwi i złapał za biodra, przyciągając ku sobie. Wiedziała, czego od niej oczekiwał. Oparła się dłońmi o twardą powierzchnię i wypięła kusząco. Wbił się w nią brutalnie. Kolejnym silnym pchnięciem bioder odpowiadały coraz głośniejsze jęki dziwki...

Godzinę później jasnowłosa kobieta pochylała się nad leżącym mężczyzną.

– Kiedy wybierasz się do Arwen albo Isztyr? – spytała cicho, wodząc palcami po jego nagim torsie. Zaczęli przy drzwiach, skończyli na łóżku. – Mógłbyś mi przywieźć stamtąd te ładne brosze.

Przygarnął ją do siebie, mrużąc coś niewyraźnie pod nosem. Zmęczenie, ciepła kolacja i wypite trunki zrobiły swoje. Oczy same mu się zamykały. Potrzebował kilku godzin snu.

– Może w przyszłym miesiącu – odparł sennie, nie otwierając oczu – Dopóki nikt z wioski nie prosi o pomoc, nie... – Chrapnął potężnie.

Kobieta musnęła ustami jego policzek i z rozmarzonym uśmiechem oparła głowę na jego ramieniu. Przypomniała sobie ich pierwsze spotkanie ponad dwa lata temu...

– Mogę cię stąd zabrać. W nowym miejscu znajdziesz dach nad głową i wyżywienie – oznajmił nad ranem. – Oczywiście nie za darmo.

– Nie będziesz zawiedziony. – Zatrzepotała figlarnie rzęsami.

– Nie zrozumiałaś mnie.

Wyjaśnił, że miałyby pracować na zamku Laghortów jako służąca.

Odmówiła od razu. Lubiła męskie towarzystwo i swoją pracę. Lubiła też, kiedy Morht przyjeżdżał i mogła się z nim spotkać. Kiedy nie odwiedzał Terlinu, tęskniła za nim. Jego obecność dodawała jej sił i chęci do życia. Przy nim czuła się spokojnie i bezpiecznie. Był inny od reszty klientów. Nigdy na nią nie krzyknął ani nie podniósł ręki, w przeciwieństwie do niektórych pijanych gości karczmy. Nie żałował monet, czasami przywiózł jakiś prezent. Owszem, bywał dość brutalny, jednak najchętniej nie wypuszczałyby go ze swoich ramion.

Może kiedyś zechce osiąść na stałe w Terlinie, może właśnie z nią... Zdawało jej się, że dba o nią w szczególny sposób. Chociaż po dwóch latach znajomości dalej nic o nim nie

wiedziała, poza tym że pracuje dla Laghortów, miała wrażenie, że łączy ich jakaś więź. Mało o sobie mówił, często znikał bez pożegnania, jednak Vierna z utęsknieniem czekała na jego wizyty, skracając sobie okresy tęsknoty marzeniami o czarnowłosym najemniku.

Teraz, szczęśliwa z powodu jego obecności, wtuliła się w mężczyznę, zamykając oczy. Przysypiała już, kiedy do jej uszu dobiegło niewyraźne mamrotanie. Wsłuchiwała się uważniej i ze zdumieniem uniosła głowę, patrząc na twarz mężczyzny. Widać śniło mu się coś miłego, bo napięcie goszczące zwykle na jego obliczu zniknęło, ostre rysy wygładziły się, a na wargach błąkał się lekki uśmiech.

Szturchnęła go silnie w żebra.

– Kyla? – krzyknęła mu wprost do ucha. – Kto to jest Kyla? – Zerwała się z łóżka rozgniewana.

Obudzony nagle mężczyzna usiadł na łóżku, patrząc nieprzytomnie na Viernę. Rozespany, zamrugał oczami, nie rozumiejąc, o co chodzi.

– Morht, ty pieprzony sukinsynie! – Uderzyła go z całej siły w twarz, czując, jak jej marzenia w jednej chwili znikają, a serce rozpada się na drobne kawałki. Spojrzała nienawistnie na mężczyznę i wybiegła z pokoju, z hukiem zatrzaskując za sobą drzwi.

Morht zamrugał powiekami; jakby nie do końca pamiętał, gdzie jest i co tu robi. Po chwili machnął ręką i opadł ciężko na poduszkę, na powrót zasypiając.

Kilka godzin później obaj towarzysze schodzili z góry, przyglądając się niezbyt trzeźwym gościom karczmy, którzy bawili się jeszcze w najlepsze. Quen wskazał ręką na pijanego czarnookiego młokosa. Obściskiwał w kącie gospody dziewczkę z trupy aktorskiej, która usiłowała się wyrwać, jednak wobec siły natręta nie miała na to szans. Nikt z pozostałych gości nie reagował na jej protesty, a wśród towarzyszy dziewczyny wzbudzały one jedynie wybuchy śmiechu.

Najemnicy zgodnie ruszyli w tamtą stronę.

– Puść ją. – Morht z łatwością oderwał rozpalonego młodzieńca od jego zdobyczy. Dziewka uciekła z piskiem, chowając się za stołem. – Mam dla ciebie ciekawsze zajęcie.

Chłopak wyszarpnął się z uchwytu Morhta i spojrzał na niego wrogo.

– Szukasz guza? – spytał hardo, sięgając po schowany za pasem sztylet.

Rozbawiony postawą młodzika, Quen wybuchnął śmiechem, lecz zamilkł, kiedy musiał uchylić się przed lecącym w jego stronę kuflem. Piwo rozbryznięto się na podłodze przy wtórze brzęku tłuczonego szkła.

– Spróbuj się ze mną. – Zza sąsiedniego stołu podniósł się wielki, zarośnięty wieśniak, łapiąc krzesło i miotając nim z zadziwiającą lekkością.

Obaj kompani odskoczyli; Morht chwycił stojącą najbliżej ławę i wywijając nią młynka, rzucił w stronę olbrzyma. Przewrócony i zaskoczony wielkolud gramolił się niezdarnie z podłogi, kiedy tuż obok niego świsnął sztylet i wbił się w blat stołu. Odskoczył odruchowo, szukając wzrokiem napastnika. Quen spojrzał z uznaniem na czarnookiego, który uśmiechnął się szelmowsko.

Karczmarz załamał ręce.

– Moje miski... – zaczął biadolić. – Kto mi za to zapłaci? – Widząc kolejne kufle lecące w

stronę najemników, schował się przezornie za ladą i tylko od czasu do czasu zerkał niespokojnie na rozkręcającą się bijatykę. Przywołał gestem chłopca stajennego i powiedział mu coś po cichu; gdy dzieciak wybiegł z karczmy, unikając frunącego w jego stronę krzesła, odetchnął z ulgą.

W gospodzie zaczął się sądny dzień. Do awantury dołączyli pozostali goście. W powietrzu słyhać było świst rzuconych przedmiotów, huk rozbijanych kufli i misek, przekleństwa i krzyki. Na podłodze tłukło się bezlitośnie kilku pijanych mężczyzn. Quen dobył miecza i skoczył w stronę najbliższego napastnika. Morht odpierał dzielnie ataki dwóch kolejnych.

Wtem do karczmy wkroczyli strażnicy miejscy, po których posłał załamany oberżysta. Mając przewagę liczebną, szybko rozpędzili bojowe towarzystwo, co bardziej rozochoconych zabierając ze sobą – przy wtórze biadolenia karczmarza, który domagał się pokrycia strat, i jęków ciężej pobitych.

– Dawno nas tu nie było, co? – Quen założył ręce pod głowę, wyciągając się na sienniku w celi aresztu miejskiego.

– Musiałeś mu wsadzić ten dzban na głowę? – Morht ocierał rękawem rozbitą wargę, z której sączyła się krew.

– Było mu w nim do twarzy – odparł Quen, po czym obaj wybuchnęli głośnym śmiechem.

– Jemu podziękuj za zmianę miejsca noclegu. – Vartheńczyk popatrzył na czarnookiego, który z obrzydzeniem spoglądał na rozpadający się siennik. Młokos odmruknął coś pod nosem. Mężczyźni ponownie zarechotali radośnie. – Prześpijmy się, póki nas stąd nie wyciągną. – Morht zerknął krzywo na przebiegającego po celi szczura, który stanął na środku, przyglądając się nowym lokatorom. – Kolację już jadłeś? – rzucił złośliwie do Quena, wskazując na zwierzę nieznacznym ruchem głowy.

Sir Laghort nie był zadowolony, kiedy nazajutrz zjawił się w Terlinie. Wpłacił żadaną sumę kapitanowi straży, po czym zczekał u wrót miejskich na swoich ludzi. Zsiadł z konia, rozglądając się po obleganym kilkanaście lat temu mieście. Ludzie zdążyli już zapomnieć o trwających tu walkach i miasto żyło swoim rytmem. Odbudowano większość budynków, wzmocniono zabezpieczenia, a mieszkańcy wrócili do dawnego, spokojnego bytowania.

W oddali dostrzegł dwóch mężczyzn prowadzących za sobą konie. Za nimi wlokła się powoli trzecia postać. Gdy zbliżyli się i rozpoznał zmęczone z niewyspania twarze swoich ludzi, parsknął krótkim śmiechem.

– Dałem im najgorszą celę, jaką miałem – rzucił niewinnie kapitan, który przystanął obok Laghorta.

Ten uśmiechnął się rozbawiony i z poufałością poklepał kapitana po ramieniu.

– Należało im się za wywołanie awantury – odparł, nie spuszczać oczu z Morhta i Quena. Na dłużej zatrzymał wzrok na idącym za nimi młokosie.

Zwiadowcy stanęli przed swoim przełożonym.

– Zabieramy go ze sobą – wyjaśnił krótko Quen, kiedy Venim sadowił się za nim w siodle. W oczach Morhta błysnęły diabelskie ogniki.

– To co, kapitanie, może jeszcze raz przymierzy pan dzban? – rzucił złośliwie do dowódcy strażników. Quen uśmiechnął się pod nosem, ruszając w kierunku bramy.

– Może jeszcze jeden nocleg? – zripostował kapitan, gromiąc ich wzrokiem.

Vartheńczyk, nic sobie nie robiąc z gniewnego spojrzenia, dosiadł zwinnie konia, po czym wy dobył zza koszuli martwego szczura.

– Smacznego. – Spiał konia, ciskając jednocześnie truchłem w kapitana, po czym puścił się galopem przez bramę miasta.

Quen z Venimem podążyli nieco wolniej za nim. Sir Laghort westchnął ciężko i rzucił kapitanowi kilka monet.

– Kup sobie żywego – mruknął ironicznie, odjeżdżając w ślad za swoimi ludźmi.

Dowódca straży pokręcił głową ze złością i klnąc pod nosem na trójkę nie lubianych gości, szybkim krokiem wszedł do wartowni. Jego spojrzenie zatrzymało się na posiniaczonej kobiecie. Na opuchniętej wardze zastygła strużka krwi, a podbite oko wyraźnie świadczyło o zetknięciu z czyjąś silną pięścią. Ojcowskim ruchem pogładził ją po głowie.

– Jesteś pewna, że to Morht tak cię urządził i zabrał twoje pieniądze?

Ladacznica bez wahania skinęła głową.

– Zagroził, że jeśli komuś powiem, to wróci tutaj i się zemści. – Rozpląkała się żałośnie. – A pan go wypuścił z miasta, zamiast pozostawić w celi!

W tej chwili życzyła najemnikowi wszystkiego co najgorsze. Jak mógł tak ją zawieść? Jak mógł ją odtrącić?

– Widziałem, że zabrali ze sobą Venima – zauważył dowódca straży, bezwiednie oddychając z ulgą. Przystojnego młodzieńca podejrzanie często widywano wszędzie tam, gdzie pojawiała się jego żona, która miała niepokojącą słabość do zbrojnych. – Czy to nie on przypadkiem ostatnio się tobą opiekował? – Zmrużył oczy, przyglądając się badawczo dziewczce, która zastanawiająco szybko zaprzeczyła, wbijając wzrok w ziemię.

Jeśli kapitan nie jest skłonny pomóc jej w ukaraniu kochanka, może Venimowi uda się poróżnić ze sobą najemników i dowiedzieć się czegoś o osobce imieniem Kyla. A wtedy Morht gorzko pożałuje, że zniszczył jej marzenia.

W zamku od dwóch tygodni trwały przygotowania do wizyty Sir Victora, który miał przybyć wraz z małżonką oraz grupą zaufanych zbrojnych. Lyanna martwiła się, że w pośpiechu i natłoku wydarzeń coś zostanie przeoczone; Eryk uspokajał ją, twierdząc, że tak doskonałej pani na zamku nic nie umknie. Część najemników, oddanych tymczasowo do dyspozycji Seleny, zwoziła z miasta żywność, uzupełniając przy okazji zapasy przed zimą. Wybierano się na polowania, aby zapełnić spiżarnie mięsiwem.

Kyla, której Morht za namową Lyanny pozwolił dołączyć do grupy najemników, nie posiadała się ze szczęścia, mogąc skradać się po lesie z łukiem. Oczy błyszczały jej dumą i radością, kiedy wracali konno z upolowaną zwierzyną. Nawet obecność dowódcy, który czasami wyjeżdżał z nimi, przestała jej przeszkadzać. Może po prostu dlatego, że od dobrych kilku tygodni nie usłyszała od niego żadnego przytyku. Coraz lepiej i swobodniej czuła się w grupie zamkowych najemników. Od czasu do czasu pozwalała sobie nawet na żarty z nimi.

Selena, której przydzielono do pomocy kilku nowych ludzi Morhta, w tym Venima i Zethara, nie pozwalała na lenistwo, ostro goniąc młokosów do pracy. Na kilkukrotne niestosowne zaczepki Venima zareagowała złością, by ostatecznie wygonić go z hukiem ze

swojego królestwa. Kufel, który za nim rzuciła, przeleciał prawie jedną czwartą dziedzińca, zanim rozbił się z trzaskiem na ziemi. Młodziutki Zethar od razu przezornie umknął z kuchni, z doświadczenia wiedząc, że lepiej unikać rozdrażnionych kobiet. Matka nieraz mu przyłożyła ścierką w plecy, kiedy była zdenerwowana. Dwóch pozostałych pomocników wolało iść po dowódcę.

– Jak jeszcze raz go tu zobaczę, obleję wrzątkiem! – zagroziła, kiedy Morht chciał poznać przyczyny takiej furii. – A tobie tak doprawię jedzenie, że przez tydzień nie wyjdiesz z łóżka! – Rozgniewana miotła się po kuchni, klnąc pod nosem na zbyt swawolnego Venima. Morht pierwszy raz widział ją tak rozżłoszczoną, a lepiej nie denerwować kogoś, kto zajmuje się przygotowaniem posiłków. – Nie mogłeś przysłać Artcha? – Zatrzymała się wreszcie i spojrzała na mężczyznę z wyrzutem.

– Może i mogłem. – Oparł się ramieniem o framugę drzwi. – A ten ci się nie spodobał? – zażartował, ukazując w uśmiechu białe zęby. – Za słaby do przetaczania beczek?

Selena rzuciła mu nieprzyjemne spojrzenie.

– Nie zaczynaj, Morht... – Pogroziła mu palcem.

– Jeśli obiecuję, że przyślę tutaj kogoś innego, dowiem się, co zaszło? – Popatrzył uważniej na kucharkę. Zнали się od kilku lat i wiedział, że mało rzeczy wyprowadzało ją z równowagi. Czyli musiało to być coś poważnego, skoro tak się teraz miotła. Niejasna myśl zaświtała mu w głowie.

– Po prostu trzymaj Venima z daleka od kuchni – powiedziała nieco łagodniej. – I przyślij mi tu, do diaska, Artcha. – Puściła do niego oko, łapiąc łopatę do wyjmowania chlebów z pieca. Ale zaraz ją odłożyła i sięgnęła po kufel stojący samotnie na stole.

– To mówisz, że Venim jest zbyt męski do pracy w kuchni? – Zaśmiał się, potrząsając głową. – A Artch jest odpowiedni? – droczył się z nią. – Nie ma w sobie nic...

– Morht, pozałujesz tego! – przerwała mu, rzucając w niego kuflem, który zamierzała właśnie odstawić na półkę.

Uchylił się zwinnie przed lecącym naczyniem, które z głośnym hukiem rozbiło się o drzwi.

– Trochę niecelnie, ale... – zawiesił głos, patrząc z uśmiechem na Selenę – uznajmy rzut za zaliczony. – Schylił się i pozbierał większe czerepy kufla. – Gdzie to wyrzucić?

– Do diabła! – zaklęła głośno, wskazując dłonią kosz w rogu. – Kiedyś trafię, zobaczysz.

– Obiecuję wtedy stać nieruchomo – odparł wesoło. – Chcesz spróbować jeszcze raz?

Popatrzyła na niego podejrzliwie, po czym widząc, że wyprostował się i znieruchomiał, jakby oczekiwał na kolejny kufel lecącego w jego stronę, wybuchnęła perlistym śmiechem. Zawsze umiał poprawić jej humor. Pogroziła mu jeszcze raz palcem, tym razem żartobliwie, i znowu złapała za łopatę.

Morht roześmiał się z ulgą, widząc, że gniew Seleny mija.

– Zostaw, pomogę ci z tym chlebem. Zethar! Wracaj tu, tchórze! – zawołał, widząc zagląającego niepewnie do kuchni młodzika, który dołączył do nich zaledwie tydzień temu.

Morht postanowił przyjrzeć się uważniej Venimowi. Szybkim krokiem przemierzał korytarz zachodniego skrzydła, kierując się w stronę wspólnej komnaty zwiadowców. Siedział w niej tylko Quen i jak zwykle polerował jeden ze swoich mieczy. Dowódca usiadł naprzeciw niego.

– Jak idzie? – Sięgnął po leżące w misie jabłko i odgryzł kawałek.

– Kilku w Terlinie z Lyanną, kilku na polowaniu, dwóch pomaga Torze i Vanorze przygotować komnaty dla gości, Eryk wyjechał rano do Isztyru – zdał relację Quen.

– Venima gdzie posłałeś? – zainteresował się.

– Przecież ty go wysłałeś z Kyla do Metllasu po jakieś zioła.

– Ja? – Morht zdziwił się.

Quen pokiwał głową.

– Mówił, że ty.

Vartheńczyk zdenerwował się. Nie tolerował wtrącania się w jego decyzje, o przekazywaniu z gruntu nieprawdziwych poleceń już nie wspominając. Na pewno nie wysłałby nowego najemnika samego z Kyla czy jakąkolwiek dziewczyną z zamku, nie będąc pewnym jej bezpieczeństwa. Opowiedział przyjacielowi o awanturze w kuchni. Quen pokiwał głową i stwierdził:

– Nie podoba mi się jego zachowanie. Poza tym w nocy próbował dostać się do komnaty Isleen. Tłumaczył, że szukał ręczników. Sprawdziłem: w łaźni było wszystko na miejscu. Isleen robi to, co do niej należy. W przeciwieństwie do Arieny, która usiłowała pomóc Willowi w myciu... – zawiesił głos, przyglądając się z uwagą czyszczonej broni.

Morht westchnął ciężko i przecesał palcami włosy. Nie lubił, kiedy sprawy wymykały mu się spod kontroli. Nie lubił też, kiedy nie trzymano się zasad, które ustalili Laghortowie.

– Selen na pewno powie Artchowi, co się stało – mruknął ponuro.

– Ja też ci powiem, co się stało – odparł Quen. – Ten sukinkot pewnie nie umiał utrzymać łap przy sobie. Artch mu tego nie daruje. – Uniósł ostrze miecza i przyglądał mu się uważnie. Dostrzegł widać jakieś zabrudzenie, bo zabrał się ze zdwojoną energią do dalszego czyszczenia.

– Nie będę go zatem powstrzymywał. – Na wargach Morhta pojawił się złośliwy uśmiešek.

Zbrojni wiedzieli, że ich milczący zazwyczaj kompan w towarzystwie Seleny stawał się zupełnie innym człowiekiem, a każdą wolną chwilę wolał spędzać w kuchni. Po kilku docinkach, kiedy to Artch dobitnie i nie szczędząc pięści, wyjaśnił towarzyszącemu, że mają dać mu spokój, nikt już nie próbował żartować z jego nagle objawionej pasji do gotowania.

– Jutro z rana trzeba wyjechać po Sir Victora w stronę Terlinu. – Dowódca zmienił temat. Quen spokojnie przytaknął. – Zatem weźmiesz ze sobą sześciu ludzi i ruszycie mu na spotkanie – polecił Morht.

Popatrzył na ogryzek, który trzymał w palcach i wyrzucił go do kominka. Podniósł się ciężko, wyjrzał przez okno na pusty dziedziniec, pokręcił się bez wyraźnego celu po komnacie, przełożył kilka stojących na stole naczyń, wyjrzał jeszcze raz przez okno, by nagle wyjść szybkim krokiem. Quen przyglądał się w milczeniu dziwnemu zachowaniu przyjaciela. Wzruszył ramionami i podniósł się, odkładając miecz na stół. Na dzisiaj czyszczenie zakończone.

Morht tymczasem skierował się do stajni, gdzie osiodłał swojego wierzchowca, po czym powoli wyjechał z zamku. Sam jeszcze nie wiedział, dokąd pojedzie. Coś gnało go przed siebie. Najpierw ruszył w stronę traktu handlowego wiodącego z Isztyru do Terlinu. Na rozstaju dróg skręcił w prawo do Vinrydu, jednak po przejechaniu kilkunastu kroków zawrócił konia i poganiając go, puścił się galopem do Metllasu.

W połowie drogi dojrzał sylwetki dwójki jeźdźców i zatrzymał się. Kiedy podjechali bliżej, zauważył zarumienioną, roześmianą twarz Kyli. Rozprawiający o czymś żywo Venim nie zwrócił uwagi na wpatrującego się w nich wrogo dowódcę. Dziewczyna zatrzymała konia, dostrzegając marsową minę Morhta.

– Po kolacji staw się u mnie – nakazał surowo Venimowi, po czym spał wierzchowca i popędził w stronę wioski.

– Strasznie nerwowy – zauważył czarnooki najemnik, patrząc szyderczo za odjeżdżającym Morhtem. – Słyszałaś, że pobił i okradł swoją pannę z Terlinu? – rzucił cicho.

Serce Kyli zaczęło bić szybciej.

– Jak to pobił i okradł? – odezwała się po dłuższej chwili, spoglądając niespokojnie na Venima. Panna Morhta? Na tę myśl rodziło się w niej jakieś dziwne uczucie, którego nie umiała jeszcze określić. W wyobraźni ujrzała wielkiego i silnego Morhta znęcającego się nad jakąś drobną dziewczyną. Wzdrygnęła się ze strachem. Vartheńczyk...

– Podobno nie chciała... – Venim udał zakłopotanego. – No wiesz... – Zerknął znacząco na Kylę, która umknęła spojrzeniem.

O takich sprawach nie godziło się rozmawiać z młodą, niewinną dziewczyną. Zarumieniła się lekko. Nie chciała tego słuchać.

– Jedźmy. – Ruszyła z miejsca.

Dogonił ją.

– A słyszałaś o tym, że używa specjalnego bicza? Z rękojeścią w kształcie...

– Zamknij się! – przerwała mu ostro.

Życie prywatne dowódcy zbrojnych nie obchodziło jej w najmniejszym stopniu. A przynajmniej chciała, aby nie obchodziło. Jednak wzmianka o kobiecie, którą odwiedzał w Terlinie, wzbudziła w niej gniew.

Venim, widząc wzburzenie dziewczyny, uśmiechnął się drwiąco pod nosem. Był pewien, że Kyła nie omieszkła podzielić się tymi wiadomościami z innymi kobietami na zamku. I nie tylko. Z łatwością rozpuścił kilka plotek o dowódcy, siejąc ferment wśród żytych do tej pory ludzi. Skłócić ich ze sobą, sprawić, aby przestali sobie ufać – tego chciał. Sielska atmosfera panująca na zamku zdecydowanie kłóciła się z tym, do czego przywykł. Drażniło go cudze szczęście. Dlaczego im się udało? Czemu inni żyli sobie dobrze, spokojnie, dostatnio, a on nie? Z zawiścią pomyślał o Morhtcie, który zdobył wszystko, o czym on mógł tylko marzyć. A do tego ta przeklęta dziwka Vierna oczy za nim wypatrywała! Na samą myśl o nich dwojgu razem poczuł nieopisaną złość.

Jednak słabo znał Kylę, sądząc, że przekaze niesprawdzone informacje dalej.

Na dworze zaczynało szarzeć, brzask powoli oblewał wyłaniającą się z nocnych ciemności ziemię i chociaż do pierwszych promieni słońca było jeszcze daleko, to na dziedzińcu zamkowym panowało spore poruszenie. Grupa zbrojnych pod przewodnictwem Quena szykowała się do wyjazdu. Mieli poczekać na gości w Terlinie i wrócić z nimi bezpiecznie na zamek.

Selena i Lyanna, całe rozgorączkowane, wydawały kolejne polecenia w kuchni. Kyła została wysłana na wieżę bramną, by wspólnie z Sarthusem wypatrywała gości. I aby, na

bogów, nie pętała się po kuchni, chcąc pomóc. W całym zamku trwały ostatnie przygotowania do podjęcia Sir Victora i jego świty.

Nie minęło południe, kiedy do kuchni wpadła podekscytowana Kyla.

– Jada! – krzyknęła od progu. Była bardzo ciekawa tej wizyty połączonej z turniejem.

Na dziedzińcu ustawiono kilka rzędów ław, z których miano przyglądać się pojedynkom najemników, a stojący na środku ruchomy manekin, używany do ćwiczeń, czekał na śmiałka, który zdoła trafić go w pierś.

Poprzedniego wieczoru próbowała zaatakować go mieczem i za piątym razem, kiedy manekin, obracając się, zrzucił ją z konia, poddała się. Kilku z towarzyszących jej najemników, równie rozbawionych jak ona, też podejmowało daremne starania. Przyglądająca się im Lyanna poklepała protekcyjnie Trevora po ramieniu i zażądała wierzchowca.

Śmiechy na dziedzińcu umilkły, kiedy uderzyła celnie mieczem w pierś manekina, odjeżdżając ze zwycięskim uśmiechem na ustach.

– Ćwiczcie wytrwale – powiedziała, zeskakując zgrabnie z konia i podając wodze Trevorowi. – Abyście wstydu nam nie przynieśli – dorzuciła, puszczając łobuzersko oko do najemników.

Teraz widok manekina przypomniawszy Kyli o Morhtcie. „Ciekawe, czy on by umiał?” – przemknęło jej przez myśl. Na więcej rozmyślań nie było już czasu, gdyż na dziedzińcu wylegli pozostali mieszkańcy zamku, ciekawi goście w nie mniejszym stopniu niż Kyla. Kratownica została podniesiona, brama otwarta i oczekiwano z niecierpliwością na ich przybycie.

Jadący przodem Quen, z dwójką swoich ludzi, wprowadził orszak przez bramę. Za nimi podążało czterech najemników Sir Victora, odzianych w skórzane zbroje, z lśniącymi mieczami przy pasach. Dumni i wyprostowani, z wysokości końskich grzbietów przyglądali się witającym. Jadący za nimi Sir Victor z żoną Marvenną, odziani w odświętne, bogato zdobione szaty, uśmiechali się z zadowoleniem. Długa podróż, nieco męcząca, biorąc pod uwagę odległość dzielącą oba zamki, nareszcie dobiegła końca. A spotkanie dawno niewidzianych przyjaciół będzie samą przyjemnością. Tuż za nimi podążała szóstka ich najemników, a orszak zamykało czterech ludzi Morhta.

Kyla patrzyła z podziwem na wjeżdżających.

– Victorze! – Eryk z otwartymi ramionami ruszył na powitanie starego druha.

Morht pomógł zsiąść z konia Marvennie, do której pospieszyła Lyanna.

Po powitaniach przybysze zostali poprowadzeni do komnat gościnnych. Kilku ludzi Morhta zajęło się ich końmi i bagażami. Dano gościom czas, aby odpoczęli po trudach podróży, a przy okazji dokończono przygotowania do uczy, mającej odbyć się po południu.

Jadalnia reprezentacyjna, olbrzymia sala z trzema wysokimi oknami na wprost drzwi, przystrojona została ostatnimi tej jesieni kwiatami. Na ścianach płonęły świece w wieloramiennych kinkietach. W rozpalonym kominku trzeszczały wesoło gałęzie i świerkowe igliwie. Stoły, przykryte śnieżnobiałymi obrusami, ustawiono w podkowie, z czego główny, dla Laghortów oraz ich przyjaciół, umieszczono pod oknami.

Najemnicy porozsiadali się, jak któremu było wygodnie, zachowując między sobą wolne miejsca dla dziewczek służebnych. Wszak zawsze milej i weselej biesiadować w towarzystwie niewiast.

W kącie na prawo od wejścia rozłożyli się muzykanci, mający przygrywać podczas uczy. Stroili swoje instrumenty, a dźwięki harfy czy liry dobiegały aż do pobliskich komnat. Przywiezieni z Arwen bardowie przygotowywali się do swoich występów, opiewających legendarnych bohaterów oraz waleczne czyny znamienitych gości. Kuglarze i akrobaci z Terlinu czekali na dogodny moment do pokazania swoich sztuczek.

Kiedy wreszcie nadeszło popołudnie, a wyczekiwani goście zajęli miejsca za stołem, Selena wraz z pomocnicami wniosła przyszykowane potrawy.

Czego tam nie było!

Pieczone w całości prosięta, kurczaki i gęsi. Przyrządzone specjalnie niedźwiedzie łapy, różnego typu mięsiwa, w tym przepyszne udźce: sarnie i dzicze. Szynki, kiełbasy, pieczenie. Ryby smażone i w galarecie. Misy pełne jabłek, śliwek i gruszek. Do tego cztery rodzaje chleba i bułek. Na deser podano kilka różnych placków: z gruszkami, z jabłkami i szafranem, wymyślne rogaliki nadziane miodem, obwarzanki. Przytoczono beczki z piwem, wniesiono dzbany z winami. Wybrańców poczęstowano miodem pitnym.

Kiedy zmęczona Selena usiadła wreszcie obok Artcha, ten podsunął jej ozdobny puchar z winem i miskę napełnioną przysmakami. Dobry obyczaj nakazywał usługiwanie białogłowie przy stole, a Morht surowo pilnował, aby żaden z jego ludzi nie okazał braku wychowania czy szacunku, niezależnie od pochodzenia niewiasty. Erykowi i kilku innym rycerzom owe zwyczaje nie były obce, jednak młodzi chłopcy z okolicznych wiosek, których włączano do drużyny, nie zawsze o nich słyszeli.

– Nie spojrzę na żadną potrawę przez najbliższy miesiąc – szepnęła Selena.

Artch uśmiechnął się łagodnie.

– Nie musisz – odparł również szepem. – Najważniejsze, żebyś mnie czasem uraczyła jakimś smakołykiem – zażartował, zajadając się słodkim plackiem z gruszkami.

Szturchnęła go żartobliwie w bok, po czym roześmiała się perliście.

Morht wodził spojrzeniem po biesiadnikach, od czasu do czasu zatrzymując wzrok na pustym miejscu obok Lyanny.

Kyla pierwszy raz miała wziąć udział w tak wielkiej uroczystości. Wiele czasu spędziła w swojej komnacie, zanim wreszcie zdecydowała się na długą, ciemnozieloną suknię, sznurowaną po bokach czarnymi, aksamitnymi tasiemkami. Obcisła na górze, z ozdobną złotą taśmą wokół łódkowego dekoltu, od bioder poszerzona klinami, miękkim materiałem otaczała smukłą sylwetkę dziewczyny. Z długiego rękawa, tuż nad łokciem zwieszał się swobodnie pas materiału w tym samym kolorze co suknia. Stopy wsunęła w wygodne, czarne trzewiczki z miękkiej skóry. Rozpuszczone włosy, opadające jasnymi puklami na ramiona, przewiązała zieloną wstążką i opuściła wreszcie komnatę.

Odgłosy dobiegające z dużej jadalni świadczyły, że uczta trwa już w najlepsze. Grajkowie przygrywali biesiadnikom, kuglarze popisywali się swoimi sztuczkami. Kyla wsunęła się nieśmiało do środka i szybkim krokiem przecięła salę, zajmując wolne miejsce obok Lyanny. Ciotka uśmiechnęła się do niej krzepiąco.

– Jutro bardziej ci się spodoba – szepnęła dziewczynie do ucha. – Dzisiaj będą tylko ucztować, ale jutro czekają nas konkurs strzelania z łuku, pojedynki na miecze i nie tylko. Teraz korzystaj i baw się do woli, tylko nie przesadź. – Puściła do niej oko, wracając do słuchania opowieści Marvenny.

Kyla, pogrążona w swoich myślach, łamała chleb na małe kawałeczki, które wsuwała do ust, powoli przeżuując kęsy. Mimo tylu przysmaków wokół nie miała apetytu. Bard opiewający właśnie czyny Sir Victora drażnił ją. Kuglarz pokazujący sztuczki też nie wzbudził jej zainteresowania. W jadalni było za duszno i zbyt gwaro. Ze znacznie większą przyjemnością wybrałaby się teraz na długi spacer po lesie, posłuchała śpiewu ptaków, odetchnęła świeżym powietrzem, posiedziała na omszałym kamieniu, obserwując pracujące mrówki.

Zapytana o coś przez Marvennę, potrząsnęła przecząco głową, nie zadając sobie trudu, by dowiedzieć się, o co chodzi. Zmęczonym wzrokiem powiodła po biesiadujących, którzy sprawiali wrażenie wielce zadowolonych.

Kiedy przygotowane jedzenie zniknęło z większości stołów, a trunki zaszumiały już nieźle w głowach, Laghortowie wraz z Victorem i Marvenną wyszli, udając się na spoczynek. W ślad za nimi salę opuściła większość dziewczek służebnych. Kyla pozostawiona sama sięgnęła po dzban i nalała sobie wina. Lubiła jego cierpki smak. Upiła kilka łyków, kiedy zauważyła karcące spojrzenie Morhta. Postanowiła nie zawracać sobie nim głowy. Rozejrzała się wokół.

Najemnicy Sir Victora szybko znaleźli wspólny język z mieszkańcami zamku. Teraz bratali się, poklepując po plecach, rzucając monety grajkom i opowiadając ze swadą swe przygody. Selena siedząca między Sarthusem i Artchem cicho rozmawiała o czymś z tym ostatnim. Kiedy skrzyżowały spojrzenia, obie uśmiechnęły się do siebie.

Kiwający się na ławie Trevor, któremu nadmiar trunków ewidentnie zaszkodził, podparł głowę ręką, by za chwilę paść twarzą w półmisek z rybami.

Venim trącał się kuflem z ciemnowłosym mężczyzną, jednym z najemników Sir Victora, opowiadając mu coś z ożywieniem i zerkając w stronę Kyli. Dostrzegłszy jej spojrzenie, szepnął coś do ucha towarzyszowi, po czym obaj podnieśli się chwiejnie od stołu.

Dziewczyna jeszcze raz potoczyła oczami po biesiadnikach, radosnych i zadowolonych, z upodobaniem raczących się wykwintną strawą i trunkami. Sięgnęła po placek i ugryzła

kawałek, jednak z nadmiaru wrażeń wciąż nie miała apetytu. Od ciepła i napitku policzki jej się zaróżowiły, a oczy błyszcząły niczym w gorączce. Wypiła do końca wino, po czym dołała sobie więcej.

– Chodź ze mną – cichy szept dobiegł jej uszu.

Zanim podniosła głowę, mówiący zniknął. Zerknęła na boki, próbując go odnaleźć. Siedząca niedaleko łaziebna Ariena podnosiła się chwiejnie. Przy wyjściu dostrzegła Venima, stojącego wraz z kompanem, z którym wcześniej pił. Patrzył wyczekująco na Arienę. Czego mógł od niej chcieć?

Kyla odgarnęła włosy z czoła, odstawiła kielich i podniosła się z ławy. Wino momentalnie uderzyło jej do głowy, podłoga zaczęła lekko falować. Nie była przyzwyczajona do picia czegoś mocniejszego niż napary czy soki.

Ariena wychodziła już z komnaty, ponaglana przez Venima. Odprowadziła ją wzrokiem, decydując się jednak opuścić salę. Nieco chwiejnie ruszyła w stronę wyjścia. Kiedy tylko przekroczyła próg i zamknęła za sobą drzwi, ze zdumieniem zobaczyła, jak najemnik obejmuje rozchichotaną łaziebnią. Gdy widywała Venima w karczmie Zarena, gdzie gościł przejazdem, podobał jej się, taki przystojny i tajemniczy, a serce zawsze żywiej biło na jego widok. Kiedy jednak zamieszkał na zamku i dołączył do drużyny, musiała sama przed sobą przyznać, że daleko mu było do wymarzonego ideału, który przez jakiś czas pielęgnowała w myślach. Rozczarował ją.

– Chciałem cię poznać, pani. – Pijany towarzysz Venima stanął zbyt blisko i patrzył na nią z zachwytem. – Zwiąż mnie Daray. – Ukłonił się lekko.

– Kyla – odparła odruchowo, przenosząc na niego zaskoczony wzrok.

– Jeśli pozwolisz, pani... przejdziemy się – zaproponował Daray, nie odrywając oczu od dekoltu stojącej przed nim dziewczyny. Zmierzyła go podejrzliwym spojrzeniem.

Poczuła się dziwnie nieswojo. Może to wypite wino, a może co innego? Świeże powietrze powinno jej dobrze zrobić. Skinęła głową i skierowała się powoli w stronę schodów prowadzących na dziedziniec. Venim i Ariena gdzieś znikli; zapewne w jednym z korytarzy.

Wyjście całej czwórki zauważył Morht; kończył właśnie porcję pieczeni. Nie spodobało mu się, że Venim, któremu ostatnio pilnie się przyglądał i pilnował jego poczynań, wyszedł z dziewczętami. Tak samo jak nie spodobało mu się, że obie młódki szły dość niepewnie. Większość mieszkańek zamku opuściła biesiadę wraz z Lyanną; co więcej, nie kiwały się na boki, wychodząc. Trzeba będzie sprawdzić, czy cała czwórka dotarła bez problemów do swoich komnat. Dopił wino, po czym podniósł się leniwie zza stołu i klepnął lekko w ramię Artcha. Artch i Will, jako jedyni z jego ludzi, nie licząc wartowników, nie włąli w siebie sporej ilości trunków. Popatrzył z niesmakiem na drzemiącego w talerzu Quena, który nie wypuścił z garści kawałka udźca. Pozostali najemnicy albo już spali na stołach, albo właśnie zasypiali. Pokręcił z politowaniem głową. O ile rozumiał młokosów, dla których takie wystawne ucztowanie stanowiło nowość, o tyle dziwił się starszym kompanom, którzy już z niejednego pieca chleb jedli. A może był zbyt surowy, może zbyt wiele wymagał od siebie i innych?

Will gapił się smętnie w ścianę, pogrążony w rozmyślaniach – sądząc po minie, niewesołych. Morht popatrzył na niego w zadumie i przypomniał sobie radę Lyanny, że powinien nieco łagodniej traktować swoich ludzi. Zerknął jeszcze na Artcha, który z

uśmiechem na twarzy słuchał tego, co mówiła Selena. Westchnął ciężko. Kto by się spodziewał, że ten zwykle milczący, stroniący od innych mężczyzna dojdzie do porozumienia z kucharką? Wpatrywał się teraz w nią, jakby świat wokół nie istniał, a ona była słońcem na jego niebie, grzejącym w najbardziej mroźny z zimowych dni.

– Nic z tego nie rozumiem – mruknął pod nosem. Przez chwilę w myślach zamajaczył mu obraz długich jasnych włosów. Potrząsnął głową, odganiając natrętą wizję, po czym pochylił się nad posmutniałym towarzyszem. – Trzeba było ją przywieźć – powiedział do niego.

Will wzruszył ramionami.

– Zaren się nie zgodził. Bez zgody ojca przecież jej nie przywiozę.

– To czekaj dalej, aż się zgodzi – powiedział z ironią Morht. – A potem patrz spokojnie, jak Zaren wydaje ją za kogoś innego – dorzucił drwiąco.

– Chcesz powiedzieć, że... Ale to byłoby porwanie... – Will zerknął niepewnie na dowódcę.

– Podejrzewam, że za obopólną zgodą. – Morht uśmiechnął się łobuzersko. – Poza tym jeśli chcesz, aby Zaren spojrział na ciebie przychylniej, wiesz, co możesz zrobić... – zawiesił znacząco głos. – Jutro odbędzie się turniej, znasz obyczaj... – Poklepał go po ramieniu.

Zaskoczony Will podrapał się po głowie. W jego oczach błysnęły iskierki nadziei, po czym nagle zerwał się od stołu i szybkim krokiem ruszył w stronę wyjścia.

– Po nocy będziesz jechał? – zawołał za nim dowódca.

Will w odpowiedzi machnął tylko ręką i wybiegł, zatraskując za sobą drzwi.

Artch z Seleną podeszli do Morhta.

– I po uczcie... – Kobieta powiodła krytycznym wzrokiem po chrapiących na stołach mężczyznach. – Spij się kiedyś jak świnia, to zobaczysz. – Pogroziła palcem wybrankowi.

– Nigdy – obiecał z czarującym uśmiechem.

Nadchodząca noc otuliła płaszczem ciemności cichy i pusty o tej porze dziedziniec zamkowy. Jedyne nikły blask księżyca wyłaniającego się zza chmur oświetlał nieco kamienny plac otoczony arkadami. Większość mieszkańców zamku już spała, tylko kilku zwiadowców czuwało na warcie. Mimo że w okolicy od dłuższego czasu panował spokój, Morht, pamiętając czasy, kiedy szpiedzy króla Robena potrafili przekraść się niespodziewanie na tereny leżące nieopodal zamku lub do którejś z pobliskich wiosek, uważał, że ostrożność nie zaszkodzi. Poza tym sam nader dobrze znał szkolenia, jakie przechodzili Vartheńcy...

Na wieży bramnej, z której rozciągał się widok zarówno na tereny przed zamkiem, jak i na dziedziniec, siedział wraz z kompanem jeden z młodszych najemników – Zethar. Na wieżach wschodniej i zachodniej wartę trzymało po dwóch nowych zwiadowców, którym Morht surowo zabronił schodzić z posterunku. Osobiście ich zmieniał, by mogli choć na krótko udać się na ucztę i też zakosztować smakołyków.

W krużgankach dogasały już płonące na ścianach łuczywa, kiedy Kyla i Daray weszli w jeden z nich. Długi, biegnący wokół dziedzińca korytarz sprawiał wrażenie tajemniczego, mrocznego przejścia prowadzącego w nieznane. Minęli pomieszczenia gospodarcze, kierując się w stronę wieży bramnej. Świeże powietrze oszołomiło Kylę; zawirowało jej w głowie i zachwiała się Daray czujnie podtrzymał dziewczynę, obejmując ją w pasie. Wysunęła się

szybko z jego objęć i popatrzyła na niego karcąco, zaskoczona nazbyt poufałym zachowaniem.

Mężczyzna oparł się o filar jednej z arkad, założył ręce na piersiach i popatrzył hardo na dziewczynę.

– Jutro będę walczył mieczem. Jestem w tym dobry. Na pewno pokonam waszego najemnika – oznajmił chełpliwie. – Z łuku też strzelam nie najgorzej.

Zdziwiona Kyla uniosła brwi. Po co jej to mówił? Czy to takie dziwne, że najemnik potrafi posługiwać się bronią? Kątem oka zauważyła biegnącego przez dziedziniec Willa. Zniknął w wieży, by kilka chwil później skierować się ku stajni. Niedługo potem rozległ się głośny stukot końskich kopyt, gdy mężczyzna wyjeżdżał w pośpiechu przez otwartą przez Zethara bramę.

Wzruszyła ramionami. Nie jej sprawa.

– Może pokonasz, a może nie pokonasz – odparła cicho, przenosząc wzrok na Daraya. Poczowała się zmęczona i senna.

– Pokonam, jeśli będziesz patrzyła, jak walczę. – Wyciągnął rękę w jej stronę, próbując przyciągnąć dziewczynę do siebie.

Odsunęła się szybko, mierząc go surowym spojrzeniem. Co też mu przyszło do głowy?

– Wybacz, Darayu, chcę odpocząć – odparła, odwracając się do niego plecami i zamierzając odejść. Mężczyzna błyskawicznie skoczył ku niej, popychając na mur. – Oszalałeś? – krzyknęła zaskoczona.

– Daj mi swoją wstążkę, rękawiczkę, cokolwiek! – zażądał, chuchając jej prosto w twarz przesyconym trunkami oddechem.

Zemdlilo ją i odsunęła się ze wstrętem.

– Nie – odparła twardo, cofając się w stronę dziedzińca.

Przemknęło jej przez myśl, że pijany mężczyzna może pójść za nią. Miała jednak nadzieję, że zrezygnuje i wróci do sali jadalnej. Szybkim, choć chwiejnym krokiem skierowała się w stronę prawego skrzydła zamku. Nie zdążyła dotrzeć do środka dziedzińca, kiedy pijany Daray dogonił ją i zerwał wstążkę z włosów.

– I tak ją mam! – Zaśmiał się, przytykając materiał do warg. – Będę walczył dla ciebie, moja pani – oznajmił, przyciągając Kylę do siebie i próbując wycisnąć na jej ustach pocałunek.

Uderzyła go pięściami w ramiona.

– Puszczaj mnie w tej chwili! – zażądała, odpychając go z obrzydzeniem.

– Nie tak szybko, moja droga. – Zaśmiał się lubieżnie i ścisnął ją mocniej. – Zapłaciłem już Venimowi za ciebie.

Zdumiona jego słowami, zastygła na moment, nie zauważając schodzącego z wieży Zethara. Młodzian szedł wolno w ich stronę. Dostał wyraźny zakaz opuszczania wieży, jednak na dziedzińcu działo się coś, co dziać się nie powinno. Postanowił to sprawdzić.

– Co ty powiedziałaś? – Oburzona Kyla wyrwała się z objęć mężczyzny.

– Nie udawaj świętej. – Daray nie zamierzał zrezygnować. – Oboje wiemy, czym się tutaj trudnisz.

Kyla ogarnęła wściekłość. Serce uderzyło szybciej, krew zatętniła w żyłach.

– Jak śmiesz! – wrzasnęła, odpychając go z całej siły.

Venim? Cała sympatia, jaka w niej jeszcze pozostała dla zwiadowcy, uleciała jak powietrze z przekłutego balonika. Przypomniała sobie kilka nieprzyjemnych żartów i

docinków, które od niego usłyszała, czy plotki, które rozsiewał między mieszkańcami zamku. Policzy się z nim, nawet jeśli miałyby to oznaczać gniew jego dowódcy. Nie daruje mu tego! Pozostałym najemnikom też zdarzało się dowcipkować w niewybredny sposób. Czasami słyszała, jak rozmawiają między sobą, kiedy sądzą, że są sami, jednak żaden z nich nie ośmieliłby się tak zachować otwarcie przy którejkolwiek z kobiet. A już na pewno nie pozwoliliby sobie na potraktowanie mieszkanki zamku w sposób uwłaczający jej godności. Nawet szorstki i surowy Morht, który podobno pobił i okradł dziewczkę w mieście...

Przygniótł ją natłok myśli. Poczwała się zniechęcona i rozżalona tym wszystkim. Dlaczego jeszcze nie wyjechała z zamku? Czemu tutaj tkwiła? Dlaczego wszyscy mężczyźni nie mogli być tacy jak Sir Eryk? Może trzeba było pozostać w wiosce? I wyjść za Zarena...? Wzdrygnęła się z wstrętem. Co to, to nie!

Rozejrzała się wokół, a zauważywszy zbliżającego się Zethara, doskoczyła do niego, bez słowa wyszarpując mu przypasany miecz. Zaskoczony chłopiec nie zdążył zaprotestować. Otworzył tylko usta w okrzyku zdumienia i znieruchomiał. Rozgniewana Kyla rzuciła się w stronę Daraya. Przytknęła ostrze do jego piersi – chociaż najchętniej przeszłyby go na wylot.

– Oddaj mi wstążkę – zażądała, nie spuszczając z niego gniewnego wzroku.

Uniósł w górę zaciśniętą pięść.

– Weź ją sobie. – Pomachał materiałem przed Kyla, cofając się i dobywając swojej broni.

– Jeśli wygrasz, oddam ci ją. – Zaśmiał się, obrzucając dziewczynę pobłażliwym spojrzeniem.
– Jeśli przegrasz, będę walczył tylko dla ciebie. – Ostatnie słowa zabrzmiały dla Kyli złowrogo.

Odwarknęła coś niezrozumiale, po czym bez wahania zaatakowała mężczyznę.

Już po kilku pierwszych uderzeniach wiedziała, że przegra. Nie dość, że posługiwał się zręczniej bronią, to wypite wcześniej wino właśnie teraz postanowiło na powrót zawirować w jej głowie. Do tego długa suknia plątała się między nogami, utrudniając ruchy. Mężczyzna spychał ją kolejnymi cięciami w kąt dziedzińca. Parady na niewiele się zdawały. Nieporadne ataki, którymi próbowała go dosięgnąć, odbijał od razu. Musiała przyznać sama przed sobą, że mimo tylu tygodni nauki pod okiem Lyanny i Willa, wciąż nie umiała walczyć, a Daray bezczelnie bawił się z nią, z łatwością parując jej pchnięcia.

Wystraszony Zethar, kiedy odzyskał zdolność działania i myślenia, puścił się biegiem w stronę sali jadalnej. Dowódca będzie wiedział, co zrobić.

Morht popatrzył ponuro na Selenę i Artcha, po czym nakazał im iść za sobą.

– Venim i ten jego pijany kompan wyszli z Arianą i Kyla – poinformował ich, gdy tylko znaleźli się na korytarzu. – Seleno, wiem, że nie mam prawa ci rozkazywać, ale czy mogłabyś sprawdzić komnatę Arieny?

Lady Lyanna wydała surowy zakaz dotyczący obecności najemników w komnatach służek. Nie chciał go łamać, jeśli nie było takiej konieczności.

– Pewnie – odparła ochoczo kucharka.

Wreszcie coś się działo. Miała już dosyć tej nudnej uczy, gdzie tylko jedli, siedzieli, pili i spali na stołach. Poza tym Ariana od dłuższego czasu drażniła ją swoim nazbyt figlarnym zachowaniem. A nader skąpe suknie, które zwykła nosić, stanowiły ciągły temat kłótni

pomiędzy nimi. Pociągnęła Artcha za rękę i ruszyła w stronę komnat służby zamkowej. Długa suknia szumiała w rytm jej zamaszystych kroków.

– Zaczekajcie tutaj.

Zatrzymała się przed drzwiami, zza których dochodziły głośne piski i śmiechy. Popatrzyła na mężczyzn. Morht mrugnął porozumiewawczo do Artcha, który w odpowiedzi wzruszył ramionami.

– Można to było przewidzieć... – mruknął.

– Odsuń się, Seleno – poprosił łagodnie dowódca.

Czym prędzej stanęła u boku Artcha i popatrzyła z niepokojem na Morhta, który nie zadając sobie trudu uprzedniego zapukania, wszedł do komnaty razem z drzwiami, wrywając je silnym kopnięciem z zawiasów.

Dało się słyszeć przeraźliwy pisk Arieny i krzyki Venima.

Chwilę później Morht, trzymając najemnika jak psa za kark, wywłókł go na wpół rozebranego z komnaty i cisnął brutalnie na posadzkę.

– Zaprowadź go do lochu – nakazał Artchowi. – Potem zastanowię się, co z nim dalej zrobię. I naprawcie z rana drzwi.

– Jak mogłeś! – Zaczerwieniona Ariena, z rozsznurowaną górą sukni, rzuciła się z pięściami na Vartheńczyka.

Popatrzył na nią pogardliwie, łapiąc za nadgarstki i przytrzymując w pewnej odległości od siebie.

– Przestań – odezwał się cicho. – Lyanna zadecyduje, kiedy odwieźć cię z powrotem do miasta. – Zerknął obojętnie na jej wychylające się zza gorsetu krągłości. – I ubierz się.

– Nie wrócę do Terlinu – rzuciła butnie. – Dlaczego to zrobiłeś? Zazdrościsz mi? – zaczęła krzyczeć. – A może pobijesz mnie tak jak Viernę? Tylko dlatego, że nie chciała się zgodzić na twoje chore żądania? – Szarpała się, nie zważając na rozchyłającą się coraz bardziej suknię.

Popatrzył dezorientowany na Selenę, która stała oniemiała. Vierna? Że niby ją pobił? Chore żądania? O co tutaj chodzi? Jasnowłosej ladacznicy nie widział przecież od czasu spotkania z karczmie. I jakoś za nią nie tęsknił. Nie do końca co prawda pamiętał, kiedy się rozstali i w jaki sposób; Quen obudził go, gdy dziewczka już wyszła. Może był pijany i zmęczony, ale nawet w takim stanie nie uderzyłby kobiety. Dlatego był pewien, że nie pobił Vierny.

Zmrużył niebezpiecznie oczy, wbijając surowe spojrzenie w Arienę.

– Zamtuż w Terlinie zapewne chętnie przyjmie cię z powrotem. Sam cię tutaj przywiozłem, chciałaś spróbować od nowa, żyć normalnie... – Pokręcił głową z rozczarowaniem. – Pamiętasz? – Popatrzył na nią poważnie. – Obiecałaś mi wtedy, że jeśli ci pomogę, to skończysz z tym, co robiłaś. – Odruchowo zerknął na dekolt łaziennej. Ariena przestała się szarpać i spuściła głowę, wbijając wzrok w ziemię. – Odejdź. – Puścił ją, odwracając się do dziewczyny plecami, i skinął dłonią na Selenę. Kucharka nie ruszyła się z miejsca, nie mogąc uwierzyć w to, co przed chwilą usłyszała.

– Ale Venim... – zaczęła Ariena.

– Przedstawiłem ci zasady, które tu obowiązują – przerwał jej, nawet nie patrząc na dziewczynę. – Złamałaś je. – Zerknął przelotnie na wciąż stojącą nieruchomo Selenę. –

Chodźże wreszcie – pogonił ją, zniecierpliwiony, kierując się w stronę schodów.

Drgnęła, słysząc jego ostrzejszy ton, i jeszcze raz powiodła zdumionym wzrokiem po na wpół rozebranej łaziebnej. W końcu ruszyła za Morhtem. Ariena z płaczem uciekła do swojej komnaty.

– Brakuje jeszcze jednej zguby – odezwał się. – Sprawdzisz jej komnatę? – poprosił Selenę. Miał nadzieję, że nie zastanie Kyli w podobnej sytuacji.

– Morht... – zaczęła niepewnie – wiem, że to nie moja sprawa, ale czy ty... – urwała, nie wiedząc, jak zapytać. Znała dowódcę najemników dłuży czas. Takie zachowanie do niego nie pasowało. Nerwowym ruchem odgarnęła opadający na policzek kosmyk włosów. – Torra też coś wspominała, że pobiłeś jakąś dziewczkę z Terlinu – wydusiła wreszcie z siebie.

– Nie wiem, kto rozsiewa te plotki – odparł cicho. – Wyjaśnię to – obiecał.

Skinęła głową, unosząc nieco dół sukni i zbiegając lekko po schodach. Na samym dole wpadł na nią, zbijając z nóg, roztrzęsiony Zethar.

– Panienska Kyla! – wykrztusił.

Morht błyskawicznie znalazł się przy nim i złapał wystraszonego młokosa za ramię.

– Co panienska Kyla?

Chłopiec nie musiał jednak odpowiadać, bo z dziedzińca aż tutaj dobiegał podniesiony głos dziewczyny i szczęk mieczy. Dowódca zaklął pod nosem, ruszając w stronę, skąd dobiegały odgłosy walki. Seleną podnosiła się powoli z kamiennych schodów, rozcierając stłuczone biodro.

– Najmocniej przepraszam – wyjąkał zmieszany Zethar. – Nie chciałem...

Machnęła lekceważąco ręką. Dostrzegłszy wychodzącego od strony lochów Artcha, który zmierzał szybkim krokiem ku wieży, bez wahania ruszyła w jego stronę.

Kyla poczuła, że jest w potrzasku. Przestrzeń, w której mogła swobodnie się bronić, malała niebezpiecznie, gdy Daray zaganiał ją celnymi pchnięciami w róg dziedzińca, pomiędzy mur a krużganek.

– Oddaj mi ją! – wrzasnęła rozzłoszczona, zwinnie unikając kolejnego ataku.

Nie miała najmniejszego zamiaru zostać damą jego serca. Wedle jednego ze zwyczajów rycerskich, o których opowiadała jej Lyanna, ofiarowanie wstążki świadczyło o przychyłności damy dla walczącego. Podobną szarfę należącą do jej matki znalazła w komnacie Darhera. Ale oni się kochali! Nikt nikogo do niczego nie zmuszał! Kerna na pewno nie dałaby wstążki komuś, kto nie przypadł jej do serca. Kyla nie była pewna, czy dobrze zrozumiała tłumaczenia ciotki, jednak w głowie kołatało jej jedno: ów zwyczaj oznaczał, że rycerz i panna należeli do siebie. Skojarzyła to ze wstrętnym, tłustym Zarenem, do poślubienia którego chciało zmusić ją wujostwo; dlatego tak zażarcie walczyła o odzyskanie swojej własności.

Daray zaśmiał się szyderczo, wyprowadzając cięcie od dołu, wskutek którego miecz wypadł z dłoni dziewczyny i uderzył z głośnym brzękiem o kamienny plac.

– Tak więc przyznajesz, pani, że podarowałaś mi tę wstążkę, bym mógł jutro wygrać dla ciebie? – Daray drwił z niej bezczelnie.

– Nigdy! – wykrzyknęła, próbując schylić się po broń.

– A nagrodą za wygranie będzie... – Podszedł bliżej, mierząc sztychem miecza w pierś

dziewczyny.

Znieruchomiała, widząc lśniące ostrze tuż przy sobie.

– O ile dojdzie do jakiegokolwiek walki – oschły głos Morhta dobiegł zza pleców Daraya, a on sam nagle cofnął się kilka kroków, szarpnięty mocną ręką. Nie utrzymał równowagi, upadł.

Podnosił się właśnie, kompletnie zaskoczony, kiedy Morht kopnął go w brzuch. Daray jęknął z bólu i skulił się, próbując złapać oddech. Vartheńczyk pochylił się nad nim i przydeptując ciężkim, podkutym butem palce natręta, wyciągnął z nich broń. Kości chrupnęły głośno, kiedy Morht docisnął mocniej dłoń Daraya. Widząc taką jawną demonstrację siły i władzy, Kyla zaniemówiła ze strachu. Przez głowę przemknęło jej, że wszystkie opowieści Venima o brutalności Morhta są prawdą.

– Chyba powinien to obejrzeć medyk – zawyrokował ze złudnym spokojem. – Połamane palce mogą być poważną przeszkodą w walce. – Kyla patrzyła oniemiała na Morhta, który z kolei nawet nie zerknął na stojącą obok dziewczynę. – Odprowadź je do komnat – polecił sucho Artchowi, przyglądając się leżącemu mężczyźnie, który odzyskał głos.

– Ty pieprz... – zaczął nienawistnie Daray, jednak mocniejsze dociśnięcie pogruchotanej ręki sprawiło, że urwał w połowie. Miast obelgi z jego ust dobiegł tylko kolejny jęk bólu.

– Jedno słowo więcej, a możesz nie dożyć poranka – ostrzegł złowrogo Morht, wyciągając z pasa sztylet. – Wiele może zdarzyć się na obcym zamku, gdy mieszkańcy w większości śpią pijani. A ja mogę nie zauważyć, że ktoś nagle zniknął... – mówił, bawiąc się od niechcenia nożem. Lśniący metal ostrza rozblęsnął w blasku księżyca. – Mamy tu sporo groźnych zwierząt. – Uśmiechnął się drwiąco. – Można spotkać lochę z młodymi. Zbliża się pora zimowa... może jakiś zabłąkany, rozdrażniony niedźwiedź się trafi... – rozmyślał na głos. – Tak, w okolicy bywa niebezpiecznie dla samotnego wędrowca, w dodatku niezdolnego utrzymać broni w ręce...

Daray umilkł, przełykając cisnące się na usta przekleństwa. Miał niepokojącą pewność, że czarnowłose siłacz bez wahania spełniłby swoje pogróżki.

Morht obrzucił pogardliwym spojrzeniem leżącego. Odsunął się, pozwalając mu wstać.

– Wynoś się – warknął.

Odprowadził wzrokiem odchodzącego najemnika, po czym spojrzał łagodniej na stojącego opodal Zethara. Przejęty młokos wciąż jeszcze nie umiał dobrać się do siebie. Morht poklepał go po ramieniu.

– Kładź się – polecił. – Posiedzę za ciebie – dodał i ruszył wolno w stronę wieży bramnej.

Dopiero kiedy wszedł na górę, odesłał do komnaty drugiego z młodszych zwiadowców i usiadł wygodnie na krześle, wygładził na udzie zieloną wstążkę. Długą chwilę patrzył na nią w milczeniu, przesuwał delikatnie palcami po materiale, by w końcu przywiązać ją do rękojeści miecza.

– A nagroda i tak będzie moja – mruknął do siebie.

Słabo przygrzewające słońce zaglądało z ciekawością na wielki dziedziniec zamkowy. Kilka kolorowych liści sfrunęło na kamienny plac z rosnącej w rogu brzozy. W powietrzu czuć było charakterystyczny zapach jesieni. Wczorajsze nocne problemy zostały rozwiązane.

Zniszczone przez Morhta drzwi naprawiono z samego rana. Venim miał posiedzieć w lochu

jeszcze trzy dni, nie biorąc udziału w zabawach. Daray z opatrzoną dłonią siedział na jednej z ław pod arkadami wschodniego skrzydła zamku i oczekując na rozpoczęcie turnieju, uparcie wmawiał pytającym, że palce przygniotła mu beczka z piwem, którą pomagał przetaczać. Ariena, po długiej i nieprzyjemnej rozmowie z Lady Lyanną, otrzymała nakaz pozostania w swojej komnacie aż do wyjazdu gości.

Na szerokich drewnianych ławach zaczęli powoli zasiadać mieszkańcy zamku. Wkrótce dołączyła do nich większa grupa wieśniaków z Metllasu i Rodasu, zaproszonych jak zwykle przez Laghortów. Z niecierpliwością oczekiwano rozpoczęcia zawodów przez herolda. Podekscytowani ludzie rozmawiali między sobą, zakładając się o to, kto wygra.

Wieśniacy z Metllasu, znający zbrojnych Morhta, obstawiali, że to oni zwyciężą w turnieju. Przeciwnie uważali wieśniacy z Rodasu, którzy swoje przekonanie o wygranej drużyny gości opierali na słowach barda, który przy dźwiękach citoli po raz kolejny wychwalał męstwo Sir Victora i jego ludzi. Mało kto stawiał na przyjezdnych najemników, wolnych strzelców, żądnych przygód i złota, którzy przybywali do zamku z różnych stron, by od bladego świtu zgłaszać swój udział w turnieju.

Kyla, posadzona między Lyanną i Seleną, wierciła się, rozglądając niespokojnie dookoła. Jej spojrzenie co rusz uciekało w stronę wieży bramnej, gdzie zgromadzili się najemnicy stojący w szranki. Kilku z nich odzianych było w błyszczące, bogato zdobione zbroje, przykuwające uwagę zarówno starszych, jak i młodszych kobiet. Niebieskie oczy dziewczyny wypatrywały z obawą Daraya. Miast niego kilkakrotnie natknęła się na kpiący wzrok Morhta, który z krzywym uśmieszkiem na wargach patrzył z wyższością na zgromadzony tłum. Musiała przyznać, że czarnowłosey Vartheńczyk w swoim stalowym kirysie, który podziwiała wcześniej na stojaku, wygląda groźnie i władczo. Kiedy posłał jej kolejne ironiczne spojrzenie, odwróciła wzrok, z nagłym zainteresowaniem przyglądając się swoim trzewikom.

Tuż za nimi przysiadła nieśmiało Irina, którą Will przywiózł na zamek wczesnym rankiem. Dziewczyna nie czuła się zbyt dobrze w takiej dużej gromadzie ludzi. Znała zaledwie kilka osób. Najchętniej schowałaby się w mysią dziurę, żeby nie zwracać na siebie uwagi. Co byłoby trudne, bo śliczna córka karczmarza, przyodziana w bogato zdobioną suknię podarowaną jej przez Lyannę, przyciągała spojrzenia. Najpierw zaczepił ją jakiś obcy zbrojny. Spłonęła rumieńcem, spuszczać wstydliwie głowę. Dopiero Lyanna nakazała natrętowi odejść, co też spiesznie zrobił, widząc nadchodzącego z surową miną Eryka. Lady szepnęła coś mężowi, który zawrócił i podszedł do grupy swoich najemników, odciągając na bok Willa i Morhta. Później któraś z rozgadanych wieśniaczek z Metllasu spytała o coś Irinę – speszona dziewczyna nie odpowiedziała.

A kiedy Will, odziany w lśniący pancerz turniejowy, na koniu okrytym płachtą z herbem Laghortów, podjechał do siedzących kobiet i zatrzymał się tuż przed nimi, popatrzyła na niego z pewnym lękiem. Pierwszy raz widziała go tak strojnego. Z wrażenia aż zapało jej dech w piersiach. Wydawał jej się teraz zupełnie kimś innym niż mężczyzna, którego znała. Zsiadł z wierzchowca i nagle sam poczuł się niepewnie, bo zerknął nieśmiało na Lady Lyannę, jakby oczami pytając o zgodę na to, co zamierzał zrobić. Jego niespodziewane pojawienie się wywołało szmer zachwyty pośród siedzących nieopodal gości. Kobiety szeptem podziwiała bogato zdobiony ubiór postawnego rycerza. Selena szturchnęła Kylę i obie przesunęły się na ławie, odsłaniając zarumienioną Irinę. Will przyklęknął przed nią i uniósł głowę.

– Za twoją zgodą, Lady Lyanno, chcę ślubować Irinie.

Lyanna skinęła przyzwalająco.

– Irino? – Spojrzała na onieśmieloną dziewczynę, która nie mogąc wykrztusić słowa, przytaknęła tylko głową. – Tak więc, co jej ślubujesz, Willu? – spytała uroczyście żona Sir Eryka.

– Ślubuję bronić jej czci i godności, sławić jej urodę i cnotę, służyć jej wiernie, chronić ją i dbać o nią, a jeśli ktoś jej uchybi w czymkolwiek, tego na pojedynek wyzwę i walczyć z nim będę do śmierci jego lub mojej. – Głos drżał mu ze wzruszenia.

Oczy dziewczyny lśniły, a na jej ustach pojawił się nieśmiały uśmiech.

– Daj mu szarfę – podpowiedziała cicho Lyanna.

Skonfundowana Irina popatrzyła na nią, potem na Kyle; wreszcie Selena przechyliła się, oderwała jedną z tasiemek przy sukni dziewczyny i wcisnęła jej w dłoń.

– Dajże mu to – ponagliła. – Bo w ogóle nie rozpoczną dzisiaj zawodów.

Zaczerwieniona po koniuszki włosów Irina szybko podała tasiemkę czekającemu Willowi. Mężczyzna odetchnął z ulgą, a jego twarz rozjaśnił szeroki uśmiech. Spokojnie przywiązał materiał do rękojeści miecza, po czym dosiadł konia i wrócił do kompanów.

– Odzyskałaś swoją wstążkę? – Selena pochyliła się w stronę Kyli, jednocześnie przeczesując spojrzeniem widownię.

Dziewczyna pokręciła przecząco głową.

– Nie wiem, gdzie zniknęła – odszepnęła, podążając oczami za wzrokiem Seleny.

Dostrzegła siedzącego na jednej z ław Daraya. Skoro jest wśród widzów, nie przyniesie jej wstydu na turnieju. Odetchnęła z ulgą. – Nie walczy, siedzi z tyłu – poinformowała szeptem kucharkę.

– A Morht nie oddał ci wstążki? – zdziwiła się. – Przecież wczoraj zabrał ją temu namolnemu durniowi. – Kyla pokręciła przecząco głową. – Może zapomniał – mruknęła Selena. – Tyle się wczoraj działo.

– Może...

Kyla nie wiedziała dlaczego, ale słowa Seleny wcale nie podziały na nią uspokajająco.

Słońce wzniosło się już dość wysoko, kiedy wreszcie na dziedzińcu pojawił się młody herold ubrany w strojne szaty zdobione herbem Sir Victora. Wspiął się po schodkach na niewielki podest, przygotowany uprzednio z prawej strony placu, po czym wyjął z pasa zwinięty w rulon dokument. Rozprostował go przed sobą i obwieścił gromkim głosem:

– Mieszkańcy Iltarii! – Spojrzenia obecnych skierowały się na niego. – Z woli najszlachetniejszych Sir Victora i Sir Eryka rozpoczynamy dziś Piąty Turniej Zbrojnych! Obie drużyny wypróbują swoje umiejętności w walce wszelakim orężem! Turniej drużynowy wykaże, ilu z nich wpadnie w niewolę swoich przeciwników! – Zrobił pauzę i powiódł wzrokiem po zgromadzonych nieopodal wieży bramnej najemników obu rycerzy. Po chwili kontynuował: – Odważni i zaci, waleczni i dzielni wojownicy zmierzają się konno na kopie, a kiedy je skruszą, podejmą walkę na miecze! Który z nich potrafi pokonać przeciwnika ze znacznej odległości? O tym przekonamy się niebawem, gdy dowiodą celności swego oka, strzelając z łuku do tarczy. Będziemy również podziwiać ich szybkość i zwinność w starciu... z nim! – Wskazał ręką na stojącego pośrodku placu ruchomego manekina, osadzonego na palu. –

Iluz z nich pokona ów niepozorny, drewniany człek, zwany Saracenem? – Potoczył oczami po zebranych. – Na koniec najlepsi zmierzą się ze sobą, walcząc w pojedynku na miecze! A teraz... – zrobił efektowną pauzę. – Piąty Turniej Zbrojnych uważam za otwarty! – zakrzyknął głośno, po czym zwinąwszy papier, szedł wolnym krokiem z podestu.

Odpowiedział mu radosny okrzyk publiczności.

Eryk i Victor dołączyli do herolda i cała trójka skierowała się w stronę otwartej bramy. Mieli dopilnować porządku turnieju drużynowego. Obie grupy zbrojnych dosiadły swoich koni i żegnane okrzykami, podążyły wolno na wyznaczone tuż za murami miejsce. Zaproszeni goście podnosili się gorączkowo, nakłaniając innych do pośpiechu, i podążali za najemnikami, nie chcąc przegapić ani chwili z ekscytującego widowiska.

Zmagania zakończyły się późnym popołudniem, kiedy słońce chyliło się już ku zachodowi. Zmęczeni, ale szczęśliwi zbrojni Sir Eryka wracali z pieśnią na ustach. Pokonani najemnicy Sir Victora, wzięci w tymczasową niewolę, patrzyli spode łba na wiwatujących mieszkańców; sam Morht z dumą niósł zdobyty oręż swojego przeciwnika, od czasu do czasu szukając oczami kogoś w tłumie widzów. Wszyscy udali się zgodnie do sali jadalnej, gdzie na zakończenie dnia czekała na nich uczta, która nawet dowódcy zbrojnych Sir Victora poprawiła humor po przegranej.

Will nie spuszczał rozradowanych oczu z Iriny siedzącej obok niego, podtykając jej co smakowitsze kąski. Artch wraz z kilkoma młodszymi najemnikami pomagali Selenie i Catrinie, by wreszcie – kiedy wszystko znalazło się już na stołach – opaść ciężko na ławy i dołączyć do reszty biesiadujących.

– Dzisiaj chcę widzieć, jak wychodzisz stąd sama i idziesz prosto do siebie – niski, surowy głos rozbrzmiał tuż koła ucha Kyli, która upijała właśnie wino z pucharu. Prawie podskoczyła na krześle, krztusząc się trunkiem. W gwarze rozmów nikt nie zwrócił na nich uwagi; nawet siedząca obok Lyanna. – Nie udław się – rzucił Morht ironicznie, wracając spokojnie na swoje miejsce. Zlustrował jeszcze baczny wzrokiem gości, po czym zajął się swoją kolacją.

Kyli zupełnie odeszła ochota na posiłek. Posłała Vartheńczykowi wrogie spojrzenie, po czym tłumacząc się Lyannie zmęczeniem, wstała i widząc, że dowódca patrzy na nią, ostentacyjnie wyszła z jadalni.

Trzeci dzień powitał uczestników pochmurną pogodą i chłodnym, wdzierającym się pod odzienie wiatrem. Słońce schowało się za chmury, z rzadka zza nich wyglądając.

Na dziedzińcu od południa trwały kolejne zmagania wojowników. Lady Lyanna z wypiekami na twarzy obserwowała walczących. Zaciśnięte w pięści dłonie opierała na kolanach, gdy przyglądała się z uwagą kolejnym konkurencjom. Jej mąż zajął drugie miejsce w strzelaniu z łuku. Pokonał go własny najemnik. Pogroziła Morhtowi palcem, na co ten uśmiechnął się szeroko. Sama chętnie wzięłaby udział w turnieju i pokazała, na co ją stać.

– Jeśli spadnie, nie dostanie dzisiaj kolacji – zapowiedziała żartobliwie Selenia, widząc, jak Artch przymierza się do zaatakowania manekina stojącego pośrodku dziedzińca.

Kiedy zbliżył się do przeszkody, ścisnęła w palcach rąbek sukni, patrząc z niepokojem na jego poczynania. Ku jej uldze gładko wykonał zadanie. O wiele gorzej poszło jadącemu po

nim dowódca Sir Victora. Uderzył w niego nagły podmuch wiatru i mężczyzna zachwiał się, nie dość szybko odjeżdżając po trafieniu bronią w kukłę. Gromki wybuch śmiechu publiczności skwitował jego upadek.

Lyanna, wtajemniczona przez Eryka, lekko szturchnęła Kyle, by skierować jej uwagę na zbliżającego do manekina Morhta. Pokonał z łatwością przeszkodę i poderwał konia na tylne kopyta, obwieszczając pozostałym swoje zwycięstwo. Na rękojeści uniesionego w górę miecza powiewało coś zielonego. Kyli na ten widok zamarło serce. Rozpoznała swoją wstążkę i zeszywniała ze strachu. Po tym, co usłyszała od Venima, czarnowłosey Vartheńczyk jawił jej się jako okrutny, pozbawiony uczuć potwór. Zresztą czyż sam nie pokazał się jej z jak najgorszej strony? Na samym początku, kiedy przywiózł ją na zamek, i potem, gdy zdarzało mu się wrzasnąć na nią, traktując jak zło konieczne. Podziwiała w duchu Selenę i inne mieszkanki zamku, które potrafiły rozmawiać z nim swobodnie, czasami nawet żartować. Ona zawsze starała się go unikać. Pozostałej części zawodów nie umiała już obejrzeć spokojnie. Wyszła w połowie, usprawiedliwiając się zdumionej Lyannie bólem głowy. Widząc wychodzącą dziewczynę, Morht posłał jej drwiące spojrzenie.

– Tchórz – wyszeptał bezgłośnie.

Dopiero przed oficjalnym ogłoszeniem zwycięzców przyszła po nią Lyanna. Uśmiechała się tajemniczo, kiedy zmusiła podopieczną do powrotu na widownię. Usiadła spokojnie, zerkając od czasu do czasu na bladą Kyle, która wyglądała, jakby miała zaraz zemdleć.

Kiedy herold ogłosił Morhta zwycięzcą turnieju, wśród jego kompanów zapanowało poruszenie i wrzawa. Głośne okrzyki radości mieszały się z gwizdami podziwu dla dowódcy. Poklepywali się wzajemnie po plecach, ciesząc się jak dzieci.

Dowódca najemników Sir Victora był w o wiele gorszym humorze. Nie dość, że jeden z jego ludzi nie mógł władać mieczem z powodu zranionej dłoni, to on sam spadł z konia, szarżując na manekina, a w konkursie strzelania z łuku zajął zaledwie czwarte miejsce.

Dumny z wygranej Morht dosiadł konia i powoli podjechał w stronę Lyanny.

– Gratuluję – powiedziała głośno, wyraźnie zadowolona. – Wiedziałam, że ci się uda. – Vartheńczyk uśmiechnął się, zsiadając z konia i sięgając po miecz. – Poza tym nie przepadam za najemnikami Victora. Ty chyba też nie – dodała ciszej, puszczając oko do Morhta i lekkim ruchem głowy wskazując chmurnego dowódcę przeciwnej drużyny.

Czarnowłosey mężczyzna uśmiechnął się jeszcze szerzej.

Kyla przenosiła lękliwe spojrzenie z Lyanny na stojącego przed nimi Morhta. Wolałaby, żeby już odszedł; najlepiej jak najdalej od nich. Ale on najwyraźniej nie miał takiego zamiaru. Jego ludzie przyglądali mu się z ciekawością. Kiedy przyklęknął przed siedzącymi kobietami, Quen zakrztusił się pitym właśnie piwem, nie wierząc własnym oczom. Morht zaś wyciągnął przed siebie ręce, w których trzymał leżący miecz, z zawiązaną na ostrzu zieloną wstążką.

– Weź ją – nakazał surowo, patrząc nieustępliwie na dziewczynę.

Serce zabiło jej szybciej. W pierwszej chwili chciała zerwać się z miejsca i uciec, jednak nie pozwoliły na to sparaliżowane strachem nogi. W głowie tłukła się jej jedna myśl: tylko nie Morht! Tylko nie on! Spojrzała rozpaczliwie na Lyannę, która uśmiechnęła się do niej zachęcająco.

– Weź ją, do cholery! – warknął zniecierpliwiony Vartheńczyk. Po czym odchrząknął, dziwnie nagle spięty. – I nie skalecz się – dodał łagodniej.

Selena parsknęła krótkim śmiechem, czym prędzej zasłaniając usta dłonią. Morht zignorował ją. A gdy zaskoczona Kyla zaczęła odwiązywać materiał drżącymi palcami, czekał wyjątkowo spokojnie, aż upora się z supełem.

– Na drugi raz lepiej pilnuj swoich rzeczy – mruknął, pochylając się nieco w jej stronę. – Nie będę za nimi ganiał. – Podniósł się i na powrót przypasał miecz.

Powiódł zwycięskim wzrokiem po widowni, po czym dostrzegłszy twarz Daraya, zmarszczył gniewnie brwi. Podeszedł do niego, ściągnął rękawicę z dłoni i rzucił mu ją pod nogi.

– Jak tylko wyzdrowiejesz – oznajmił, patrząc pogardliwie na zdziwionego mężczyznę. Przez tłum przeszedł pomruk zaskoczenia.

– Czym Daray aż tak naraził się Morhtowi? – spytała szeptem Lyanna, w myślach już żałując młodego najemnika. Victor straci jednego ze swoich ludzi, o ile nikt nie załagodzi sytuacji.

– Zabrał wstążkę Kyli – odszepnęła Selena. – I chyba wyrażał się niepochlebnie o kilku osobach.

Lady popatrzyła z zainteresowaniem na zaczerwienioną i zawstydzoną dziewczynę.

– Nie ślubował mi tak jak Will Irinie – rzuciła prędko Kyla. – Zabrał tę wstążkę... Nie dałam mu jej, sam wziął. – Popatrzyła żałośnie na ciotkę. – Nie chcę go. – Wyłamywała palce nerwowo. – On... on jest... – urwała, nie wiedząc, jakimi słowami określić czarnowłosego Vartheńczyka. W jej oczach zakreśliły się łzy.

– Przecież nikt cię do niczego nie zmusza. – Lyanna poklepała ją po dłoni. – To tylko jeden z obyczajów rycerskich. Ślubować może nawet mnie. – Uśmiechnęła się lekko. – Will i Irina to co innego... – Przeniosła spojrzenie na córkę karczmarza. – Chyba że się mylę?

Irina prędko zaprzeczyła, rumieniąc się.

Kyla zerkała niepewnie na siedzące obok niej towarzyszki.

– Mówiłaś, że ten zwyczaj obowiązuje tylko rycerzy – wydusiła wreszcie z siebie.

Selena z Iriną zachichotały; Kyla popatrzyła na nie zakłopotana.

– Nie wiedziałaś? – rozbawiona Selena posłała jej pobłażliwe spojrzenie. – Will, Quen i Morht zostali pasowani na rycerzy podczas uroczystej ceremonii na zamku Sir Victora. Sam król Beron zjechał, aby tego dokonać.

– Morht? – wyjąkała zaskoczona Kyla.

Lyanna pokiwała głową, uśmiechając się.

– Co by nie mówić, Morht uratował mu kiedyś życie.

Kyla nie odezwała się już ani słowem, mnąc w palcach nieszczęsną wstążkę.

Korzystając z ostatnich ciepłych jesiennych dni, Lyanna wraz z Kylą wyruszyły do Terlinu. Towarzyszyli im Artch oraz Will, który chciał wybrać prezent dla Iriny, a Lyanna obiecała pomóc mu w zakupie.

Na trakcie handlowym mimo wczesnej pory panował już spory ruch. Targ odbywający się w mieście przyciągał kupców i okolicznych sprzedawców, toteż mijali wiele wozów wyładowanych po brzegi towarami.

Oczy Kyli błyszczały z podekscytowania. Nigdy jeszcze nie była w tak dużym mieście. Już

z daleka dostrzegła potężne mury obronne, zwieńczone kilkoma wieżami strażniczymi, które wywarły na niej duże wrażenie. Były o wiele większe od murów zamku Laghortów. Kiedy podjechali bliżej, wzrok dziewczyny zatrzymał się na otwartej, bogato zdobionej bramie, pilnowanej przez czterech wartowników. Obie kratownice były podniesione. Wjechali do grodu przez długą, wybrukowaną sień, z głośnym stukotem kopyt. Zaraz za bramą, po lewej stronie znajdowały się koszary strażników, po prawej – więzienie i mieszcząca się nad nim zbrojownia. Dalej wzdłuż głównej ulicy, prowadzącej wprost na rynek, stały kamienice bogatych mieszczan. Ci mniej zamożni mieszkali we wschodniej i zachodniej części miasta, nierzadko pod samymi murami, przy bocznych uliczkach.

Cała czwórka zmierzała w kierunku centrum. Kyla lustrowała uważnie murowane budynki, z okiennicami odsłaniającymi szybki. Kiedy wjechali na rynek, aż otworzyła usta ze zdumienia. Stojąca na środku niewielka fontanna w kształcie smoka z otwartą paszczą wyrzucała z siebie strumienie wody. Otaczał ją szeroki, kamienny murek, w części zajęty teraz przez handlarzy, którzy porozkładali tutaj swoje towary.

Wokół rynku stały kamienice. Na parterze w większości z nich znajdowały się sklepy, a na piętrze pomieszczenia mieszkalne. W jednym z rogów dostrzegła ratusz miejski. Okazałego budynku, z kamiennymi schodami prowadzącymi do wejścia, pilnowało dwóch nieco znudzonych strażników. Kolejny narożnik zajmowała piętrowa gospoda, nad drzwiami której drzwiami wisiał szyld „Pod Złamaną Łyżką.” Tuż obok niej znajdowała się stajnia na trzydzieści wierzchowców.

W zwykłe dni zapewne było tutaj mniej tłoczno, jednak dzisiaj, w targowy poranek, aż roiło się od różnego rodzaju kramów. Kyla ruszyła w tłum, zaskoczona zarówno ilością ludzi na jarmarku, jak i bogactwem wystawianych towarów.

Czego tu nie było!

Tuż przy wylocie pobliskiej uliczki rozłożyli się ze swoimi wypiekami piekarze. Stosy pachnących bochnów, bułek, przeróżnych ciastek o najwymyślniejszych kształtach skupiały wokół siebie sporo osób. Dzieci kręcące się po rynku często zatrzymywały się tutaj, próbując wyzebrać coś słodkiego.

Obok piekarzy stali rzeźnicy sprzedający mięso zarówno ze zwierząt gospodarskich, jak i dziczyznę. Świeże, suszone, wędzone, solone, by dłużej zachowało świeżość. Na stołach poukładano pęta różnorodnych kiełbas, od których biły smakowite zapachy. Tuż za nimi swoje towary wystawiali rybacy, też mogący liczyć na niezgorszy utarg.

Dalej oferowano grzyby i wszelakie owoce. Stragany ugięły się pod ciężarem jabłek, gruszek czy śliwek. Obok handlowano ziołami i przyprawami. Od roznoszących się aromatów Kylę zaczynało kręcić w nosie.

– Zaczekaj. – Lyanna uśmiechnęła się wyrozumiale, wołając zauroczoną targowiskiem dziewczynę.

Kyla odwróciła się, by poczekać na Lady, która płaciła właśnie zielarzowi. Will z Artchem prowadzili za nimi konie, dokładając do zawieszonych przy siodłach sakw zakupione towary. Na szczęście nie było ich wiele.

Po chwili obie ruszyły dalej. Przyjrzały się plecionym koszom i skórzanym bukłakom, zerknęły do kramu z glinianymi i cynowymi naczyniami, by wreszcie zatrzymać się przed gospodą.

– Odpocznijcie, jeśli chcecie – zaproponowała najemnikom Lyanna. – My pooglądamy sobie materiały i ozdoby. A potem ci pomogę, Willu.

Mężczyznom nie trzeba było dwa razy powtarzać. Obaj nie przepadali za gwarnymi jarmarkami, gdzie nie wiadomo, czego pilnować. Czy osób, z którymi przyjechali, czy sakiewek przed drobnymi rzeźmieszkami, którym na targu trafiało się szereg okazji do kradzieży. Przechadzający się wśród tłumu strażnicy też nie mieli najweselszych min.

Kiedy obaj zwiadowcy zniknęli za drzwiami gospody, Lyanna pociągnęła Kylę w stronę stoiska z materiałami. Barwne tkaniny – lniane, bawełniane, jedwabne, wełniane – przyciągały oczy kobiet, więc przy kramach tłoczyło się sporo mieszczek. Na jednym ze stoisk sprzedawano gotowe już koszule i suknie, cienutkie chusty na głowę i lekkie peleryny. Nieopodal dostrzegły stragan z futrami i skórami. Garbarz miał pełne ręce roboty, obsługując kupujących, którzy chcieli zaopatrzyć się przed zimą.

– A to jak ci się podoba? – Lyanna zaprowadziła Kylę do stoiska z ozdobami.

I tutaj panował tłok, gdy niewiasty w różnym wieku przepychały się, chcąc przymierzyć lub choćby tylko nacieszyć oczy. Kyla wcisnęła się w tłum i niepewnie sięgnęła po jedną z brosz. Wydała jej się przepiękna. Oglądała ją z zachwytem, jednak kiedy kramarz podał cenę, popatrzyła na niego zdumiona. Oszalał?

– Zakupy? – dobiegł ją niski głos. – Same tu jesteście?

Odwróciła się zaskoczona, zauważając Morhta witającego się z Lyanną. Bezwiednie ścisnęła broszę w palcach i ukłuszył się, szybko odłożyła ją na stragan. Kątem oka uchwyciła jeszcze drzwiące, jak zwykle, spojrzenie Vartheńczyka.

– Will z Artchem zostali w gospodzie, nie miałam serca ciągnąć ich tutaj, dopóki same nie obejrzymy wszystkiego. – Lyanna roześmiała się. – A ty zawiozłeś pewnie listy Eryka do ratusza – domyśliła się.

Morht skinął tylko głową, rozglądając się po tłumie. Czy tylko mu się zdawało, czy wśród ludzi mignęła twarz Vierny? Nie widział jej od dawna, a chciał z nią wyjaśnić to i owo.

– Zjechali się, jakby to miał być ostatni targ w ich życiu – oznajmił dziwnie rozkojarzony. Przeczesał palcami włosy i potrząsnął głową w zamyśleniu.

– Musimy już iść. – Kyla popatrzyła na niego nieufnie i szybko pociągnęła zaskoczoną jej zachowaniem Lyannę w kierunku straganów z bronią i zbrojami.

Lady wzruszyła nieznacznie ramionami i skinąwszy głową dowódcy, poszła za swoją podopieczną.

Morht postać jeszcze chwilę w miejscu, popatrzył za odchodzącymi kobietami, po czym zlustrował uważnie stragan. Przepchnął się przez grupkę otaczających go gapiów i stanął na wprost niskiego sprzedawcy.

– Po ile to masz? – Pokazał handlarzowi trzymany w palcach przedmiot. Kiedy zapytany wymienił cenę, Morht roześmiał się kpiąco. – Nie zrozumiałeś mnie. Nie pytam o cenę całego kramu, tylko o tę jedną rzecz. – Spojrzał nieprzyjemnie na mężczyznę. – Nie próbuj mnie naciągać, żebym nie musiał porozmawiać ze strażnikami... – Oparł się rękami o stolik, który zatrzeszczał niepokojąco pod naporem jego ciała.

Sprzedawca zerknął niespokojnie na Morhta. Mało to już razy jakiś zbir zniszczył mu towar? Albo kobiety, cisnące się tłumnie do stoiska? Szybko podał cenę o wiele niższą.

Zadowolony Morht sięgnął do mieszka zawieszonoego na szyi i wyjął kilka monet.

– A wy do kolejki, nie pchać się, chyba że to do mnie tak się ustawiacie – rzucił ironicznie do oblegających kram kobiet.

Podniosły taki wrzask – któraś nawet w oburzeniu uderzyła go pięścią w plecy – że czym prędzej czmychnął stamtąd z zakupioną ozdobą.

Lyanna z Kylą oglądały tymczasem dzieła płatnerzy. Lśniące hełmy, pancerze, kirysy i kolczugi wzbudziły ich uzasadniony zachwyt. A kiedy jeszcze dojrzały sztylety, miecze różnej wielkości, ostre noże myśliwskie, kusze i łuki, na ich twarzach pojawiły się szerokie uśmiechy zadowolenia. Tak... to było o wiele ciekawsze od materiałów.

Odeszły stamtąd dopiero po godzinie.

Willowi i Artchowi zdziwiło się widać czekanie w karczmie, bo wracając, spotkały ich, gdy oglądali wyroby skórzane.

– Willu. – Lyanna uśmiechnęła się na mężczyzny, pamiętając o danej mu obietnicy. – Teraz pokażę ci, co może się spodobać Irinie. Chodźcie.

Wróciła do stoiska z ozdobami, gdzie wyszukała przepiękny grzebień z kości, zdobiony kolorowymi kamyczkami.

– Może to? – Pokazała go mężczyźnie, który pokręcił głową niezdecydowany i popatrzył pytająco na Artcha. Ten z kolei wzruszył ramionami.

– Ja tego nie będę nosił – oznajmił. – Kyla, ty coś wplatasz we włosy. Co może się Irinie spodobać? Selena ma chyba takie coś... – Nie wiedział, jak nazwać opaskę, którą czasami zakładała na głowę. – No... takie jakieś... – Wzruszył bezradnie ramionami.

Kyla przyjrzała się grzebieniowi i bez wahania sięgnęła ręką po coś, co obu mężczyznom wydało się w pierwszej chwili rzeczą nadającą się tylko do wyrzucenia. Płatanina żelastwa? Dopiero gdy Kyla ostrożnie rozłożyła na dłoniach drobne łańcuszki przeplatane metalowymi grawerowanymi kwadratami i nałożyła na włosy, delikatna siateczka zaśniła blaskiem.

– Piękne – z boku dobiegł ich kobiecy głos. Cała czwórka spojrzała w stronę mówiącej: niewysokiej, drobnej blondynki, odzianej w zdecydowanie zbyt krótką jak na porządną niewiastę suknię. – Myślisz, że jak tak się wystroisz, to cię zechce? – rzuciła jadowicie.

– Nawet ładne to jest – ocenił Will, ignorując Viernę, bo to właśnie ona nie spuszczała wrogiego spojrzenia z Kyli.

– Nie rozumiem. – Dziewczyna zaczęła ściągać ozdobę z włosów. Nigdy wcześniej nie widziała tej drobnej blondynki, jednak poczuła do niej instynktowną niechęć.

– Powinno jej się spodobać – wtrąciła Lyanna, patrząc z zaciekawieniem na nieznaną.

– Czego nie rozumiesz? – wysyczała Vierna. – Kylo... – dodała z pogardą, unosząc dumnie podbródek.

Dziewczyna podała ozdobę Willowi.

– Przypadnie jej do gustu – zapewniła kompana.

– Odejdz – nakazał Artch, mierząc ladacnicę surowym spojrzeniem.

– Ile za to? – Will targował się już o cenę z kupcem. Przejęty zakupem prezentu dla wybranki, nie zwracał uwagi na małe zamieszanie za swoimi plecami.

– W czym taka dziewczka jak ty może być lepsza ode mnie? – prychnęła lekceważąco Vierna, wbrew słowom Artcha podchodząc bliżej.

Niespodziewanie dla wszystkich z całej siły pchnęła Kylę na stoisko. Dziewczyna zachwiała się i nie mogąc utrzymać równowagi, upadła wprost na wystawione ozdoby. Lyanna

rzuciła się na pomoc; Will, który kupił już metalową plecionkę, w ostatniej chwili przytrzymał przechylający się stół, podczas gdy Artch zaklął głośno i złapał Viernę za ramiona.

– Ostatni raz mówię, abyś odeszła. – Ścisnął ją mocno, odwracając w stronę fontanny. – I lepiej będzie, gdy posłuchasz – zniżył głos do szeptu. – Inaczej po prostu ci przyłożę, jeśli jeszcze raz podniesiesz na kogoś z nas rękę. A może od razu pobiegiesz się pożalić, że pobiłem cię na targu? – rzucił uszczypliwie.

Wyszarpnęła się z jego uchwytu i szybkim krokiem podeszła do podnoszącej się dziewczyny.

– Cholerna suka – warknęła przez zaciśnięte zęby, spluwając na ziemię tuż koło niej. – Pożalujesz tego – zagroziła niczego nierozumiejącej Kyli.

– Wynoś się. – Lyanna nie zamierzała bawić się w uprzejmości. Nie wiedziała, kim jest ta kobieta, ale nikomu nie pozwoli obrażać swoich przyjaciół, a tym bardziej członków rodziny.

– A co mi zrobisz, jeśli nie posłucham? – Vierna popatrzyła wzgardliwie na Lyannę, jednak cofnęła się nieco.

Artch z Willem nie zdążyli zareagować, kiedy złośliwy uśmieszek pojawił się na ustach Lady. Szybkim ruchem złapała dziwkę za włosy i pociągnęła ją ku ziemi.

– Powiedziałam, żebyś się wyniosła – wycedziła, odpychając ją od siebie tak, że tamta potknęła się i przysiadła na bruku.

– Obie tego gorzko pożałujecie! – wrzasnęła upokorzona Vierna, podnosząc się szybko. – I ty, i ta wiedźma! Opętałyście go!

Odpowiedzią był cios, który trafił ladacznicę w podbródek. Złapała się za obolałe miejsce, patrząc z przestachem na Lady, po czym odbiegła z głośnym płaczem.

– Wybaczcie. – Lyanna rozmasowała kostki dłoni. – Chyba powinniśmy już wracać – oznajmiła zdumionym towarzyszom wyprawy.

– Lyanno... – Kyla zamrugła oczami z niedowierzaniem.

– To nie było zbyt rozsądne. – Artch rozejrzał się po tłumie, który zaczął gęstnieć wokół ich. Przyglądały im się dziesiątki zaciekawionych twarzy.

– Lepiej wracajmy. – Will ruszył w kierunku stajni, gdzie zostawili konie. – Zaraz zainteresuje się tym zbiegowiskiem ktoś ze straży.

Spojrzał porozumiewawczo na Artcha; ten w odpowiedzi skinął głową. Prędko przecisnęli się przez ciżbę.

Droga powrotna upłynęła im w milczeniu. Żadne nie miało nastroju na żarty czy prowadzenie rozmów o niczym. Kyla chciała wypytać najemników, kim była ta dziwna, napastliwa dziewczyna, jednak widząc powściągliwość ciotki, nie odezwała się ani słowem. Obaj mężczyźni też nie zdradzali ochoty do wynurzeń na temat zajścia.

W grobowej ciszy dotarli wreszcie do zamku.

– Niech Morht do mnie przyjdzie jeszcze przed kolacją – zarządziła Lyanna, zsiadając z konia na dziedzińcu. – I wy obaj też – poinformowała Artcha i Willa.

Kyla odprowadziła swojego konia do stajni, po czym ruszyła w stronę kuchni. Była głodna i miała nadzieję, że znajdzie się tam jeszcze coś dobrego. Na ten sam pomysł wpadł też Vartheńczyk, bo zastała go wesoło rozmawiającego z Seleną i Catriną. Wsunęła głowę do środka, a widząc, jak śmieją się wspólnie, natychmiast się wycofała. Jednak zaczeka do

kolacji.

– Zaraz wrócę – oznajmił kobietom Morht, zrywając się z krzesła.

Jakby go kto gonił, wypadł z kuchni i szybkim krokiem ruszył w ślad za Kylą.

Nie zdążyła jeszcze przejść środkowego skrzydła i skierować się do swojej komnaty, kiedy usłyszała stukot jego podkutych butów. Zerknęła przez ramię i na widok mężczyzny serce zabiło jej szybciej. Przezornie zatrzymała się, spoglądając na niego podejrzliwie.

Stanąwszy przed Kylą, surowy zwykle Morht uśmiechnął się krzywo.

– To dla ciebie – powiedział, wciskając jej w dłoń zwinięty kawałek materiału. – Nie musisz dziękować.

Po czym odwrócił się na pięcie i równie szybkim krokiem wrócił do kuchni. Oszołomiona patrzyła za nim przez długą chwilę, by dopiero potem sprawdzić, co jej ofiarował. Z fałd kolorowej tkaniny wyłoniła się brosza. Ta sama, którą oglądała na straganie i która tak jej się spodobała.

Kilku młodych chłopców ćwiczyło na dziedzińcu. Szczęk mieczy mieszał się z gwarem rozmów i bojowymi okrzykami. Stojący w oknie Morht obserwował nowych rekrutów z uwagą. W kilku dostrzegł potencjał, który można będzie wykorzystać na potrzeby drużyny. Uśmiechnął się lekko, widząc uniki, które stosował jeden z młokosów. Jego przeciwnik stopniowo tracił przewagę, nie mogąc dosięgnąć rywala. Vartheńczyk oparł się rękami o kamienny parapet, śledząc ich poczynania.

Will pokazywał jednemu z nowych, jak ustawić stopy, uczył go kolejnych kroków, cierpliwie układał palce na rękojeści miecza. Stojący w cieniu murów Quen rozmawiał o czymś żywo z Trevorem. Lady Lyanna wyjeżdżała gdzieś konno. Tuż za nią podążał Artch.

Morht zmrużył oczy, patrząc na wóz wlokący się za nimi, wyładowany po brzegi workami. Powożący nim Urlin nie miał szczęśliwej miny. Co rusz odwracał głowę, zerkając w okna komnat, jakby kogoś wypatrując. Naraz trzasnął z bata i spłoszone konie wyrwały do przodu, niemal tratując jadącego przed nimi zwiadowcę. Wierzchowiec Artcha wierzgnął przestraszony i stanął dęba, o mały włos zrzucając swojego jeźdźca. Przekleństwa najemnika było słychać aż tutaj. Morht uśmiechnął się pod nosem. Skruszony Urlin próbował opanować nerwowo kręcące się konie, jednak przychodziło mu to z trudem. Do wozu doskoczyło paru młokosów, zatrzymując zwierzęta w miejscu. Inni zbierali porozrzucone worki, pakując je z powrotem na wóz.

Lady Lyanna zatrzymała się przy bramie i odwróciwszy się, patrzyła spokojnie na zamieszanie. W pewnej chwili uniosła głowę, błędząc wzrokiem po oknach. Napotkawszy spojrzenie zaufanego najemnika, uśmiechnęła się lekko. Morht odwzajemnił uśmiech i uniósł prawą dłoń w geście powitania. Odmachała mu radośnie.

Lady Lyanna...

Morht zapatrzył się przed siebie, zadumał. Nie spotkał drugiej takiej kobiety jak ona. Niewiele młodsza od męża, dobiegała już czterdziestki, ale nie wyglądała na swoje lata; oblicze wciąż miała piękne i młode, a sama była pełna życia i werwy. Morht śmiało mógł powiedzieć, że nie znał kobiety dorównującej jej w walce. A i niejeden mąż by jej nie sprostał. Swego czasu walczyli w czwórkę: Lyanna, Eryk, Quen i Morht, wychodząc zwycięsko z największych opresji. Jednak o ile żona zwierchnika budziła w nim podziw, to o

innych kobietach nie miał najlepszego zdania. Niewiasty, podług niego, w najlepszym przypadku powinny zajmować się domem, gospodarstwem, dziećmi i dbaniem o mężczyzn. W najgorszym – spędzać czas w łóżu z tym, kto za to płacił.

Lady Lyanna doskonale radziła sobie zarówno na polowaniu, w walce, jak też w zarządzaniu służbą zamkową. Do tego była kobietą mądrą i wyrozumiałą, a w razie potrzeby umiała twardo postawić na swoim. Może dlatego niespełna dwudziestoosmioletni Morht darzył ją szczególnym szacunkiem i przyjaźnią.

Zmarszczył gniewnie brwi, kiedy przypomniła mu się Kyla. Ona też nie mieściła się w jego schemacie myślenia o kobietach. Chociaż od dłuższego czasu usilnie starał się ją w niego wcisnąć, wciąż mu się wymykała. W pracach domowych kiepsko się sprawdzała, przekładając ponad gotowanie i szycie polowania i ćwiczenia z najemnikami. Jednak gdy potrzebna była pomoc w którejś z wiosek, zgłaszała się pierwsza. Dzieci za nią przepadały, a i jej sprawiało przyjemność obcowanie z nimi. Z jednej strony sprawiała wrażenie bojaźliwej, z drugiej pamiętał, jak zapalczywie walczyła o odzyskanie swojej wstążki. Natomiast ostatniej z kobiecych ról w ogóle nie brał pod uwagę w jej przypadku. Już na samą myśl, że jakiś mężczyzna mógłby dotknąć Kyli lub rościć sobie do niej jakieś prawa, ogarniała go niezrozumiała wściekłość.

Potrząsnął głową, wracając do obserwacji tego, co działo się na dziedzińcu. Opanowano zamieszanie i wóz oraz jeźdźcy mijali właśnie główną bramę. Zapewne udają się do jednej z podległych wiosek, które często odwiedzała Lady Lyanna.

Ciche skrzypnięcie drzwi za plecami przerwało rozmyślenia dowódcy. Odwrócił się gwałtownie, ciekaw, który z jego ludzi zasnął na poranne ćwiczenia. Nie spodziewał się spotkać tutaj nikogo innego, wszak w tej części zamku mieściły się wyłącznie kwatery zwiadowców. Kyla mieszkała niżej, w komnacie Sir Darhera. Oczy więc rozszerzyły mu się ze zdumienia, kiedy dostrzegł drobną postać zamykającą drzwi jednej z komnat. Rozpoznał od razu jasne włosy Kyli i poczuł, jak ogarnia go gniew. Dziewczyna nie zauważyła go, spieszenie oddalając się korytarzem w stronę schodów.

Gdy zniknęła za rogiem, wściekły Morht ruszył sprawdzić, z czyjej sypialni wyszła. Popatrzył z nienawiścią na drzwi i gwałtownym ruchem odrzucił do tyłu ciemne włosy. Zacisnął usta i robiąc większy niż zwykle hałas swoimi podkutymi butami, ciężkim krokiem pomaszerował na dziedziniec. Nie zważając na ćwiczących, przeszedł środkiem placu, po drodze dobywając miecza. Sam nie rozumiał tego, co nim powodowało. Skąd ta ogromna złość, którą poczuł na widok Kyli wychodzącej z komnaty jednego z jego ludzi, i która natychmiast musiała znaleźć ujście.

– Poćwiczymy – stwierdził, przytykając sztych miecza do piersi Sarthusa.

Quen przerwał w pół zdania rozmowę, którą prowadził z Trevorem, i popatrzył zdumiony na przyjaciela. Niemniej zdziwiony był sam Sarthus, któremu dowódca brutalnie przerwał trening ze świeżym rekrutem.

– W porządku. – Odsunął się kilka kroków, sięgając po swoją broń. – Przejdźmy może tam. – Ruchem ręki wskazał wolne miejsce w kącie dziedzińca. – Nie będziemy przeszką...

– Tu i teraz – warknął Morht. Krew w jego żyłach wrzała. W oczach pociemniało mu z furii. Nie zastanawiając się wiele, drugi raz przytknął ostrze do piersi zwiadowcy.

Sarthus szybkim ruchem uniósł swój miecz. Morht zaatakował znieczeka, doskakując do

niego i wykonując serię pchnięć. Najemnik zdumiony agresją dowódcy, który nigdy tak się nie zachowywał, zdołał sparować cięcia. Odnosił jednak nieodparte wrażenie, że gdyby mu się nie udało, Morht bez wahania by go zranił.

Zaciekła walka trwała dłuższy czas. Morht nie odpuszczał przeciwnikowi, zaganiając go zmyślnie w róg dziedzińca. Kiedy Sarthus poczuł za plecami twardego mur, zbladł. Oparł się o niego, dysząc ciężko z wysiłku. Sztych miecza dowódcy dotykał jego odsłoniętej szyi, naciskając na nią coraz mocniej.

– Morht! – Quen doskoczył do przyjaciela, który z dzikim uśmiechem przesunął ostrzem po skórze rywala. Popłynęła cienka strużka krwi. Dotąd jeszcze nigdy się nie zdarzyło, aby podczas treningu ktoś celowo zranił towarzysza. – Oszalałeś? – warknął cicho, ostrzegawczo.

Pozostali ćwiczący zastygli na swoich miejscach, patrząc z napięciem na trójkę zwiadowców.

Quen ostrożnie odsunął miecza od szyi Sarthususa. Zraniony mężczyzna otarł krew wierzchem rękawicy, nie spuszczając wzroku z dowódcy. Zastępca stanął pomiędzy nimi, patrząc z niepokojem na przyjaciela. Nie poznawał go od kilku dni. Jakby złe w niego wstąpiło.

– Nie życzę sobie oglądać żadnych dziewczek wychodzących z waszych komnat – warknął przez zaciśnięte zęby Morht.

– Przecież żaden z chłopców nie przywiózł tu... – zaczął tłumaczyć Quen.

– Kyla – wysyczał Morht, znów czując, jak ogrania go dziwna furia.

– Co Kyla? – zdziwił się Quen.

– Ostatni raz! – dowódca podniósł głos, kolejny raz przerywając przyjacielowi. Ten wzruszył ramionami, nie pojmując, o co chodzi. Sarthus przezornie odsunął się na bezpieczną odległość.

Nieświadoma niczego dziewczyna wyszła na dziedziniec, przemierzając go szybkim krokiem. Widząc Morhta stojącego przy Sarthusie i Quenie, zawahała się, jednak dzielnie podeszła do nich.

– Nie znalazłam tych rękawic, o które prosiłeś. – Uśmiechnęła się przepaszająco do Sarthususa.

– Rękawic? – zdziwił się.

– Venim powiedział, że mam ci przynieść rękawice, które zostawiłeś na łóżku – wyjaśniła, czując się coraz bardziej speszona obecnością Morhta.

– Usługujesz moim ludziom? – Vartheńczyk spojrzął z góry na dziewczynę.

– Ja tylko... – zająknęła się ze zdenerwowania. – Venim mówił, że Sarth prosi...

– Do jego sypialni też tak chętnie biegasz?

Otworzyła usta ze zdumienia. Nie spodziewała się takiej agresji z strony Morhta, tak poniżających i niesprawiedliwych oskarżeń. Przecież chciała tylko pomóc. W niebieskich oczach pojawiły się łzy. O nie, nie rozplacze się! Nabrała głęboko powietrza, uniosła dumnie podbródek i spojrziała prosto w oczy Vartheńczyka.

– A ty zawsze tak szybko podnosisz rękę na dziewczki w Terlinie? – prychnęła pogardliwie. – Ciesz się, że Sir Eryk jeszcze o tym nie wie – dodała. Potem odwróciła się i odbiegła w stronę komnat.

– Do jasnej cholery, te pogłoski o Viernie to prawda?! – Quen miał dosyć dziwnaczego

zachowania Morhta. – Chodź ze mną – dodał ciszej, nie spuszczać surowego wzroku z przyjaciela. – A wy, wracać do zajęć! – polecił.

Ruszył pierwszy, kierując się do stajni. Morht przez dłuższą chwilę stał w miejscu, mierząc ponurym spojrzeniem zgromadzonych na dziedzińcu najemników.

– No! – rzucił wreszcie głośno, widząc, że zwlekają z wykonaniem rozkazu. – Artch, zajmij się wszystkim! – polecił.

Wkrótce dwaj jeźdźcy przejechali galopem przez bramę zamku.

Niewielka wiejska karczma w Rodasie była prawie pusta, nie licząc siedzącego na ławie w jednym z kątów niepozornego starca. Uniósł niemrawo głowę, patrząc przez chwilę wyblakłymi niebieskimi oczami na dwójkę wchodzących mężczyzn. Po chwili na powrót opuścił głowę na piersi i zachrapał głośno.

Morht rozejrzał się gniewnie po małym pomieszczeniu, przytrzymując skrzypiące drzwi. Kilka chyboczących się stołów, ławy, na których strach było siadać, by znieacka nie załamały się pod ciężarem gościa, jeden nędzny świecznik, ledwie rozjaśniający panujący w oberży półmrok. Wąskie okienka, przez które wpadało niewiele dziennego światła. Vartheńczyk westchnął ciężko, zatrzymując wzrok na półkach za szynkwasem. A raczej na jednej półce, na której stała samotna butelka jakiejś cieczy. Druga półka świeciła pustkami. Na wybór trunków nie mogli tutaj liczyć; o ile to, co znajdowało się we flasce, w ogóle było trunkiem.

– Siadaj – rzucił Quen, wskazując stół nieopodal wygasłego paleniska. Sam podszedł do szynkwasu. – Daj nam dzban piwa i dwa kufle – polecił karczmarzowi i wyciągnął z mieszka monety, podsuwając je mężczyźnie pod sam nos.

Oberżysta sprawnie zakrzętnął się za ladą i już po chwili jasnowłosa najemnik stawiał na blacie naczynia, siadając naprzeciw Morhta.

– Ktoś obił Viernie jej śliczną buźkę – zaczął ponuro, nalewając piwa i podsuwając jeden z kufli kompanowi. Do czego to doszło, żeby musiał rozmawiać w wiejskiej karczmie o jakiejś dziwce. Jakby nie miał nic lepszego do roboty. – Podobno to ciebie poniosło.

Morht popatrzył na niego spode łba; w milczeniu sięgnął po kufel i upił z niego kilka łyków.

– Szczynty. – Splunął na podłogę. – A kto twierdzi, że to ja?

– Jakbym wiedział, to już bym te plotki ukrócił. – Quen przytknął naczynie do warg. – Tu Tora coś powie, tam z kolei Arienie coś się wymknie, któryś z nowych rekrutów dorzuci coś od siebie... – Napił się piwa, tocząc oczami po wnętrzu przybytku. Ponuro tu było; jak zawsze. – Sam wiesz, jak jest – mruknął.

Morht westchnął ciężko. Kobiety. Nie, nie przyjdą wyjaśnić wątpliwości, tylko szepczą za plecami, na ucho, przekazując najświeższe nowinki, po drodze dodając coś od siebie.

– Wiesz lepiej ode mnie, że czasami nie panujesz nad sobą. – Quen skrzywił się. Ileż to już takich rozmów tutaj odbyli. Chwilami miał serdecznie dość porywczosci przyjaciela.

– I uważasz, że byłbym zdolny uderzyć kobietę? Obojętnie: znajomą czy nie, dziwkę czy szlachetnie urodzoną? – W głosie Morhta pojawiła się nuta żalu. W ciągu ponad dziesięciu lat znajomości, która szybko przerodziła się w przyjaźń, przeszli razem tyle, że wątpliwości kompana zabolowały go.

– W Kylę prawie trafiłeś – przypomniał mu Quen. – Wtedy w komnacie, gdy pojawiła się zjawia Darhera...

– W ścianę trafiłem! Nad nią, nad jej głową. Nie w nią! – przerwał mu gwałtownie. – I wcale nie miałem zamiaru jej uderzyć!

– Aż tak dobrze to pamiętasz? – Uśmiechnął się znacząco.

– Zamknij się – warknął Morht, domyślając się, do czego zmierza jego spostrzegawczy przyjaciel. – Mylisz się – burknął jeszcze, upijając kilka kolejnych łyków piwa.

Quen przyglądał mu się badawczo dłuższą chwilę. Decyzja, aby zabrać ranną dziewczynę na zamek, zamiast zostawić ją w chacie zielarki, jak zwykle robili w takich sytuacjach; docinki, których jej nie szczędził przy każdej możliwej okazji; wyzwanie rzucone najemnikowi Sir Victora...

– Ślepy by to zauważył – oznajmił spokojnie. – Sam pewnie teraz przeklinasz te swoje zasady trzymania wszystkich w ryzach. – Uśmiechnął się szeroko. – I to jakże szlachetne oddanie wstążki. – Wybuchnął śmiechem. – Powiedz mi, Morht... – zaczął, jednak nie dane mu było skończyć.

– Wychodź! – Vartheńczyk zerwał się z ławy, z hukiem rozbijając kufel o podłogę i świdrując towarzysza wściekłym spojrzeniem. – Przed karczmę! – dorzucił i ruszył w stronę drzwi.

Quen popatrzył za nim z rozbawieniem. Jak zwykle porywczy... Podniósł się z miejsca, zapłacił karczmarzowi za rozbity kufel, po czym udał się za Morhtem. Nie zdążył jeszcze dobrze przestąpić progu, kiedy zachwiał się, czując pierwsze uderzenie.

– Pieprzony sukinkot – warknął, rewanzując się dowódcy ciosem w szczękę.

Woda w jeziorze nie była już taka ciepła jak latem. Ostatnie jesienne dni, coraz krótsze, z coraz zimniejszymi porankami i wieczorami, przypominały, że nadchodzi zima. Powykręcane, ogołoczone z liści konary drzew i mizerne zarośla nie zasłaniały już brzegów tak dobrze jak wcześniej.

Morht parsknął niczym młody źrebak, wynurzając się z toni jeziora. Quen, stojąc po pas w wodzie i szczękając zębami, próbował zatamować płynącą z nosa krew. Czarnowłosey najemnik z łobuzerskim uśmiechem zbliżył się do przyjaciela, wypychając go z nienacka pod wodę i przytrzymując mu głowę pod powierzchnią. Potem szybko ruszył w stronę brzegu.

– Dziwię się, że jeszcze nikt cię nie zabił. – Uwolniony Quen wypluwał wodę, przeczesując palcami mokre włosy

– Pozwolę to zrobić tobie. – Morht grzebał przy sakwach w poszukiwaniu kawałków płótna, którymi mogliby się obaj wytrzeć.

– Daj znać, kiedy to nastąpi – mruknął jasnowłosey, wylaząc na brzeg. Złapał rzucony przez przyjaciela materiał i przetarł twarz.

– Pamiętasz, jak schowaliśmy Artchowi spodnie? – Vartheńczyk wyszczerzył się w szerokim uśmiechu.

– Wracal bez nich na zamek. – Quen wybuchnął głośnym śmiechem. – Może właśnie wtedy Selena zwróciła na niego uwagę – zażartował. – A może twoje portki też powinny zniknąć, co?

– Stul pysk! – Morht posłał mu nieprzyjemne spojrzenie, zapinając pas na biodrach.

Quen uniósł ręce w obronnym geście.

– W porządku – odparł, walcząc z rozbawieniem. Sięgnął po koszulę leżącą na poźółkłej trawie. – Ani słowem nie wspomnę już o pewnej jasnowłosej pannie.

Morht rzucił się na niego z pięściami. Wpadli obaj do jeziora, mocząc ubranie, które zdążyli na siebie założyć.

– Kurwa. – Quen pierwszy oprzytomniał, gdy dotarło do niego, że będą wracać mokrzy na zamek. – Przez ciebie jaja mi przymarzną do siodła.

– Zawsze możesz odwiedzić tę twoją rudowłosą piękność z Terlinu – dogryzł mu Morht. – Pochucha i odmarzną.

Tym razem to jasnowłosey rzucił się z pięściami na przyjaciela.

Kolejną bójkę pomiędzy towarzyszami przerwał dopiero dźwięczny, kobiecy głos:

– Czy wam to się kiedyś znudzi?

Obaj znieruchomieli, po czym opadli na ziemię plecami, gromko rechocząc. Lady Lyanna zsiadała z konia, odwiązuując przytroczony do siodła wypchany worek. Jadący za nią Sir Eryk spoglądał z pobłażliwością na swoich najlepszych ludzi, siłujących się niczym dwa szczeniaki.

– Wciąż to samo. I nawet miejsca nie zmieniliście. – Lyanna cisnęła w ich stronę przywiezionym workiem. – Przynajmniej nie trzeba was daleko szukać.

– Miałaś rację, moja droga, mówiąc już dawno temu, że on jest szalony. – Eryk uśmiechnął się.

– Wtedy byliśmy smarkaczami! – zaprotestował Morht, udając oburzenie. Rozwiązał worek, wysypując ze środka suche odzienie. – Nie wzięliście mojej ulubionej koszuli – mruknął, rzucając Quenowi spodnie.

– A teraz zachowujecie się jak dorośli? – zadrwiła Lyanna. – Sarth nam powiedział, że pojechaliście... porozmawiać.

– Rozmowy z nim zawsze tak się kończą. – Quen zrobił minę zbitego psa, wskazując na przyjaciela. Ściągał z siebie przemoczone spodnie, próbując ukryć nagość za kępą bezlistnych krzewów. Eryk, patrząc na te starania, wybuchnął głośnym śmiechem. Lyanna mu zawtórowała, odwracając się litościwie i cierpliwie czekając, aż dokończą przebierania.

Dopiero po dłuższej chwili dotarł do niej głos Morhta, już poważny i surowy jak zwykle.

– Co tym razem? – Dobrze wiedział, że nie pojawiliby się tutaj tak szybko, gdyby nie mieli istotnego powodu. Ostatnio czekali z Quenem prawie do wieczora, zanim zdecydowali się ruszyć pod osłoną mroku w stronę zamku.

– Podobno wilki już się pojawiły – powiedział Eryk.

– Co prawda na razie krążą w okolicy Metllasu, ale stado jest pokaźne – dodała Lyanna. – Nie chcieliśmy, aby wam tyłki odgryzły – zakpiła, dosiadając swojego wierzchowca.

– Co się dziwić – mruknął Quen, zbierając swoje mokre rzeczy i wciskając je do worka. – Ochłodziło się, rano już przymrozek łapie, tylko patrzeć jak śnieg spadnie.

– I znowu będziesz narzekał na przymarznięte... – zaczął Morht.

– Zamknij się – usadziła go Lyanna.

– Racja, na dziś już dość waszych rozmów – poparł żonę Eryk.

– Zatem przejedziemy się do Metllasu – odparł Vartheńczyk, mocując do siodła worek, po czym zwinnie wskoczył na konia. – A ty na co czekasz? – zwrócił się do swego zastępcy, który

wciąż stał w miejscu.

– Wiesz... – zaczął niewinnie Quen – tak patrzę na to siodło i mam pewne obawy, czy...

– Quen! – przerwał mu chóralny krzyk pozostałej trójki. Potem zgodnie wybuchnęli śmiechem.

– I co ja mam z tobą zrobić? – Młoda kobieta opatulona w ciepłe chusty i kozuch, popatrzyła z troską na pięcioletnią córeczkę, grzejącą się przed dogasającym paleniskiem.

– Mogę iść z tobą – oznajmiła dziewczynka z zapalem. – Pomogę ci. – Popatrzyła prosząco na matkę.

– Śniegu napadało zbyt wiele, to nie jest wyprawa dla ciebie – mruknęła kobieta, spoglądając ze złością na śpiącego w rozpadającym się łóżku męża.

Żeby cokolwiek dzisiaj ugotować, musiała iść do lasu po drewno. Czy powinna wziąć ze sobą córkę? Tylko opóźniłaby ją w drodze. Co gorsza, w nocy słyszała wycie wilków, które podeszły pod wioskę. Głodne drapieżniki zagryzły już kilka zwierząt gospodarskich.

Westchnęła zmartwiona, znowu patrząc na śpiącego męża. Szturchnęła go w końcu w ramię.

– Poszedłbyś po drzewo – odezwała się bez przekonania w głosie.

Mężczyzna machnął ręką, jakby oganiał się od natrętnej muchy, po czym obrócił się na drugi bok. Szturchnęła go ponownie. Tym razem zaklął pod nosem, nie budząc się jednak. Kobieta westchnęła ciężko. Popatrzyła zmartwiona na córkę, zastanawiając się, co zrobić. Kilku wieśniaków już ruszyło razem do lasu. Jeśli się pospieszy, powinna ich dogonić. Z drugiej strony nie mogła przecież zostawiać wszędobylskiej i ciekawskiej Rivienny bez opieki...

– Załóż to. – Pomogła dziewczynce nałożyć gruby kozuch, sięgający jej prawie do kostek. Ścisnęła ją w talii starym pasem i włożyła na głowę czapkę.

– Pomogę ci, mamusiu. – Riv podskakiwała radośnie.

Obie wyszły z chaty, kierując się w stronę, w którą podążyli wieśniacy. Szybko jednak okazało się, że nie tak łatwo będzie ich dogonić. Sypiący coraz gęściej śnieg zdążył już pozacierać część śladów. Kobieta postanowiła skrócić sobie drogę, idąc na przełaj przez puste pola. Na odkrytym terenie uderzyło w nią mroźne powietrze. Malutka Riv próbowała dzielnie dotrzymywać matce kroku, jednak za duże buty zsuwały się z jej drobnych stóp, a zbyt długi kozuch plątał się między nogami, tak że dziewczynka co chwilę się potykała.

Dopiero po ponad dwóch godzinach udało im się dotrzeć do pierwszych krzewów. Kobieta odłamała kilka gałęzi, układając je na rozłożonej płachcie. Riv ochoczo pomagała znosić porozrzucane kawałki drewna. Kiedy rozległo się wycie, zaniepokojona kobieta rozejrzała się uważnie dookoła. Zgrabiętymi z zimna palcami związała spieszenie płachtę, a potem zarzuciła tak przygotowany tobołek na plecy.

– Nie oddalaj się ode mnie – poleciała dziewczynce, która lepiła małe kule śniegu. Dziecko posłusznie podbiegło do matki. – Bardzo zmarzłaś? – Kobieta popatrzyła z troską na zaróżowione od mrozu policzki dziecka.

– Nic a nic. – Malutka pokręciła głową, łapiąc matkę za kozuch, by łatwiej za nią nadążyć.

Wycie rozległo się ponownie, bliżej. Spanikowana kobieta obejrzała się i w kępie krzewów zauważyła szare wilcze futro; tuż za nim drugie.

– Riv... – zaczęła, szukając wzrokiem drogi ucieczki. Ku swojej uldze dostrzegła niewielką jamę pod jednym z przewróconych pni. – Riv, posłuchaj – szepnęła do dziewczynki. Córka popatrzyła na nią uważnie. – Teraz pobawimy się, kto pierwszy dobiegnie tam. – Wskazała dłonią korzenie leżącego drzewa. – Pierwszy w norce wygrywa, dobrze? Tylko trzeba się wcisnąć głęboko, jak najgłębiej – tłumaczyła drżącym ze strachu i troski głosem. Kątem oka ujrzała, że dwa wilki zaczynają powoli iść w jej stronę.

– Teraz! Biegnij! – nakazała. – Szybko!

Riviennie nie trzeba było dwa razy powtarzać. Uwielbiała bawić się z matką. Ścisnęła w rączkach swój kozuch, po czym puściła się biegiem w stronę wykrotu. Matka ruszyła w ślad za nią, pilnując, by dziecko się nie przewróciło. Oglądała się przerażona przez ramię, obserwując zbliżające się wilki. Gdy dziewczynka dopadła jamy, kobieta wepchnęła ją z całej siły do środka, a potem zasłoniła sobą wejście. Zacisnęła zęby, by nie krzyknąć, gdy pierwszy z wilków wbił kły w jej rękę.

Trochę czasu minęło, zanim dziewczynka usadowiła się wygodnie.

– Wygrałam! – zawołała radośnie, wyciągając po omacku rączki przed siebie. W norze było ciasno i ciemno. – Mamo? – Dziewczynka przestraszyła się. – Mamo?

Paluszki natrafiły na kozuch matki. Zacisnęła na nim piąstki; coś szarpało go z drugiej strony. Pociągnęła rozpaczliwie skórę ku sobie. Jakieś wycie, jakiś stłumiony krzyk... Riv nie wiedziała, co się dzieje. Coś mokrego spłynęło po jej paluszkach, ściskających kurczowo kozuch.

– Mamo! – Rozpłakała się.

Poranek powitał mieszkańców zamku bielą i mrozem. Płatki śniegu wirowały delikatnie w powietrzu, opadając tanecznie na ziemię i okrywając ją białą, puchową kołdrą.

Kyla obudziła się w wychłodzonej komnacie. Kominek wygasł i nie miała ochoty wychodzić spod ciepłego okrycia. Wreszcie z ciężkim westchnieniem wysunęła się spod koców i zabrała za rozpalanie ognia. Gdy pojawiły się pierwsze płomienie, przeciągnęła się leniwie. Trzeba się umyć, ubrać i zejść na śniadanie...

Zimne odzienie nie przypadło jej do gustu. Wzdrygnęła się, kiedy chłodny materiał koszuli dotknął ciała. Przemogła się jednak i wykonując skomplikowany taniec przed kominkiem – gdy starała się rozgrzać – nakładała na siebie kolejne warstwy odzienia. Doprowadziwszy się do porządku, opuściła komnatę.

Przechodząc przez dziedziniec, zauważyła Trevora rozmawiającego przy bramie z jakimś mężczyzną. Zaciekawiona zbliżyła się do nich.

– Tej nocy wilki znowu podlażyły – opowiadał ponurym głosem starszy, wąsaty wieśniak. – Zagryzły mi dwie kozy i trzy kury. I co ja teraz zrobię?

– Zajmiemy się tym – obiecał najemnik, poklepując mężczyznę po ramieniu. – Nie wypuszczajcie zwierząt z zagród. Pozamykajcie je, gdzie tylko możecie. Wprowadźcie do chat – zaproponował.

– Jeszcze przed świtem kilku z nas wyruszyło do lasu po chrust – mruknął wieśniak.

– Zostańcie na razie w domach, dopóki nie pozbędziemy się stada – poradził Trevor. Zeszłej zimy wilki podchodzące pod chaty też stanowiły problem i najemnicy polowali na nie

przez kilka dni.

– Nie wrócili jeszcze do wioski. Jak wrócą, powiem im. Ale skąd weźmiemy wtedy drewno na opał? – spytał zmartwiony mężczyzna. – Przecież ogrzać się musimy i ugotować.

– Wróc do Rodasu i powiedz, aby nigdzie nie łazili. Dobrze? Lepiej zmarznąć, niż zginąć – tłumaczył cierpliwie Trevor.

Wieśniak pokiwał głową i ruszył ku bramie.

Trevor zauważył Kyle.

– Zimno się zrobiło, prawda? – zagadał, rozcierając zmarznięte dłonie.

– Zimno – potwierdziła. – Wilki? – spytała, odprowadzając wzrokiem wieśniaka, który właśnie mijał bramę.

– Jak zwykle. Ściągają na zimę w te okolice – wyjaśnił najemnik. – Ty też nie łaż po lesie, jeśli nie musisz. – Uśmiechnął się.

Mieszkańcy zamku dobrze wiedzieli, że jeśli Kyli nie ma na zamku, najpewniej siedzi w jednym ze swoich ulubionych leśnych miejsc, obserwując przyrodę.

– Nie będę – obiecała. – Nie wiesz, czy dzisiaj po śniadaniu Will będzie ze mną ćwiczył? – spytała. – Mówił coś wczoraj, ale nie słuchałam zbyt uważnie – przyznała ze skruchą.

Trevor wzruszył ramionami.

– Nie mam pojęcia – odparł. – Zapytaj go, gdy zejdzie z wieży do jadalni.

Pokiwała głową i otuliwszy się ciasniej ciepłą peleryną, powędrowała w stronę kuchni. Zastała tam Morhta rozmawiającego cicho z Lyanną. Widząc mężczyznę, czym prędzej się wycofała.

Will nie pojawił się na śniadaniu w jadalni. Niezdecydowana, co robić, udała się do zbrojowni. Może tam na nią czekał? Śmiało pchnęła drzwi i weszła do środka.

– Will? – spytała, rozglądając się po pomieszczeniu.

W zbrojowni było pusto i cicho. Tylko zza uchylonych drzwi, prowadzących do izby, w której szkoliła ją kiedyś Lyanna, dobiegło echo pytania:

– Will...? – Ku swojemu zaskoczeniu ujrzała wychodzącego stamtąd Morhta. – Szukasz Willa? – zainteresował się. – Pojechał do Iriny – wyjaśnił krótko, obrzucając Kyle uważnym spojrzeniem. Dłużej zatrzymał wzrok na zaróżowionych od mrozu policzkach dziewczyny i kosmykach jasnych włosów wymykających się niesfornie spod kaptura peleryny.

– Aha – odparła krótko, zamierzając wyjść.

– Jeśli masz jakąś sprawę do niego, może ja będę mógł pomóc – zaproponował uprzejmie, sam zaskoczony swoimi słowami.

Kyla zamrugała powiekami. Morht oferujący jej swoją pomoc? To nie mieściło się w głowie!

– Tylko bądź łaskawa szybciej wyjawić swój kłopot – odezwał się już swoim typowym ironicznym tonem. – Niedługo wyjeżdżamy sprawdzić okolice.

Odchrząknęła niepewnie.

– Will mi pomaga, uczy mnie... – zaczęła.

– Wiem, uczy cię fechtunku. A raczej uczył – przerwał jej. – Mam dla ciebie przykrą wiadomość. – Uśmiechnął się drwiąco, podchodząc bliżej. – Od dzisiaj to ja będę twoim nauczycielem.

Popatrzyła na niego z bezbrzeżnym zdumieniem.

– Lyanna nic ci nie powiedziała? – Uśmiechnął się szerzej na widok jej miny. Nie zamierzał wyjawiać, że Lyanna osobiście poprosiła go o zajęcie się nauką podopiecznej, stawiając warunek, że gdyby Kyla nie chciała takiego nauczyciela, miał go zastąpić ktoś inny. – To zacznij się oswajać z tą myślą. A teraz zbieraj się, wyruszamy niedługo. Pojedziesz dzisiaj z nami – oznajmił osłupiałej dziewczynie.

– Dlaczego ty? – wykrztusiła wreszcie przez ściśnięte gardło.

– Może lubię wyzwania i zadania z pozoru niemożliwe do wykonania – zakpił. – Poza tym jeśli nadal będziesz machać mieczem jak ostatnio przed Darayem, to kolejny twój przeciwnik może skończyć ze śmiechu.

– Ty... – zaczęła, czując, jak ogarnia ją złość na Morhta, który stał i patrzył na nią pogardliwie. Może nie umiała jeszcze dobrze walczyć, ale nikt, zwłaszcza ten... Vartheńczyk, nie będzie jej z tego powodu wyśmiewał. Najchętniej by go spoliczkowała, ścierając mu z warg drwiący uśmiezek. – Ty chol... – Ugryzła się w język. Nie chciała przeklinać ani używać obraźliwych słów, zniżając się do jego poziomu. Nie pozwoli wyprowadzić się z równowagi. Zaciśnęła pięści, wbijając je w kieszenie peleryny.

– Nie zostało ci wiele czasu – powiedział, kierując się ku wyjściu.

Początkowo uznał pomysł Lyanny za szalony, jednak widząc kipiącą oburzeniem Kyle, która za wszelką cenę starała się zapanować nad złością, uznał, że owa nauka może okazać się całkiem interesująca.

– Nienawidzę cię! – wrzasnęła.

Zatrzymał się, odwrócił w progu i popatrzył spokojnie na Kyle.

– Naprawdę, radzę ci się pospieszyć. Nie uznaję spóźnień, o czym zapewne powiedzieli ci już pozostali towarzysze z drużyny.

Cicho zamknął za sobą drzwi. Łomot, który chwilę potem usłyszał, świadczył, że Kyla dała jednak upust swojej wściekłości, rzucając czymś w drzwi. Miał tylko nadzieję, że nie użyła jego ulubionego hełmu.

Uśmiechnął się pod nosem. Naprawdę zapowiadało się ciekawie.

Grupa zbrojnych jechała leśną drogą w stronę Rodasu, kiedy do ich uszu dobiegło odległe wycie wilków.

– To mi coś przypomina – mruknął ponuro Morht, zerkając kąpiąco na Quena.

Przyjaciel roześmiał się w odpowiedzi, wskazując oczami na jadącą przed nimi Kyle. Wciąż jeszcze naburmuszona, nie zwracała najmniejszej uwagi na wesołe zagadywania towarzyszy. Wyraźnie zmartwiony tym Urlin co rusz zwalniał konia, zrównując się z dziewczyną i usiłując z nią porozmawiać.

– Stać! – zawołał Vartheńczyk. – To z tamtej strony. – Wskazał dłonią kierunek.

Zsiedli z koni i prowadząc zwierzęta za sobą, ruszyli ostrożnie na przełaj w stronę pól otaczających Rodas.

Wycie powtórzyło się. Kyla wzdrygnęła się; przypomniał jej się wielki stwór, którego widziała podczas swojej ucieczki z wioski. Nie chciałaby go spotkać kolejny raz. Niebieskie oczy dziewczyny czujnie wypatrywały niebezpieczeństwa.

– Nie laźłyby po otwartej przestrzeni – mruknął Sarthus. – Nie w ciągu dnia.

– Mogły wyjść stamtąd. – Kyła zwróciła jego uwagę na ogołoczone z liści drzewa rosnące po prawej stronie.

– Przyszłyby aż tutaj? – Trev wydawał się zaskoczony. – W zeszłym roku kręciły się bliżej wioski. Tutaj tylko puste pola... Czasem jakiś zając przebiegnie czy kuropatwa zaskrzeczy. Tym raczej się nie najedzą.

– Kto wie – odparł Artch. – Może coś je przyciągnęło.

Szybkim marszem dotarli do pierwszych powykręcanych starością drzew.

– Tędy szły! – zawołała Kyła, dostrzegając niewyraźne ślady wilczych łap.

Morht bez wahania ruszył w tamtą stronę, rozglądając się bacznie wokół, a reszta drużyny podążyła za nim. Wypatrywał pilnie kolejnych tropów. Kiedy zagłębili się w las, zauważyli majaczącą pomiędzy drzewami niewyraźną, szarą plamę. Poruszała się, wyraźnie czymś zajęta.

Morht zatrzymał grupę gestem ręki.

Kyła szybko ściągnęła z pleców łuk i sięgnęła po strzałę. Ostrożnie podeszła bliżej; nie zwracała uwagi na pozostałych najemników, skupiając się na mierzeniu do ruchomej plamy. Coraz wyraźniej rozróżniała sylwetki wilków.

Artch również dobył łuku i chciał ruszyć za nią, lecz Morht powstrzymał go. Skinął na Quena, który oddawszy wodze Urlinowi, podszedł szybko do dziewczyny. Kyła wymierzyła uważnie i śmiało wypuściła strzałę. Rozległ się świst, po czym rozległ się skowyt zranionego zwierzęcia. Pozostałe wilki uniosły niespokojnie łby, węsząc czujnie.

– Trafiła. – W szepcie Morhta pobrzmiwało zdumienie, kiedy popatrzył zaskoczony na Artcha naciągającą go cięciwę.

Tuż obok Kyli ze świstem przemknęła kolejna strzała. Odwróciła się z uśmiechem do kompana, po czym ruszyła odważnie w stronę zwierząt, które odbiegły od tego, co tarosiły, warcząc gniewnie.

– Stój, do diabła! – krzyknął za nią dowódca. – Wybijcie je! – rozkazał towarzyszom.

Nie posłuchała, szybkim krokiem idąc w stronę przewróconego drzewa. Kolejny świst i kolejne zwierzę padło, brocząc krwią. Ostatnie dwa wilki porzuciły swoją zdobycz i ruszyły na Kyłę. Jeden z nich szykował się do skoku. Zwierzę odbiło się łapami od ziemi...

Składała się właśnie do strzału, kiedy Quen w ostatniej chwili szarpnął ją do tyłu tak silnie, że upadła w zaspę. Zaprotestowała głośno. Kolejne dwie strzały utkwiliły w ciałach rozjuszonych zwierząt. Wilk, który zamierzał skoczyć na Kyłę, padł martwy tuż przed nią.

Morht dostrzegł już z daleka wsiąkającą w śnieg plamę krwi. Wypływała spod leżącej pod przewróconym drzewem sterty szmat, jak się wydawało na pierwszy rzut oka.

– Nie ruszaj się stąd – nakazał surowo, pociągając dziewczynę za ramię i pomagając jej wstać. – Zostań z Urlinem – dodał oschle, odchodząc w kierunku krwawej plamy. Domyślał się już, co zastaną na miejscu.

Quen z pozostałymi ruszyli za dowódcą. Kyła, nie zważając na polecenie Morhta, również poszła za nimi. Artch przyglądał się ponuro czemuś leżącemu u jego stóp. Pokręcił ze smutkiem głową.

– Trzeba dowiedzieć się w wiosce, kto nie wrócił – w grobowej ciszy rozległ się niski głos Morhta.

Kyla spojrzała na zakrwawione ciało, które kiedyś było kobietą. Teraz świadczyły o tym tylko rozszarpane resztki sukni. Może młodą, może starą... Z okaleczonej twarzy nie dało się już rozpoznać wieku. Poczuła, że żołądek podchodzi jej do gardła.

– O bogowie... – jęknęła głucho, czując, że dziwnie miękną jej kolana. Zachwiała się.

– Mówiłem, żebyś została z Urlinem – jak przez mgłę dotarła do niej reprimenda czarnowłosego.

Czyjeś silne ręce złapały ją za ramiona, odsuwając na bok.

– Przynajmniej nie patrz – mruknął Sarth i wrócił do towarzyszy.

Przetarła twarz śniegiem, starając się nie spoglądać w stronę martwego ciała. Pochyleni nad nim mężczyźni, próbowali odgadnąć, kim była kobieta. Mieszkańców okolicznych wiosek zdążyli poznać dość dobrze, pomagając im nieraz w pracach polowych czy gospodarskich.

– Mamo... – cichy, przytłumiony głosik dobiegał jakby spod ziemi.

Mężczyźni spojrzeli po sobie ze zdziwieniem. Kyla pomyślała, że ma jakieś omamy.

– Mamusiu... – głosik zapiszczał ponownie.

Morht poprawił rękawice i pochylił się, odłamując kilka gałęzi częściowo zasłaniających wejście do jamy. Trev z Sarthusem odsunęli strzępy ciała rozszarpanego przez wilki. Kiedy odłonili wreszcie wykrot, ich oczom ukazała się umorusana krwią dziecięca buzia.

Przeżrana dziewczynka popatrzyła na nich, przenosząc spojrzenie ciemnych oczu z jednego mężczyzny na drugiego, po czym rozplakała się głośno.

– Mamusiu!... – zawyła rozpaczliwie.

Morht odchrząknął, zastanawiając się, co zrobić. Musiał przyznać sam przed sobą, że dzieci go przerażały. Nie znosił ich krzyków, pisków, wrzasków.

– Wyciągnijcie ją stamtąd – polecił przy wtórze płaczu dziewczynki. Sam odsunął się na bok.

Trev przykucnął, próbując wydobyć przestraszone dziecko. Wyciągnął ręce, jednak mała silnie zacisnęła ząbki na jego dłoni i szybko wycofała się w głąb wykrotu.

– Ugryzła mnie! – wykrzyknął zaskoczony, ściągając skórzaną rękawicę. – Niech to diabli!

Z niedowierzaniem oglądał ślad po drobnych zębach na ręce. Quen pokręcił głową z politowaniem, po czym bez słowa odsunął kompana, przykłęknął na brzegu nory i wyszarpnął ze środka wierzgające i krzyczące dziecko. W dalszym ciągu w milczeniu przytulił je mocno do siebie i okrył połą płaszczem. Płacz z wolna ustawał, gdy szorstka ręka zwiadowcy gładziła rozczochrane włosy dziewczynki, a on sam mówił coś uspokajającym tonem.

– Skąd się tu wzięłaś? – Morht przykucnął przed nimi, ocierając śniegiem buzię małej z krwi.

Popatrzyła na niego załzawionymi oczami, po czym przylgnęła do torsu Quena, wciskając się z powrotem pod jego płaszcz.

– To cud, że jej nie dopadły – wyrwało się Trevorowi.

– Matka zasłoniła ją sobą – mruknął ponuro Morht. – Pewnie potem dobrałby się i do niej.

– Trzeba sprawdzić, z której jest wioski – odezwał się Quen.

– Jeśli wyszły po drzewo, to zapewne z Rodasu – uznał Morht, patrząc niechętnie na dziecko.

Nie ociągając się, ruszyli przez pola w stronę osady. Malutka przywarła całym ciałkiem do

Quena, nie pozwalając się od niego oderwać. Kiedy przyszło do wsiadania na konie, rozplakała się głośno. Dopiero Kyla uspokoiła nieco przerażone dziecko, które umilkło na dobre, gdy tylko na powrót znalazło się w ramionach najemnika.

– Na pewno ma tam jakąś rodzinę, zostawimy ją u nich – zdecydował Morht. – Trzeba też będzie pochować ciało jej matki.

Quen skinął głową. Reszta wlokła się za nimi w posępnej ciszy.

W smętnych nastrojach wjechali do wioski. Po wypytaniu mieszkańców odnaleźli chatę, w której mieszkała dziewczynka. Sarthus wszedł do środka, po czym szybko wrócił.

– Raczej go nie dobudźmy – odezwał się. – Spity jak świnia.

– On tak zawsze od kiedy tu przyjechali. – Kobieta z sąsiedniej chaty, za którą przyszło kilku innych wieśniaków, przyglądała się najemnikom. – Tylko matka się nią zajmowała.

– U kogo możemy ją zostawić? – Morht powiódł pytającym spojrzeniem po sąsiadach dziewczynki.

Kilku z nich od razu wycofało się z podwórza, pozostali wzruszyli ramionami. Nikt nie chciał brać na siebie odpowiedzialności za cudze dziecko.

– Zabierzmy ją na zamek – odezwała się milcząca do tej pory Kyla.

– Nie – odparł krótko Vartheńczyk. – Ma tu jakąś rodzinę? – spytał jednej z gapiących się kobiet.

– Ja tam nic nie wiem. – Przezornie opuściła obejście, nadal jednak zaglądając z ciekawością przez pochyły płot.

– Morht, zabierzmy ją – upierała się Kyla.

– Nie.

Twardość w jego głosie wzbudziła bunt dziewczyny.

– Może Kyla ma rację, skoro ojciec tej małej jest... – zaczął Sarth.

– Do jasnej cholery, kto tutaj wydaje polecenia! – warknął Morht. – Dowiedzcie się, gdzie jest jej rodzina – nakazał swoim ludziom. – I weźcie ją ze sobą – dodał stanowczo, widząc, że wsiadają na konie. – Może ktoś się do niej przyzna.

Najemnicy wyjechali z podwórza. Urlin, któremu powierzono dziecko, pilnował, by nie spadło mu z siodła. W duchu dziękował bogom, że przynajmniej już nie wyło, zajęte próbami pochwylenia końskiej grzywy.

Ledwie zniknęli z widoku, Morht z wściekłością w oczach pociągnął Kylę w stronę stojącej obok szopy.

– Jak śmiesz podważać moją decyzję!

– Podważam twoją głupią decyzję – odpowiedziała, unosząc głowę i patrząc mu hardo w oczy.

– Gdyby zrobił to któryś z moich ludzi, nie minęłaby go kara! Co ty sobie, do diabła, wyobrażasz?

– Nie krzycz na mnie. – Kylę również ogarniała coraz większa złość. I nie zamierzała ustąpić. – Zabieramy ją na zamek.

Może to przez niemiły poranek, kiedy dowiedziała się, że Morht będzie jej nauczycielem, może przez rozszarpane ciało znalezione w lesie, które wciąż miała przed oczami – w każdym razie poczuła, że nie boi się czarnowłosego Vartheńczyka tak jak wcześniej. Co więcej, rozgniewał ją swoim nieczułym, bezsensownie surowym zachowaniem.

– Ja na ciebie krzyczę?! – podniósł głos jeszcze bardziej.

– Nie, do cholery, drę się sama na siebie! – wrzasnęła, doprowadzona do ostateczności. Jej ręka odruchowo powędrowała na rękojęść sztyletu wsuniętego w szeroki pas. – Od samego początku wciąż o coś się czepiasz! – Pchnęła go pięścią w tors. – Wciąż próbujesz mi pokazać, kto tutaj rządzi! I starasz się mnie przegonić z zamku! – Łzy napłynęły jej do oczu.

– Przestań wrzeszcz... – zaczął niespokojnie, widząc, że ich kłótnia przyciąga coraz więcej gapiących się zza płotu wieśniaków.

– Sam się zamknij, do diaska, i nie przerywaj mi! – huknęła, ocierając spływającą po policzku łzę. – Nie wiem, za co mnie tak nienawidzisz, ale mam tego dosyć – odezwała się odrobinę ciszej. – Mam dosyć tego, że słysząc twoje podkute buty, mam ochotę uciec jak najdalej. Mam dosyć tego, że na każdym kroku starasz się mi pokazać, że jestem... – Urwała, gdy złapał ją za ramię i wepchnął siłą do szopy. Nie potrzebował publiczności, która coraz liczniej gromadziła się pod płotem.

Kyla pisnęła przestraszona, kiedy poczuła za plecami twarde deski.

– Teraz ty mnie posłuchaj – wycedził przez zęby. Zacisnął z furią dłoń na belce, aż zbieleły mu kostki.

– A jak nie posłucham, to co? – Odsunęła się nieco od niego. – Pobijesz mnie tak jak Viernę? – rzuciła pogardliwie. – Tylko na to cię stać? Na znęcanie się nad słabszymi od siebie? Venim miał rację, mówiąc, że... – Nie udało jej się dokończyć.

Oskarżenia Kyli zabolowały Morhta mocniej, niż mógłby przypuszczać. Pchnięty jakim niezrozumiałym dla niego samego impulsem, pochylił się i przyciągnął dziewczynę do siebie. Przytrzymał ją za głowę i wpił się brutalnie w jej usta. Umilkła, wydając z siebie jedynie stłumione okrzyki protestu. Okładała go pięściami po głowie i ramionach, szarpała się ze złością, próbując uwolnić. Zacisnęła wargi, kiedy usiłował wedrzeć się między nie językiem – by w następnej chwili ugryźć go z zienacka.

Usłyszała ciche syknięcie z bólu. Uścisk Morhta zelżał, a on sam zamiast odsunąć się od dziewczyny, muskał teraz łagodnie jej usta, jakby czekając na pozwolenie. Cała złość z niej opadła. Przygarnął ją delikatnie do siebie, nie przerywając lekkich pocałunków. Zakręciło jej się w głowie. Oszołomiona jego zapachem, bliskością i czułością pieśczoły, miała wrażenie, że w silnych ramionach Morhta nic jej nie grozi. Instynktownie opłotła rękami jego kark, wsuwając palce we ciemne włosy i przytulając się do mężczyzny.

Kiedy wreszcie rozchyliła usta, oddając nieśmiało pocałunek, poczuł się szczęśliwy jak nigdy wcześniej. Z przyjemnością napawał się smakiem jej warg, przesuwał pieśczołiwie dłonią po zimnym policzku dziewczyny. Zaskoczony odkrył, że ogarniają go nieznane dotąd uczucia. Nie dokuczał mu już chłód, gniew na Kylę odszedł gdzieś daleko, a jego samego przepełniała dziwna radość. Jakby udało mu się ułożyć skomplikowaną układankę, wstawiając na wolne miejsce ostatni z elementów. Oddychając ciężko, oderwał się wreszcie od ust dziewczyny i ujął delikatnie jej twarz w dłoń.

– Nigdy nie uderzyłem Vierny ani żadnej innej kobiety – powiedział cicho. – Musisz mi uwierzyć. – Wpatrywał się w nią z napięciem.

Wciąż gorączkowo łapała oddech, kiedy podniosła na niego błyszczące oczy. Czym prędzej cofnęła ręce, zaplatając je obronnie na piersiach i odsuwając się od Morhta. Nie rozumiała, co się stało. Czarnowłosy też wydawał się zmieszany.

– Wierzę ci – odezwała się szeptem, wbijając wzrok w ziemię.

Odchrząknął i przeczesał włosy ręką. Spojrzał jeszcze pożądliwie na zarumienioną twarz Kyli, po czym odwrócił się i otworzył drzwi szopy. Chłodne powietrze otrzeźwiło go. Nabral głęboko powietrza w płuca. Przeraził się tego, co zrobił. Nie pojmował, jak mógł pocałować Kyle. Nigdy nie pozwalał sobie na najmniejsze słabości. To wszystko jej wina! Diabli ją nadali, stawiając na leśnej drodze kilka miesięcy temu. I jeszcze ma ją uczyć? Na powrót rozżłoszczony, tym razem sam na siebie, zaklął pod nosem.

„Już ja cię nauczę – pomyślał, czując, że najchętniej znów posmakowałby jej ust. – Zrezygnujesz po pierwszej lekcji”.

– Jeśli nie znajdą rodziny tej małej, zabierzemy ją na zamek – oznajmił głośno, swoim typowym surowym tonem i nie patrząc na dziewczynę, wyszedł pośpiesznie z szopy.

Zaskoczona tym wszystkim Kyła stała oparta o ścianę, spoglądając z niedowierzaniem na znikającego za drzwiami Morhta.

Całą noc padało. Śnieg zalegał na dziedzińcu zamkowym, zdobiąc puchatymi czapami krążganki. Przez środek placu, od bramy zamkowej do pomieszczeń kuchennych, prowadziły czyjeś ślady. Ktoś niedawno tędy przechodził. Zapowiadał się spokojny, leniwy dzień, który najlepiej spędzić w jadalni albo w komnacie przed ciepłym kominkiem.

Wesołe szczebiotanie Riv dobiegało z rogu dziedzińca. Opatulona kilkoma warstwami odzienia, w którym z trudem się poruszała, przykuciała w śniegu, zgarniając go rączkami. Śmiała się wesoło do kogoś stojącego w cieniu murów, kto najwidoczniej jej odpowiedział, bo zapiszczała rozbawiona. Niezgrabnie wzięła większą ilość śniegu w dłonie, ubrane w za duże rękawice, i rzuciła niezdarnie w schowanego towarzysza. Chwilę później mała śnieżka poleciała w jej stronę, trafiając dziewczynkę w nogi. Zapiszczała jeszcze głośniej, próbując uciec i przewracając się w pobliską zaspę.

Lady Lyanna zatrzymała się na chwilę przy oknie i spoglądała z rozczeniem na tę scenkę. Zakapturzony mężczyzna, odwrócony plecami, pomógł dziecku wstać, otrzepał je ze śniegu i prowadził w stronę zamku. Odwróciła się i pchnęła drzwi komnaty zwiadowców. Powitała z uśmiechem siedzących przy stole mężczyzn i wyłuszczyła sprawę, z którą przysła:

– Baretowi pod naporem śniegu zapadł się dach szopy. Zajrzyjcie do niego jeszcze przed obiadem – poprosiła. – Sam nie da sobie rady.

Quen skinął głową, nie przerywając polerowania swojej broni. Lyanna rozejrzała się, szukając wzrokiem Morhta. Zdziwiona, uniosła pytająco brwi; dowódca nie ruszał się z ciepłej komnaty, jeśli nie miał nic do roboty. Sarthus uśmiechnął się szeroko, wskazując okno. Wyjrzała przez nie, jednak na dziedzińcu nikogo już nie było.

Skrzypnęły drzwi. Poprawiając narzuconą na ramiona pelerynę, odwróciła się w stronę nowo przybyłych.

– Riv lubi ten pszet... pret... przeklejtey śnieg! – obwieściła gromko dziewczynka, wtaczając się do środka. Ściągnęła mokre rękawice i rzucając je na podłogę, dodała: – Kujwa ać.

Zwiadowcy roześmiali się, a wchodzący za malutką Morht, zmieszał się na widok lady Lyanny, która pogroziła mu palcem.

– Sama przysła – tłumaczył niezręcznie. – Nie zauważyłem kiedy, bo odgarniałem wejście

do zbrojowni.

– Szybko się uczysz. – Will pogładził dziewczynkę po głowie.

– Chojelny sukinkot – pochwaliła się Riv, zadowolona z tego, że jest w centrum uwagi.

– Chodź. – Kobieta wyciągnęła ku małej rękę, patrząc z wyrzutem na Morhta. Vartheńczyk ścisnął w dłoniach rękawice i nie wiedział, gdzie oczy podziąć. Dawno już nie czuł się tak zażenowany. – Poszukamy czegoś suchego do przebrania. Jesteś cała przemoczona – mówiła Lady Lyanna, wyprowadzając dziewczynkę z komnaty najemników.

– Mojt rzuca śniegiem – wyjaśniła Riv. – Dobry Mojt. Bawi się. – Wyszczrzyła ząbki w radosnym uśmiechu.

– Jaki by nie był dobry, to jednak niektórych słów nie powinnaś za nim powtarzać – dobiegło jeszcze zza zamykanych drzwi.

– Dobrze ci idzie. Czytania i pisanie też już ją nauczyłeś? – zakpił Quen. Mordercze spojrzenie, które posłał mu w odpowiedzi Morht, nie zrobiło na nim żadnego wrażenia.

– Dobry Mojt. Bawi się – Trev przedrzeźniał dziewczynkę, zerkając kpiąco na dowódcę.

– Jak się zaraz z tobą pobawię, to pożałujesz... – ostrzegł oschle Vartheńczyk. – Przylazła, gdy wychodziłem ze zbrojowni, to co miałem zrobić? – dodał podenerwowany. – Nie zauważyłem jej, dopóki nie rzuciła we mnie śniegiem. Zabawę sobie znalazła! A te cholerne drzwi przysypało tak, że... sami wiecie. Zakląłem odruchowo.

– Morht i jego odruchy. – Sarthus klepnął go w plecy. – Jak to ostatnio było? Odruchowo przyłożyłeś karczmarzowi, bo nie chciał ci przynieść innego piwa.

– Śmierdziało szczynami. – Dowódca wzruszył ramionami.

– Barnetowi zasypało szopę od środka – przypomniał Quen.

Morht westchnął ciężko i przecesał palcami ciemne włosy.

– Trzeba będzie do niego zajrzeć. – Usiadł przed kominkiem, rozgrzewając zmarznięte ręce. – Weź kilku nowych i pojedźcie tam – polecił. – Niech się przyzwyczajają. I przestań już polerować te swoje mieczyki. Świecą się jak dobrze wylizane jaja.

Zwiadowcy roześmieli się. W komnacie zrobiło się na powrót gwaro i wesoło.

Duże, wysokie pomieszczenie, rozświetlone świecami w lichtarzach i ogrzane ciepłem bijącym od dwóch palenisk, mogło spokojnie pomieścić nawet pięćdziesiąt osób. Mieszkańcy zamku powoli schodzili się na kolację. Docierające z kuchni apetyczne zapachy sprawiały, że wielu już ciekła ślinka na myśl o soczystym, pieczonym mięsiwie i szklanicy grzanego wina. Zasiadali powoli przy wielkim stole, umieszczonym pośrodku sali. Słysząc było wesołe rozmowy, śmiechy, przekomarzenia najemników ze służkami. Pośród tego gwaru rozbrzmiewało szczebiotanie Riv, która znalazła sobie nowe zajęcie: dorzucała polana do płonącego kominka. Lady Lyanna popatrzyła z czułością na dziewczynkę, a jej mąż, mijając żywotne dziecko w drodze do stołu, pogładził je po głowie.

Morht dotarł spóźniony, kiedy wszyscy byli już w połowie posiłku. Wrócił z Isztyr zmarznięty i głodny. Wraz z nim przyjechało kilku młodzików i starsza para podróżująca do Terlinu. Lady Lyanna poleciła dostawić dodatkowe nakrycia dla gości.

Miejsce Kyli przy wspólnym stole było puste. Morht zerknął kilka razy w tę stronę, jakby upewniając się, że dziewczyny naprawdę tam nie ma. Zastanowiło go to.

Kiedy kolacja dobiegała końca, Artch podniósł się zza stołu, prosząc o ciszę. Potoczył speszonym wzrokiem po zebranych, by zawiesić spojrzenie na siedzącej obok Selenie. Nagle złapał ją za rękę, zmuszając, aby wstała. Spłonęła rumieńcem, wbijając oczy w zastawiony stół. Morht patrzył podejrzliwie na podkomendnego. „A ten co znowu narozrabiał?” – przemknęło mu przez myśl.

– Chciałem powiedzieć... – zaczął Artch i poprawił się szybko: – To znaczy, chcieliśmy... – Z przejęcia ścisnął dłoń Seleny zbyt mocno. Dziewczyna syknęła cicho z bólu i szturchnęła go w żebra. – My, to znaczy ja i Selena, chcielibyśmy... – plątał się coraz bardziej, jakby zapomniał, jak używa się języka.

Kompani gapili się na niego z ciekawością. Któryś zaśmiał się cicho, rozbawiony nietęgą miną kamrata. Artch nie lubił tłoku wokół siebie, nie znosił być w centrum uwagi, więc teraz, gdy miał przemówić publicznie, robiło mu się niedobrze ze zdenerwowania. Zdecydowanie bardziej wolałby wyruszyć w drogę wraz z nektosami, choć napawały go wstrętem.

– Po prostu Selena zgodziła się zostać moją żoną – wydusił wreszcie z siebie i dumnym spojrzeniem powiódł po zebranych. Jego wybranka spłonęła jeszcze większym rumieńcem, ale w ciemnych oczach błyszczały iskierki radości.

Morht zakrzuszył się przełykanym właśnie mięsem, aż Quen z całej siły musiał walnąć go w plecy.

– Oszalałeś? – wykrztusił, patrząc z niedowierzaniem na Artcha. Na szczęście nikt nie zwrócił uwagi na te mało stosowne słowa, choć Morht poczuł się, jakby stracił właśnie jednego z najlepszych swoich ludzi. Wiadomo – taka kobieta zaraz weźmie go pod pantofel, zabroni ruszać się z domu gdzieś dalej, zacznie mu suszyć głowę o najmniejszy drobiazg. Niby to Selena, ale... kto ją tam wie, co będzie po ślubie.

Zwiadowcy wydali z siebie jeden zgodny ryk radości, a Lady Lyanna podniosła się ze swojego miejsca i podeszła do zarumienionej Seleny.

– Winszuję wam, kochani. – Ucałowała policzki dziewczyny. – A ty, Artch – wycelowwała palec w najemnika – niech tylko się dowiem, że nieodpowiednio traktujesz swoją żonę, to pożałujesz.

Roześmiał się, obejmując Selenę w pasie i przyciągając do siebie.

Na stole pojawiło się kilka kolejnych dzbanów z winem, któryś z najemników przytoczył z piwnic beczkę piwa. Gwar rozmów na powrót się wzmógł, towarzysze Artcha ściskali ich oboje i życzyli im szczęścia. Morht poklepał Artcha po ramieniu, skinął lekko głową Selenie, po czym zajął się niedokończoną kolacją.

Szlag by to trafił.

Plącząca się pod nogami Riv, która bezskutecznie usiłowała dostać się do kucharki i wtulić w jej suknię, zrobiła nadąsaną minkę i szturchnęła Morhta w udo.

– Czego? – warknął i spojrzał na nią z góry, nie odrywając ust od kufla. Wiadomość, którą usłyszał, do reszty zwarzyła mu humor.

Buzia dziewczynki wykrzywiła się w podkówkę, a ona sama ryknęła nagle głośnym płaczem. Skonfundowany Morht popatrzył na Lady Lyannę i swoich ludzi otaczających kołem szczęśliwych narzeczonych, i zacisnął dłoń w pięść. Zaklął siarczyście pod nosem.

– Mać? mać? – Riv przestała płakać i wyszczerzyła ząbki w uśmiechu na dźwięk znajomego słowa. – Riv, choreła?

Słyszając to, westchnął ciężko i pogłaskał dziewczynkę po głowie.

– Nie mów brzydkich słów. Zmykaj do Lyanny – polecił.

Riv popatrzyła na niego spode łba.

– Morht skukinkot! – zawołała głośno, po czym pobiegła w stronę Seleny, od której wreszcie odstępili ci wszyscy ludzie, broniący jej dostępu do sukni kucharki.

Quen popatrzył poważnie na przyjaciela, jednak ten odwrócił wzrok. Odechciało mu się wszystkiego. Musiał przyznać sam przed sobą, że to nieobecność Kyli wprawiła go w kiepski nastrój. Gdzie polazła o tej porze?

Potem jeszcze zaręczyny Artcha...

Powiódł ponurym wzrokiem po swoich ludziach, by wreszcie wstać od stołu i wyjść z jadalni. Nogi same poniosły go w stronę zbrojowni. Przechodząc dziedzińcem, dosłyszał ciche parskanie konia: przez bramę wjeżdżała Kyła. Bez zastanowienia ruszył za dziewczyną, która skierowała się do stajni.

Odetchnął z niejaką ulgą, widząc ją całą i zdrową. A potem natychmiast się zjeżył.

– Gdzie byłaś? – rzucił wrogo do dziewczyny, która rozsiodłała właśnie wierzchowca. Oparł się ramieniem o jedną z belek i patrzył wyczekująco na Kylę. W jej niebieskich oczach pojawiło się zdziwienie.

– W Terlinie – odparła spokojnie, zajmując się wierzchowcem. – Lyanna wiedziała, że wyjeżdżam.

– Nie podoba mi się, że wracasz tak późno, w dodatku sama – burknął szorstko, mierząc ją nieprzyjemnym spojrzeniem. „Nie podoba mi się?” Zaklął pod nosem, czując, że powiedział za dużo. – Jutro przed świtem zajmiesz miejsce Trevora na strażnicy – rozkazał. – W dodatku ostatnio nie widziałem cię na porannych ćwiczeniach. Nie uprzedziłaś mnie, że nie raczysz wstać i przyjść.

Podszedł bliżej. Wydała mu się naraz taka krucha i delikatna. W dodatku patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami, w których dostrzegał narastające zdumienie. Zaróżowione od mrozu policzki kontrastowały z bladą twarzą dziewczyny. Długie rzęsy drżały leciutko, a usta... Na myśl o jej ustach przeszył go przyjemny dreszcz. Zwalczył w sobie chęć przygarnięcia Kyli do siebie i odwołania wszystkiego, co powiedział.

Strażnica przy bramie zamku była niewielkim, zimnym pomieszczeniem. Zwiadowcy, którzy się w niej zmieniali, natychmiast po zejściu z posterunku rozgrzewali się ciepłymi trunkami. A porannej warty nie cierpieli wszyscy! Kyła zamrugnęła niepewnie powiekami. Do tej pory do jej obowiązków należało posprzątanie zbrojowni czy wyczyszczenie którejś z broni. Nigdy jeszcze dowódca nie kazał jej pilnować bramy zamku na równi z innymi zwiadowcami.

– Ale... dlaczego? – spytała cicho.

Morht nie raczył udzielić odpowiedzi. Szybkim krokiem wyszedł z stajni, zły sam na siebie.

Na dworze było jeszcze ciemno, kiedy obudziło ją głośne walenie pięścią w drzwi. Miała wrażenie, że dopiero przed chwilą położyła się spać.

– Wstawaj, do cholery! – Głosu Morhta nie dało się pomylić z żadnym innym. – Chcę cię

zaraz widzieć na wieży!

Kroki stopniowo milkły, kiedy stukający podkutymi butami dowódca oddalał się od komnaty Kyli. Niewyspana i głodna, z trudem wygrzebała się spod ciepłego okrycia i wyrzała przez okno. Mróz nie zelżał, wręcz przeciwnie, zdawał się silniejszy niż w ciągu ostatnich dni. Powciągała na siebie tyle odzienia, ile była w stanie, na koniec otuliła się szczelnie płaszczem. Potem, drżąc i szczękając zębami, powlokła się w stronę dziedzińca.

– Witaj. – Sarthus, jak zawsze w dobrym humorze, minął drżącą i zaspaną dziewczynę, kierując się do pomieszczeń służby.

– Witaj – odmruknęła cicho, wchodząc przez wąskie i oblodzone drzwi do wieży bramnej. Ciasne, kręcone schody prowadziły na górę, do jednego z dwóch niewielkich pomieszczeń. Morht już tam na nią czekał. Kiedy ziewając, stanęła w progu, zmierzył ją surowym spojrzeniem.

– Za cztery godziny ktoś cię zmieni – rzucił szorstko i wyszedł.

Wcisnęła się do izdebki i rozejrzała po ciasnym wnętrzu, w którym znajdowały się tylko krzesło i mały stół. Przez uchylone okienko wpadały wirujące płatki śniegu. Patrzyła na ich taniec, a łzy same napływały jej do oczu. Wbiła wzrok w przestrzeń za oknem.

Na dworze dopiero zaczynało świtać. Szara mgła zawisała nad bezkresnymi połaciami pól, by powoli niknąć w przylegającym do nich lesie. Drzewa wyciągały bezlistne gałęzie w górę, jakby chwytając się rozpaczliwie tej jedynej zasłony przed wścibskim ludzkim okiem. Kiedy szarość niechętnie ustąpiła miejsca jasności, w oddali dostrzegła pierwsze dymy z kominów w pobliskim Metllasie. Gotowali śniadania.

Kyli zaburczało głośno w brzuchu. Miała nadzieję, że Morht nie zapomni o niej i przyśle kogoś z ciepłą strawą. Może ktoś ją zmieni, może sama zejdzie na śniadanie... Z tęsknotą pomyślała o ciepłej kuchni, gdzie tak miło było grać się przy piecu, słuchając opowieści Artcha. Zamknęła szybko i chuchnęła w zmarznięte dłonie. Leżący na krześle koc był lodowato zimny. Mimo to okryła się nim i przysuwając do okna krzesło, oparła się o nie kolanem. Miała nadzieję, że te kilka godzin szybko minie i że nikt nie przyjedzie. Sama chyba nie podniosłaby kraty; nigdy jeszcze tego nie robiła.

Kiedy niebo rozjaśniło się zupełnie, a nad horyzontem ukazało się słabo świecące słońce, z ulgą pomyślała, że jej warta dobiega końca. Otulona kocem, przytupnęła kilka razy, próbując rozgrzać zmarznięte stopy. Usiadła wreszcie na krześle, patrząc ponuro przez okienko. Na dziedzińcu zaczęli gromadzić się zwiadowcy. Wyprowadzone ze stajni konie parskwały głośno, stukały kopytami, podczas gdy mężczyźni wiązali sakwy przy siodłach.

Na schodach rozległy się ciężkie kroki. Spojrzała z nadzieją na drzwi. Chwilę później pojawił się Morht i nie patrząc na dziewczynę, bez słowa ujął dźwignię do podnoszenia kraty.

– Kto mnie zmienia? – spytała drżącymi z zimna ustami.

– Jeszcze nie czas – odparł krótko, wychodząc.

Niedługo potem grupa zbrojnych wyjechała z zamku.

Słońce zdążyło już wznieść się wysoko, a ona tkwiła na wieży skostniała z zimna. Stopy i dłonie paliły ją żywym ogniem. Zapomniała wziąć ze sobą rękawic i teraz czego by nie dotknęła, zdawało się przywierać boleśnie do skóry. Popatrzyła zmartwiona na sinoczerwone ręce i pociągnęła żałośnie nosem. Dla rozgrzewki spacerowała po izdebce na coraz bardziej sztywnych nogach. Była głodna i spragniona. Z jaką przyjemnością napiłaby się teraz

gorącego ziołowego naparu, zjadła miskę ciepłej kaszy z gulaszem, który tak wspaniale umiała doprawić Selena.

Kilka kroków w jedną, kilka kroków w drugą stronę. Od jednej ściany do drugiej. Rozcierała zmarznięte dłonie, chuchając w nie. Mimo to trzęsła się coraz bardziej, a nad szczękającymi zębami nie umiała już zapanować.

Urlin, który po podwieczorku przyszedł zmienić Kylę, zastał ją w nie najlepszym stanie. Na widok siedzącej nieruchomo na krześle dziewczyny o posiniałych z zimna ustach zaniemówił. Błada zwykle twarz poszarzała, a rozpalone gorączką oczy błyszczały, patrząc nieprzytomnie przed siebie. Kiedy szturchnął ją lekko w ramię, bo zdawała się nie zauważać obecności zmiennika, przeniosła na chłopaka niewidzący wzrok, po czym zsunęła się z krzesła na kamienną podłogę. Nie wiedząc, co zrobić, wystraszony Urlin pobiegł po Selenę.

Lady Lyanna krążyła po komnacie męża niczym rozjuszona lwica, której ktoś ukradkiem odebrał młode. W jej oczach rozjarzyły się iskry gniewu, kiedy spojrzała na wchodzącego Morhta.

– Zduśniałeś do reszty?! – naskoczyła na niego, zanim jeszcze zdążył zamknąć za sobą drzwi.

Vartheńczyk zatrzymał się, unosząc pytająco brwi.

– Lyanno... – Siedzący przy biurku Sir Eryk spróbował załagodzić złość żony.

Odwróciła się w jego stronę.

– Zamilcz! – Wycelowała w męża palcem. – I nie próbuj go bronić! A ty... – Podeszła do Morhta i stając przed nim, oparła wojowniczo dłonie na biodrach. – Wyjaśnij mi, co Kyla robiła przez ponad pół dnia na wieży?!

Eryk uniósł ręce w obronnym geście i uśmiechnął się lekko pod wąsem. Dawno już nie widział swojej małżonki w tak bojowym nastroju. Ostatnio chyba kiedy wyciągali Quena z lochów, a ona pobiła jednego z próbujących im przeszkodzić strażników. Zresztą podobnie jak Lyanna był zdania, że Morht przesadził, lecz na prośbę żony pozostawił załatwienie tej sprawy w jej rękach. Kiedy późnym popołudniem Urlin zmienił przemrożoną dziewczynę, natychmiast kazała się nią zająć, wypatrując niecierpliwie powrotu Morhta do zamku. Eryk westchnął. Skoro dowódca sam wywołał furię Lyanny, niech sam się jej tłumaczy.

– Spóźniła się, nie uprzedzając mnie o tym – wyjaśnił beznamiętnie Morht. – Poza tym przez kilka dni z rzędu nie dotarła na poranny trening, no i podważyła moją decyzję. Każdy z moich ludzi zostałby tam wysłany za złamanie zasad. I na tyle godzin, ile ona odsiedziała.

– Też czasami nie ćwiczę rano i podważam twoje decyzje, bądź próbuję nakłonić cię do zmiany zdania – warknęła. – Też byś mnie tam wysłał? – Oczy kobiety lśniły od ledwo hamowanej wściekłości.

– Jesteś, Lyanno, kobietą... – zaczął Morht.

– A ona kim jest, do cholery? – przerwała mu ostro. – Trygłem? Magiem z Enhilleru? A może jedną z tych istot, które tam tworzą?

– Moi ludzie muszą bezwzględnie przestrzegać zasad, które znają. – Spojrzał twardo na Lady Lyannę. – Chciała dołączyć do drużyny, musi liczyć się z tym, że będę ją traktował tak samo jak innych. Nie mogę sobie pozwolić na...

– Gówno prawda! A jeśli chodzi o te ostatnie kilka dni, mam ci wyjaśnić szczegółowo, jak zbudowane są kobiety? Chociaż zapewne wiesz, bo twoje wyczyny w Terlinie i sposób, w jaki traktujesz niektóre z dziewczek, są już słynne w całej okolicy!

Znała go dobrze, odbyli wiele wspólnych wypraw, walczyli ramię w ramię, ceniła go jako wojownika i przyjaciela – i jak nigdy dotąd miała szczerą ochotę spoliczkować upartego Vartheńczyka, walnąć go na odlew z całej siły!

– Jeśli chodzi ci o Viernę... – zaczął Morht.

– Nie obchodzą mnie dziewczki, z którymi się zadajesz! Jesteś dorosły i sam odpowiadasz za swoje czyny. Możesz zabawiać się choćby z całym zamtużem naraz! Martwię się o Kyle! I o pozostałych! – krzyczała rozgniewana.

– Nie pobi... – próbował wtrącić.

– Zamknij się! – przerwała mu. – Już kiedyś zwróciłam ci uwagę, że traktujesz ich zbyt surowo. – Pchnęła go palcem w tors. – Zrób coś z tym. I ani słowa więcej! – ucięła, widząc, że dowódca znowu chce coś powiedzieć.

Z rozmachem otworzyła drzwi, a potem zatrzasnęła je za sobą z hukiem, aż solidne mury zdrząły. Morht westchnął i przeniósł spojrzenie na Sir Eryka. Ten podniósł się ciężko zza biurka.

– Chyba się zdenerwowała – zauważył. Morht w milczeniu skinął głową. – Ale ma rację, traktuj ich czasem łagodniej. I pamiętaj, że gdybym cię nie znał, mógłbym uwierzyć w te plotki, a wtedy już dawno by cię tutaj nie było. Bez możliwości powrotu. A to, jak potraktowałeś Kyle, nie podoba mi się. Płynie w niej krew mojej rodziny, krew Laghortów. Nie zapominaj o tym – dodał z naciskiem. Pierwszy raz podkreślił szlachecki stan dziewczyny, przywołując porywczego dowódcę do porządku. Nie musiał mówić nic więcej.

Morht spuścił głowę, przyglądając się z nagłą uwagą wzorom na posadzce. Naraz ruszyło go sumienie.

– Bardzo zmarzła? – Nie odrywał oczu od podłogi, jakby zadał zdawkowe pytanie.

Sir Eryk pokręcił głową z smutkiem.

– Jesteś dorosły... – powtórzył za Lyanną. – I sam bierzesz odpowiedzialność za swoje czyny. Tak więc sam sprawdź. Jak powiedziałeś, wszystkich swoich ludzi traktujesz jednakowo. Pomyśl więc, że to Artch lub Will, i zrób to, co zrobiłbyś w ich przypadku.

– Mam jej przynieść gorzałki na rozgrzanie? – mruknął ponuro Morht.

Kyla, która podczas swojej warty odmroziła sobie dłonie i stopy oraz nabawiła się wysokiej gorączki, od kilku dni nie opuszczała komnaty. Na szczęście, otoczona troskliwą opieką, szybko wracała do zdrowia. Za pozwoleniem Lyanny, choć w tajemnicy przed Morhtem, zaglądali do niej czasem pozostali zwiadowcy.

Artch przynosił upieczone przez Selenę smakołyki. Will wpadał razem z Iriną, która już na dobre przeniosła się na zamek. Zaglądali Sarthus i Trevor, z którymi wcześniej wspólnie polowała. Nawet Quen przyniósł jej kilka nowych szmatek do polerowania miecza i obiecał doprowadzić jej broń do porządku, gdyż dostrzegł kilka niewielkich plamek, których na ostrzu być nie powinno. A wesoła Riv, która doszła nader szybko do siebie po śmierci matki, przesiadywała w alkowie Kyli prawie cały czas.

Gdy Morht zjawiał się we wspólnej komnacie najemników, za każdym razem witało go grobowe milczenie. Kiedy wchodził, rozmowy milkły, a jego kompani naraz znajdowali sobie pilne zajęcia na terenie zamku, opuszczając spiesznie pomieszczenie. Wszyscy wykonywali swoje obowiązki bez zarzutu. Nikt nie podważał jego decyzji, nikt na nic się nie skarżył. Podenerwowany tą atmosferą Morht zwerbował kilku nowych ludzi, powierzając ich opiece Quena, a sam zniknął na całe dni w Terlinie. Przesiadywał w karczmie, topiąc zgryzoty w winie.

Tego wieczoru wrócił przed zmrokiem i odprowadziwszy konia do stajni, wspiał się na wieżę.

– Idź do środka – polecił wartującemu Urlinowi.

– Niedługo zmienia mnie Will.

– Idź i przekaz, że dzisiaj posiedzę tutaj za was.

Zaskoczony, zmarznięty Urlin o nic więcej nie pytał; ostrożnie zbiegł po śliskich schodach i popędził do ciepłej kuchni, by przymilić się do Seleny o coś ciepłego do jedzenia.

Morht usiadł ciężko na krześle i zapatrzył się w ciemniejące niebo.

Nie wiedział, ile czasu tak trwał. Księżyc już wzeszedł, świecąc wprost w małe okienko wieży, a on siedział nieruchomo, pogrążony w niewesołych myślach. Wcześniej słyszał wesołe szczebiotanie Riv, która rzucała śnieżkami w Selenę, dobiegały go głosy rozmawiających najemników, idących przez dziedziniec do zbrojowni. Teraz, im szybciej nadchodziła noc, otulając ciemnością zamek, panująca wokół cisza zaczynała kłuć go boleśnie w uszy.

Zacisnął gniewnie pięści, przypominając sobie zaspianą buzię Kyli. Ale na kogo był zły? Tak naprawdę...

– W kuchni czeka na ciebie kolacja. – Quen, który wspiał się bezszelestnie na wieżę, szturchnął go w ramię. – Idź.

Morht podniósł się ciężko, rozprostowując zeszywniałe mięśnie.

– Quen... – zaczął, patrząc poważnie na przyjaciela. Znali się już tyle lat. Teraz we wzroku towarzysza dostrzegł niemy wyrzut. Patrzył na niego tak samo jak Laghortowie, jak towarzysze z drużyny, właściwie jak wszyscy na zamku.

– Sam musisz to rozwiązać – odparł Quen, sięgając po gorący napar z mięty, który przyniósł ze sobą. – Idź już. Ustaliliśmy warty. Wyśpij się, odpocznij i... – zawiesił głos, patrząc z pewnym niepokojem na Morhta. – I przestań tyle chlać. W ten sposób tego nie załatwisz, ani nie zapomnisz...

Morht już bez słowa zszedł na dół, kierując się w stronę pomieszczeń kuchennych. Widząc go, Selena prychnęła gniewnie, trzasnęła łyżką w kocioł i szybkim krokiem opuściła kuchnię. Nie zatrzymywał jej, choć nie posprzątała kufla ze stołu. Westchnął ciężko i postawił je na właściwym miejscu.

W milczeniu zjadł pozostawioną na płycie paleniska kolację i zapatrzył się ponuro w migające płomienie. Dopiero po dłuższej chwili zebrał się i wolno ruszył w stronę skrzydła, które zajmowali najemnicy. Zatrzymał się, słysząc ciche kroki dochodzące z korytarza po prawej stronie. Kyla, opuściwszy wspólną komnatę zwiadowców, szybkim krokiem zmierzała do siebie. Nie dostrzegła go. Oderwał się od ściany i podążył za nią. Usłyszawszy ciężki stukot butów, odwróciła się i spojrzała na niego obojętnie.

– Chciałem... – odchrząknął, nie wiedząc, jak zacząć.

Czuł się nieswojo. Powoli do niego docierało, że przesadził. Za co w ogóle chciał ją ukarać? Za sprzeciwienie się jego nietrafnej decyzji? To dzięki Kyli osierocona przez matkę Riv znalazła schronienie na zamku. Za nieobecność na kolacji i wyjazd do Terlinu, o czym wiedzieli Laghortowie? Wystarczyło ich zapytać. Czy może za to, że czując się niezbyt dobrze, nie zeszła na poranne ćwiczenia? Przecież sam pozwalał zmęczonym lub chorym kompanom na odpoczynek. A może za to, że wciąż nie umiał zapomnieć smaku jej ust i dotyku drobnego ciała, kiedy wtuliła się w niego? Tu już nie znalazł komentarza.

Czuł się w tej chwili jak kompletny głupiec. Zrozumiał, że zasłużył na pełne wyrzutu i rozczarowania spojrzenia towarzyszy.

– Masz dla mnie jakieś polecenie? – spytała Kyła, patrząc mu odważnie w oczy.

– Nie – odparł szybko – Chciałem tylko... – Słowa przeprosin nie chciały przejść Vartheńczykowi przez gardło.

– Pozwól zatem, że odejdę. – Skinęła uprzejmie głową i odwróciła się na pięcie, równym krokiem podejmując przerwana wędrowkę.

– Kyło – odezwał się głośniej.

Otworzyła komnatę i stanęła w progu, spoglądając w jego stronę.

– Odejdź, dowódco... – Czy tylko mu się zdawało, czy usłyszał w jej głosie drwinę? – Proszę – dodała, patrząc na niego chłodno. Potem cicho zamknęła za sobą drzwi.

Nigdy jeszcze nie zwróciła się do niego tak oficjalnie. Dowódco... Zacisnął pięści. Dowódca powinien dbać o swoich ludzi i dotąd zawsze wywiązywał się z tego obowiązku. Dopiero gdy pojawiła się Kyła... Dlaczego w jej przypadku zrobił wyjątek, skoro sam wyraził zgodę, żeby dołączyła do drużyny?

Zdeterminowany, w kilku zamasztych krokach pokonał odległość dzielącą go od komnaty dziewczyny. Pal licho zakazy Lyanny, musi to wyjaśnić. Drżała mu ręka, gdy pukał do drzwi. Po długiej chwili zawiasy skrzypnęły i na progu pojawiła się Kyła. Gdy ujrzał jej bladą twarz i ślady łez na policzkach, opuściła go odwaga.

– Kyło – odezwał się wreszcie przez ściśnięte gardło.

– Po prostu odejdź – rzekła smutnym głosem.

– Chciałem tylko... Wiem, że nie powinienem...

Uniosła dumnie podbródek. „Krew Laghortów” – wróciły do niego słowa Eryka na widok jej lodowatej miny.

– Morht, odejdź, proszę, albo zmuszona będę poinformować Lyannę, że nachodzisz mnie w mojej komnacie.

Zmusiła się, by jeszcze raz spojrzeć na niego z całą dumą i wyniosłością, na jakie było ją stać. Poczawszy pieczenie pod powiekami, szybko zamknęła drzwi, chowając się za nimi. Przycisnęła obie ręce do ust, zduszając szloch.

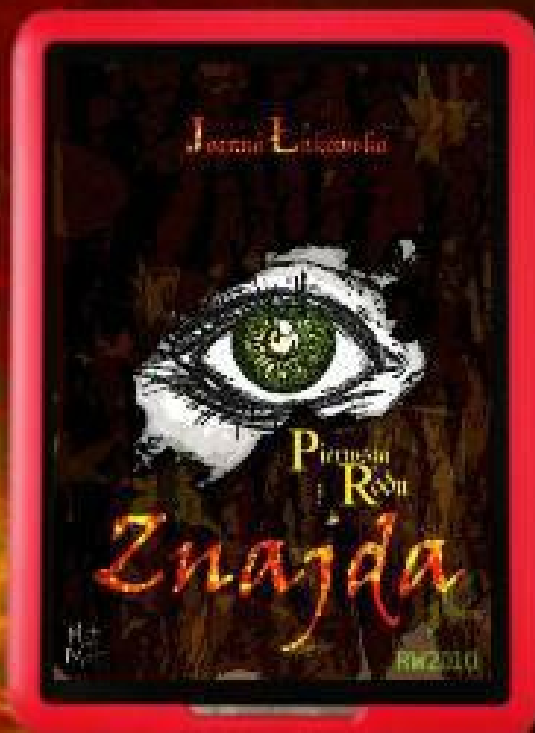
Morht stał jeszcze długo na korytarzu, gapiąc się bezradnie na drzwi, za którymi zniknęła. Wreszcie z całej siły uderzył pięścią w mur. Rozcierając potłuczoną rękę, odszedł ciężkim krokiem.

Miał wrażenie, że właśnie coś się skończyło.

Oficyna wydawnicza **RW2010**

Na każdą kieszeń
na każdy czytnik

To opowieść o skrzatach i ludziach,
radzących sobie w świecie bez
słońca. Jakim cudem ociemniały
świat wciąż trwa? Czyżby dało się
oszukać los? Czy ziarnkiem piasku,
zgrzytającym w żarnach
przeznaczenia, może być dziwna
zielonooka dziewczynka?



Przedświat demonów, Zaświat nimf,
barwne aury, okrutne reguły
Syndykatu Skrytobójców, Sny, które
przerażają i fascynują zarazem.
W takim świecie dorasta młody
demon Haru – uczy się, jak przeżyć
i jak zabijać, walczy, by zostać
uczniem okrutnej białowłosej.
*Odrodzenie to mroczna powieść pełna
przemocy, śmierci i kipiących emocji.*

**Dobre ebooki
w dobrej cenie**

szukaj na
www.rw2010.pl
lub w e-księgarniach

RW2010

REWOLUCJA WYDAWNICZA!